

ZBIGNIEW NIENACKI  
Księga strachów

ROZDZIAŁ PIERWSZY

CO TO JEST „KSIĘGA STRACHÓW” \* TAJEMNICZE EMESY • CO SIĘ STAŁO W  
RUINACH OBSERWATORIUM ASTRONOMICZNEGO

POSTANOWIENIE O NOWEJ WYPRAWIE DO CZEGO SŁUŻYŁA MOSIĘŻNA TULEJKA

Tajemnicze i groźne wydarzenia, a przede wszystkim udział w nich osób dość znanych w pewnych kręgach, skłoniły mnie do pominięcia kilku nieistotnych szczegółów z tej pełnej niebezpieczeństw historii. Czytelnicy Księgi strachów nie pogniewają się chyba na mnie o to, że nie wymieniłem prawdziwych nazwisk tych osób, oraz wybaczą mi zmianę nazwy miejscowości, w jakiej się te dramatyczne zdarzenia odbyły.

Zainteresowani i tak będą wiedzieli, o kim piszę, a wielbicieli pięknego krajobrazu zapewne zdołają odnaleźć jezioro Jasień (nawet jeśli okaże się, że w rzeczywistości nazywa się ono inaczej).

Historia ta zaczęła się dla mnie pod koniec lipca, gdy z obozu harcerskiego powrócili do miasta trzej młodzi przyjaciele: Wilhelm Tell, Sokole Oko i Wiewiórka <sup>\*1</sup>.

Natychmiast po przyjeździe odwiedzili mnie w moim mieszkaniu, aby opowiedzieć o swych wakacyjnych przygodach: W sierpniu każdy z nich jechał na pozostałą część wakacji razem z rodzicami, pozostawiali więc w mieście tylko przez kilka dni i w tym to czasie niemal codziennie składali mi wizyty. Ja także miałem im co opowiadać, właśnie powróciłem z Pragi, gdzie wspólnie z czeskim detektywem amatorem, panem Dohnalem, udało mi się rozwiązać zagadkę, którą ochrzciliśmy kryptonimem „Golem”. W sierpniu wybierałem się na zasłużony wypoczynek, choć jeszcze nie byłem zdecydowany, dokąd skieruję swój samochód wypełniony sprzętem turystycznym.

Obóz harcerski, na którym przebywali trzej moi młodzi przyjaciele, znajdował się na Pojezierzu Myśluborskim, w przepięknej krainie bogatej w lasy, rzeki, jeziora i stawy. Uroczy ten zakątek mieści się w najdalej wysuniętym na zachód łuku Odry; bez trudu możecie go odnaleźć na mapie.

Chłopcy pokazali mi swoje wakacyjne zdjęcia: zobaczyłem lesiste brzegi jeziora Jasień, pałac niemieckiego grafa - zamieniony na dom wypoczynkowy dla zagranicznych turystów, obóz harcerski - kilkanaście wielkich namiotów zbudowanych tuż za kolonią domków campingowych.

Obejrzałem również brulion, na którym napisano wielkimi literami: Księga strachów. Zauważyłem w brulionie wklejone fotografie jakichś ruin porośniętych krzakami, zdjęcie wielkiego głazu narzutowego i rozstajów leśnych dróg, gdzie stał pochylony krzyż. Pozostałe stronicie brulionu zapisane zostały kształtnym pismem Wilhelma Tella.

Oglądając zrobioną przez chłopców mapę okolicy dowiedziałem się, że jezioro Jasień kształtem swym przypomina literę „S”. Pałac leży po jednej stronie wypiętego brzuszka tej litery, a po drugiej stronie znajduje się kolonia domków campingowych. Tam także, obok, był obóz harcerzy. Na mapie kilka miejsc zaznaczono czerwonymi krzyżykami i literkami MS.

- Nic z tego nie rozumiem - powiedziałem ze zdumieniem. - Co znaczą litery MS? I co to za Księga strachów?

---

<sup>1</sup> Tell, Sokole Oko, Wiewiórka - to oczywiście przydomki chłopców. Pierwszy z nich świetnie strzelał z kuszy, drugi - był bardzo spostrzegawczy, a trzeci - chodził zwinnie po drzewach. O ich poprzednich przygodach dowiedzieć się może czytelnik z książki: Wyspa złoczyńców i Pan. Samochodzik i templariusze.

### POSTANOWIENIE O NOWEJ WYPRAWIE DO CZEGO SŁUŻYŁA MOSIĘŻNA TULEJKA

Tajemnicze i groźne wydarzenia, a przede wszystkim udział w nich osób dość znanych w pewnych kręgach, skłoniły mnie do pominięcia kilku nieistotnych szczegółów z tej pełnej niebezpieczeństw historii. Czytelnicy Księgi strachów nie pogniewają się chyba na mnie o to, że nie wymieniłem prawdziwych nazwisk tych osób, oraz wybaczą mi zmianę nazwy miejscowości, w której się te dramatyczne zdarzenia odbyły.

Zainteresowani i tak będą wiedzieli, o kim piszę, a wielbiciele pięknego krajobrazu zapewne zdołają odnaleźć jezioro Jasień (nawet jeśli okaże się, że w rzeczywistości nazywa się ono inaczej).

Historia ta zaczęła się dla mnie pod koniec lipca, gdy z obozu harcerskiego powrócili do miasta trzej młodzi przyjaciele: Wilhelm Tell, Sokole Oko i Wiewiórka \*[1](#).

Natychmiast po przyjeździe odwiedzili mnie w moim mieszkaniu, aby opowiedzieć o swych wakacyjnych przygodach: W sierpniu każdy z nich jechał na pozostałą część wakacji razem z rodzicami, pozostawali więc w mieście tylko przez kilka dni i w tym to czasie niemal codziennie składali mi wizyty. Ja także miałem im co opowiadać, właśnie powróciłem z Pragi, gdzie wspólnie z czeskim detektywem amatorem, panem Dohnalem, udało mi się rozwiązać zagadkę, którą ochrzcziliśmy kryptonimem „Golem”. W sierpniu wybierałem się na zasłużony wypoczynek, choć jeszcze nie byłem zdecydowany, dokąd skieruję swój samochód wypełniony sprzętem turystycznym.

Obóz harcerski, na którym przebywali trzej moi młodzi przyjaciele, znajdował się na Pojezierzu Myśluborskim, w przepięknej krainie bogatej w lasy, rzeki, jeziora i stawy. Uroczy ten zakątek mieści się w najdalej wysuniętym na zachód łuku Odry; bez trudu możecie go odnaleźć na mapie.

Chłopcy pokazali mi swoje wakacyjne zdjęcia: zobaczyłem lesiste brzegi jeziora Jasień, pałac niemieckiego grafa - zamieniony na dom wypoczynkowy dla zagranicznych turystów, obóz harcerski - kilkanaście wielkich namiotów zbudowanych tuż za kolonią domków campingowych.

Obejrzałem również brulion, na którym napisano wielkimi literami: Księga strachów.

Zauważyłem w brulionie wklejone fotografie jakichś ruin porośniętych krzakami, zdjęcie wielkiego głazu narzutowego i rozstajów leśnych dróg, gdzie stał pochylony krzyż.

Pozostałe stronic brulionu zapisane zostały kształtnym pismem Wilhelma Tella.

Oglądając zrobioną przez chłopców mapę okolicy dowiedziałem się, że jezioro Jasień kształtem

swym przypomina literę „S”. Pałac leży po jednej stronie wypiętego brzuszka tej litery, a po drugiej stronie znajduje się kolonia domków campingowych. Tam także, obok, był obóz harcerzy. Na mapie kilka miejsc zaznaczono czerwonymi krzyżykami i literkami MS.

- Nic z tego nie rozumiem - powiedziałem ze zdumieniem. - Co znaczą litery MS? I co to za Księga strachów?

1 Tell, Sokole Oko, Wiewiórka - to oczywiście przydomki chłopców. Pierwszy z nich świetnie strzelał z kuszy, drugi -

był bardzo spostrzegawczy, a trzeci - chodził zwinnie po drzewach. O ich poprzednich przygodach dowiedzieć się może czytelnik z książek: Wyspa złoczyńców i Pan. Samochodzik i templariusze.

- Nie słyszał pan nigdy o Księgach strachów? - zdziwili się chłopcy. - - To przecież bardzo dobrze znana zabawa harcerska. Polega ona na tym, że na mapie okolicy, gdzie przebywa drużyna harcerska, zaznaczają się wszystkie miejsca, w których rzekomo straszy. MS to właśnie: Miejsce, w którym straszy. Potem robi się Księgę strachów i zapisuje w niej wszystkie legendy o różnych miejscowych strachach. A następnie poszczególne zastępy odwiedzają nocą owe eMeSy i po stwierdzeniu, że żadnych strachów się nie spotkało, harcerze zostawiają tabliczkę z napisem: „Sprawdzono. Strachów nie ma”.

- Bardzo ładna zabawa. I zapewne pełna emocji - przyświadczyłem. - Oczywiście odwiedziliście wszystkie te zaznaczone na mapie eMeSy i nigdzie strachów nie napotkaliście.

- Bo żadnych strachów nie ma. Nie wierzę w duchy ani w upiory - stwierdził Wilhelm Tell, a Sokole Oko przytaknął mu głową.

Tylko Wiewiórka odwrócił twarz w stronę okna, jak gdyby nagle zainteresował się latającymi po niebie gołębiami. Wydało mi się, że chłopiec nie chce się wypowiedzieć ani na „tak”, ani na „nie”.

- A ty, co o tym myślisz? - zapytałem go.

Wzruszył ramionami.

- Uważam, że zdarzają się jednak sprawy, które nie tak łatwo wyjaśnić przy pomocy rozumu. Zresztą - znowu wzruszył ramionami - pan mi tak samo nie uwierzy, jak cała nasza drużyna.

- Ty znowu swoje zaczynasz? - oburzył się So kole Oko.- Przez ciebie nasz zastęp stał się pośmiewiskiem drużyny. Po prostu zemdlałeś w ruinach starego obserwatorium i miałeś przykre majaki.

- To wcale tak nie było - bronił się Wiewiórka.

- Znaleźliśmy cię zemdlonego czy nie znaleźliśmy? - zapytał go surowo Wilhelm Tell.

- Ja zemdlałem potem, przedtem zaś zdarzyła mi się ta straszna historia - tłumaczył

Wiewiórka. - A ten mosiężny przedmiot, który leżał obok mnie? Co to jest takiego? Proszę, niech pan zobaczy...

Wiewiórka pogrzebał w kieszeniach spodni i podał mi mosiężną tulejkę.

- Duchy nie zostawiają tego rodzaju przedmiotów- drwił Sokole Oko.

- Bo ja wcale nie mówię, że spotkałem ducha - odparł zaczepnie Wiewiórka. - Stwierdzam tylko, że widziałem tajemnicze sprawy. Więcej na ten temat nic nie powiem, bo i tak mi nikt nie uwierzy. A ja swoje wiem i przekonać się nie dam.

- Ten przedmiot leżał tam zapewne na długo przed naszą wizytą. Tylko go przedtem nie zauważyliśmy  
- pogardliwie rzekł Wilhelm Tell. - W starym obserwatorium astronomicznym zapewne można znaleźć wiele różnych dziwnych przedmiotów.

Kłócili się jeszcze czas jakiś, a ja oglądałem mosiężną tulejkę stanowiącą przedmiot sporu.

Starłem się nadać swej twarzy wyraz obojętności, z trudem jednak hamowałem ogarniające mnie podniecenie. Wreszcie oddałem Wiewiórcę tulejkę i zapytałem:

- Cóż to za ruiny obserwatorium astronomicznego? I jak to właściwie było z tym zemdleniem?  
Wiewiórka był obrażony na swoich kolegów.

- Nic więcej nie powiem. Złożyłem zeznania zapisane w Księdze strachów i nie zamierzam ich odwołać, choćbyście się ze mnie śmiali przez kilka miesięcy.

Wilhelm Tell podsunął mi brulion.

- W Księdze strachów znajdzie pan dokładny opis całego zdarzenia. Jeśli pan chce, możemy Księgę zostawić panu do jutra. Potem musimy ją zwrócić drużynie.

Czym prędzej schowałem brulion do szuflady biurka.

- Kiedy znaleźliście tulejkę? - zwróciłem się do Sokolego Oka.

- To było w przeddzień naszego wyjazdu z obozu. Leżała w pobliżu zemdlonego Wiewiórki, w rumach starego obserwatorium.

- Ach tak? Więc od tej chwili upłynęło zaledwie cztery dni- liczyłem głośno.

Wilhelm Tell zerknął na mnie uważnie.

- Zainteresowała pana ta sprawa?

Odpowiedziałem wykrętnie:

- Po prostu chcę poznać istotę waszego sporu. Dlatego chętnie przeczytam Księgę strachów.

I już więcej nie nawiązywałem w rozmowie do tej sprawy. Opowiedziałem chłopcom o swych przygodach w Pradze i nawet radziłem się, czy napisać o nich nową książkę. Lecz gdy tylko zamknęły się drzwi za moimi przyjaciółmi, szybko wróciłem do biurka, położyłem na nim Księgę strachów i zagłębiłem się w lekturze.

Tej nocy światło bardzo długo nie gasło w moich oknach. O drugiej po północy sięgnąłem na półkę, gdzie trzymałem przewodniki z różnych okolic Polski, i rozłożyłem mapę Pojezierza Myśliborskiego. Wiedziałem już, dokąd skieruję swój wehikuł i gdzie spędzę urlop. Nad Jasieniem, tam gdzie jeszcze przed kilkoma dniami obozowali moi przyjaciele.

Ale nie wolno mi było o tym mówić, zapowiadała się bardzo niebezpieczna przygoda, więc wolałem, aby chłopcy sierpień spędzili ze swoimi, rodzicami. Gdybym; wtajemniczył ich w swe podejrzenia, zmusiliby mnie do: zabrania ich ze sobą. A tego właśnie chciałem uniknąć.

Nazajutrz oddałem im Księgę strachów i powiedziałem, że trudno mi jest wypowiedzieć się na temat niezwykłych przeżyć Wiewiórki. Potem szybko pożegnałem ich, gdyż - jak powiedziałem i co było zresztą prawdą - nadeszła pora mego wyjazdu na urlop. Dokąd?

„Gdzieś w Polskę, bez żadnego celu” - rzekłem mocno ściskając ich dłonie.

Naprawdę zaś już nazajutrz chciałem być w Jasieniu. Albowiem domyślałem się, jak to było naprawdę z przygodą Wiewiórki. Opowiedziała mi o tym mosiężna tulejka, którą znaleźli obok niego.

Była to łuska naboju do... pistoletu gazowego. Kilkakrotnie oglądałem taki pistolet, widziałem naboje do niego.

Moi trzej przyjaciele poszli nocą do starego obserwatorium, aby stwierdzić, czy tam straszy.

I do jednego z nich, Wiewiórki, ktoś strzelił z gazowego pistoletu, oszalał i powodując krótkie omdlenie. Już sam taki fakt wystarczyłby, aby skierować mój wehikuł w tamte okolice. Interesujących faktów było jednak więcej, znalazłem je właśnie w Księdze strachów.

I tym wydarzeniom poświęcam tę książkę.

## ROZDZIAŁ DRUGI

### KSIĘGA STRACHÓW

(fragmenty)

(...) Nasz obóz harcerski zbudowany został na brzegu pięknego jeziora Jasień, w okolicy niezwykle malowniczej, na Pojezierzu Myśliborskim. Otaczają jezioro lesiste -wzgórza pełne jarów i wąwozów, przez które płyną małe rzeczki. Na jednym końcu jeziora, od strony południowej, rozciąga się wieś ze starym kościołkiem, a na drugim końcu jeziora znajduje się zrujnowany młyn. O dwa kilometry od wioski, na brzegu jeziora, stoi pałac z dwiema strzelistymi wieżami i wielkim tarasem. Dookoła pałacu rozciąga się rozległy i dziki park.

Cała ta okolica - jeziora, wielkie lasy i pola uprawne za wsią - należały niegdyś do rodu hrabiów von Haubitz.

We wsi Jasień, która nazwę bierze od jeziora, mieszka przeważnie ludność napływowa, przybyła zza Bugu lub z Polski centralnej, ale jest także kilka rodzin żyjących tutaj z dziada pradziada, tak zwani autochtoni, czyli Polacy, którzy mimo że długo przebywali pod jarzmem niemieckim, nie dali się zgermanizować.

W czasie działań wojennych w 1945 roku pałac Haubitzów został częściowo zrujnowany, ale w niedługim czasie odbudowano go i, ze względu na piękną okolicę, przeznaczono na ośrodek wczasowy dla turystów polskich i zagranicznych. Przyjeżdżają tu goście z Niemiec, Anglii, Szwecji, Francji, Związku Radzieckiego i Czechosłowacji; na brzegu jeziora zbudowano przystań z wypożyczalnią sprzętu sportowego.

W parku pałacowym, w najodleglejszym jego zakątku, na szczycie dużego wzgórza, znajdują się ruiny dziwacznej budowli zarośnięte krzakami i młodymi drzewami. Są to pozostałości prywatnego obserwatorium astronomicznego zbudowanego przed siedemdziesięciu laty przez ówczesnego dziedzica tej ziemi, grafa Yolkmara von Haubitz, który pasjonował się astronomią i podobno miał w tej dziedzinie nawet duże sukcesy, stał

się odkrywcą jakiejś gwiazdy czy też planety. Był on jedną ze świątlejszych postaci swego rodu, za jego życia polskim chłopom żyło się stosunkowo dobrze. Ale jego synowie nie podzielali zainteresowań swego ojca, nie pasjonowali się astronomią, starali się zrobić karierę wojskową w pruskiej armii i wszelkimi siłami dążyli do zgermanizowania ludności w swojej okolicy, rugowali z ziemi polskich chłopów, a na ich miejsce sprowadzali kolonistów niemieckich. Pozwolili oni, aby czas obrócił w ruinę obserwatorium ich dziada, które dziś stanowi tylko malowniczy zabytek odwiedzany przez turystów.

(...) Jeśli chodzi o strachy i upiory, to miejscowa ludność na ogół nie wierzy w nie i na nasze pytanie zazwyczaj odpowiada wruszeniem ramion lub żartobliwymi uwagami, że wszystkie miejscowe strachy wyniosły się razem z hitlerowcami. Mimo to jednak udało się nam nakłonić pewnego człowieka do wskazania miejsc, gdzie straszy. Zrobiliśmy mapę tych okolic i postanowiliśmy je zbadać, aby ostatecznie rozwiązać wiarę w upiory.

A oto miejsca, w których podobno straszy:

1. Młyn Topielec. Taką dziwną nazwę noszą ruiny młyna na końcu jeziora. Podobno przed trzydziestu laty był to najpiękniejszy w okolicy młyn z wielkim kołem poruszonym przez spiętrzone wody niewielkiego strumienia spływającego do jeziora. Właścicielem młyna był

straszliwy skąpiec, który nawet własnej żonie żałował jedzenia, tak że wkrótce zmarła.

Młynarz nie ożenił się powtórnie, a w miarę upływu lat stawał się coraz bardziej skąpy. Nie wiadomo było, dla kogo gromadzi swoje bogactwo, bo nie miał dzieci. Pewnego dnia utopił

się albo też wpadł do wody przed stawidłem. Od tego czasu młyn stał się ruiną, a jak opowiadają starzy ludzie, w księżycową noc w jeziorze koło młyna można zobaczyć straszliwego topielca. Jest to młynarz, który pokutuje za swoje skąpstwo.

2. Kamień Diabelski przy leśnej drodze okrążającej jezioro. Jest to ogromny głaz narzutowy, zapewne przyniesiony tu przez lodowiec. Legenda mówi jednak, że zrobił go diabeł na rozkaz grafa Hennanna von Haubitz, który sprzedał piekło swoją duszę w zamian za to, że diabeł będzie mu



pomagał w jego przedsięwzięciach. Było to przed stu laty, gdy ród Haubitzów jeszcze nie był tak możny, jak później. To właśnie od rządów Hermanna von Haubitz wzrósł on w bogactwo i znaczenie. Wszystko, czego się tknął ów Hermann, zamieniało się w złoto i dostatek. Ludność okoliczna zaczęła wierzyć, że pomaga mu diabeł.

Hermann von Haubitz wygrał ciągnące się od wieków procesy z okolicznymi grafami i znacznie poszerzył swoje posiadłości; na jego polach rodziła się niezwykle dorodna pszenica; miał największe w okolicy zbiory ziemniaków; mnożyły się stada krów, owiec i koni. On to rozbudował pałac nad jeziorem i uczynił go wspaniałą rezydencją. Aby uzyskać duszę Hermanna, diabły orały na jego polach, pasły jego stada. Ale graf Hermann stawiał

ciągle nowe żądania diabłom i wcale nie śpieszył się z oddaniem im swojej duszy, choć już był bardzo stary. Pewnego razu rozkazał diabłu przynieść ogromny kamień, który miał

posłużyć do budowy grobli przez jezioro. Jednocześnie zażądał od diabła eliksiru nieśmiertelności, aby w ten sposób zabezpieczyć się przed oddaniem piekła swej duszy. To żądanie tak rozwścieczyło diabła, że porzucił kamień i porwał jadącego konno grafa, 4

żywcem zanosząc go przed oblicze Lucyfera. Porzucony przez diabła kamień nosi ślady jego pazurów.

3. Obserwatorium astronomiczne na skraju pałacowego parku. Z miejscem tym nie ma związanej żadnej legendy ani opowieści o upiorach. Niemniej niektórzy sądzą, że i tam zjawiają się nocami strachy. Zapewne duże znaczenie ma fakt, że ruiny obserwatorium znajdują się w mało uczęszczanym i prawie dzikim zakątku, porośnięte są drzewami i krzakami.

Gdy się tam zawędruje, ogarnia przybysza nastrój tajemniczości i grozy. Jakże strasznie muszą wyglądać te ruiny podczas nocy księżycowej. Wydaje się więc, że trzeba koniecznie odwiedzić nocą ruiny obserwatorium i po dokładnym spenetrowaniu tego miejsca, przybić tabliczkę z napisem: „Strachów nie ma”, aby w ten sposób zachęcić wszystkich do zwiedzania uroczego zakątka również nocą.

4. Stary kościół z tajemniczą szachownicą.

W wiosce Jasień istnieje stary XIII-wieczny kościółek, a na jego kamiennym murze, tuż przy drzwiach wejściowych, widnieje wyryta w kamieniu szachownica. Takich szachownic jest podobno jeszcze kilka na kościołach w pobliskich okolicach.

Znak szachownicy miał również w swym herbie ród grafów Haubitzów i, jak twierdzą niektórzy ludzie, ten znak pozostawili oni na kościołach, które fundowali w swoich rozległych dobrach.

Twierdzenie to jednak budzi wątpliwości, gdyż, jak nam mówił miejscowy nauczyciel, kościoły te są znacznie starsze niż ród Haubitzów. Uważa on, że to już raczej Haubitzowie przyjęli do swego herbu ów znak, gdy przybyli w te okolice i wzięli w posiadanie dobra wraz z kościołami, na których widniała szachownica.

Ze znakiem szachownicy związana jest także bardzo ciekawa historia sprzed więcej niż dwudziestu laty. Było to na początku 1945 roku, kiedy to nad Odrę zbliżała się Armia Czerwona i I Armia Wojska Polskiego. Wówczas to stary Johann von Haubitz, który był

zwolennikiem Hitlera i w armii hitlerowskiej miał swego jedynego syna, Konrada, postanowił

ukryć w tajnym schowku najcenniejsze swoje rzeczy. Wsiadł w samochód i objechał dobra Haubitzów, zabierając z kilku swych dworów i pałacyków wspaniałą kolekcję obrazów, srebrne zastawy stołowe, świeczniki i tym podobne przedmioty. Wszystkie te rzeczy przywiózł następnie do pałacu w Jasieniu i ukrył w schowku w ruinach obserwatorium astronomicznego.

Po ukryciu najcenniejszych rzeczy postanowił, uzbroiwszy służbę, bronić się w swym pałacu. Lecz służba rozpierzchła się, gdy tylko usłyszano warkot nadjeżdżających czołgów rosyjskich.

Stary Haubitz tak przejął się zdradą służby, że dostał ataku serca i wkrótce zmarł. Ale przed śmiercią zdążył wyjawić zaufanemu lokajowi, nazwiskiem Platzek, miejsce ukrycia swoich skarbów, rozkazując mu, aby tę informację przekazał w przyszłości młodemu Konradowi von Haubitz. Graf kazał również przekazać synowi wiadomość, że „najcenniejszej rzeczy strzeże ich rodowy znak szachownicy”.

Po śmierci starego grafa i wkroczeniu Armii Czerwonej ów Platzek postanowił skorzystać z udzielonej mu informacji i przywłaszczyć sobie skarby Haubitzów. Odnalazł schowek w ruinach obserwatorium i zaczął wydobywać z niego cenne przedmioty.

Na tej czynności nakryli go żołnierze, Platzek powędrował do więzienia, a skarby Haubitzów trafiły do polskich muzeów.

Po dwóch latach więzienia Platzek wrócił do Jasienia i rozpoczął poszukiwania owej najcenniejszej rzeczy, której strzegł znak szachownicy. Całe miesiące trawił na poszukiwaniach, które okazały się bezowocne. Z tego wszystkiego ów Platzek zwariował, stał się pośmiewiskiem i wreszcie zmarł w wielkiej nędzy, gdyż pracować mu się nie

chciało. Wciąż łudził się nadzieją, że odnajdzie tę najcenniejszą rzecz Haubitzów, a wtedy stanie się bardzo bogaty.

Starzy ludzie w Jasieniu opowiadają, że w ciemne noce duch obłąkanego Platzka kręci się koło kościoła w- Jasieniu w pobliżu znaku, tajemniczej szachownicy. Ducha tego także można spotkać wszędzie tam, gdzie widnieją owe znaki, a więc w ruinach obserwatorium i obok kamienia w młynie Topielec.

Miejscowy nauczyciel uważa, że poszukiwania Platzka były bezsensowne, znak szachownicy nie kryje żadnej zagadki ani cennego, materialnego przedmiotu. Po prostu stary von Haubitz, mówiąc, że „najcenniejszej rzeczy strzeże ich rodowy znak szachownicy”, miał na myśli „honor rodu” i jego wielkość związaną z herbem gratów. Innymi słowy, stary graf chciał przekazać synowi, Konradowi von Haubitz, polecenie, aby zawsze pamiętał, z jakiego pochodzi rodu i starał się odbudować jego wielkość.

Pamiętając o fakcie, że stary Haubitz chciał z uzbrojoną służbą bronić zamku przed wkraczającą Armią Czerwoną, wyjaśnienie to wydaje się bardzo prawdopodobne.

Nie byłoby chyba celowe cytowanie całej Księgi strachów ani przytaczanie z niej opisu tych wszystkich miejsc, które moi przyjaciele harcerze uznali za eMeSy.

Nie będę również cytował relacji z poszczególnych wypraw harcerskich, które miały ugruntować przekonanie, że nie ma strachów i upiórów. Ograniczę się jedynie do szczegółów mających istotne znaczenie dla głównego nurtu akcji tej książki oraz dramatycznych wypadków, jakie zdarzyły się nieco później.

Sprawozdania z niektórych wypraw są długie i nużące, pozwolę sobie je tylko streścić.

A więc nocna wycieczka do Diabelskiego Kamienia przyniosła jej uczestnikom tylko katar.

Trzy godziny czatowali chłopcy w lesie w najbliższym sąsiedztwie kamienia. Diabeł nie pokazał się, nie usłyszano także jęków żalonych, które - według legendy - wydawać miała dręczona w piekle dusza grafa Hermanna.

Nazajutrz obok kamienia postawiono drewnianą tabliczkę z napisem: „Sprawdzono. Diabła nie ma”.

W księżycową noc pomaszerowali chłopcy aż na koniec jeziora, do ruin młyna o nazwie Topielec. Okazało się, że staw obok młyna, gdzie rzekomo w księżycowe noce miał się jawić duch skąpego młynarza, był zarośnięty rzesą, więc chłopcy upióra nie zobaczyli.

Również i mocna wyprawa do obserwatorium astronomicznego nie przyniosła spotkania ze strachami. Tyle tylko, że Wiewiórka zemdłał, a potem opowiadał jakieś niesamowite historie o swoich przeżyciach. Ale nikt mu przecież mię dawał wiary. Ja jednak, ze względu na wagę sprawy, zeznania Wiewiórki pozwolę sobie przytoczyć w całości: (...) Było to na krótko przed północą. Przywędrowaliśmy aleją parkową aż do wzgórza, na którym znajdują się ruiny obserwatorium astronomicznego. Im bliżej wzgórza, tym gęściej porasta tu alejkę trawa. Dalej prowadziła już tylko ścieżka wśród krzaków i drzew.

Na końcu alejki rozstaliśmy się z sobą. Wilhelm Tell skręcił w lewo, aby dostać się do ruin od strony wschodniej, to jest od jeziora; inni chłopcy podchodzili od północy, bo tam jest dojście najtrudniejsze, wzgórze ma stok bardzo stromy, niemal całkowicie porośnięty kolczastymi krzakami jeżyn i malin. Mnie polecono zdobywać wzgórze od strony południowej, to znaczy po prostu pójść do ruin krętą ścieżyną.

Gdy tylko moi koledzy przepadli w ciemności, a tej nocy było bardzo ciemno, nie świecił

księżyc ani nie widziało się gwiazd - natychmiast pomaszerowałem ścieżką na wzgórze.

Każdy z nas miał elektryczną latarkę, ale obiecaliśmy sobie ich nie używać, aby zbędnymi światłami nie mylić się wzajemnie. Zresztą chodziło o przeżycie nastroju grozy i niesamowitości. Szedłem szybko i dwa razy niemal przewróciłem się o gęste krzaki, a raz o mało nie skręciłem sobie nogi, która wpadła mi w jakąś dziurę.

Wtedy chciałem zapalić latarkę, aby oświetlić dalszą drogę, lecz latarka właśnie zawiodła tej nocy. Później stwierdziłem, że ułamała się w niej blaszka kontaktowa.

Poczułem się niepewnie, zrobiło mi się nieswojo. Dookoła mnie zamykała się nieprzenikniona gęstwa krzaków, w których coś cichutko szeleściło. Zawrócić jednak nie wypadało, bo chłopcy by mnie wyśmiali. Musiałem więc iść dalej, choć bardzo się bałem.

Ruiny zresztą były niedaleko, za następnym zakrętem dróżki.

Ponieważ kilkakrotnie byłem za dnia w ruinach, wiedziałem, że zaraz trafię na pozostałość po dawnej bramie do obserwatorium, a potem muszę przejść pod kamiennym łukiem bramy, aby znaleźć się na podwórzu, z czterech stron zamkniętym murem.

Z prawej strony jest w murze dziura, przez którą można wejść do bocznego pomieszczenia, niedużej sali bez dachu. To tam podobno znajdowała się kiedyś luneta do obserwacji ciał niebieskich.

I oto nad głową zobaczyłem czarny cień łuku bramy. Przystanąłem, bo wydawało mi się, że słyszę szmer rozmowy płynący z ruin. Pomyślałem, że zapewne moi koledzy szybciej ode mnie dostali się na szczyt -wzgórza i przez wyłom w murze weszli na tyły obserwatorium.

Śmiało więc zrobiłem kilka kroków przez pogrążony w ciemnościach podwórzec. ...

Raptem oślepił mnie ostry blask. Tak silnej latarki nie miał nikt z naszych chłopców w obozie harcerskim, więc od razu wiedziałem, że to ktoś obcy. Oczy aż zabołały mnie od mocnego światła, nagle blask przysłonił jakiś cień, jak gdyby ktoś w czarnym płaszczu zbliżał się do mnie. Ten cień rósł, potężniał i wówczas rzuciłem się do ucieczki. Wybiegłem na ścieżkę, pędziłem co tchu, jednak za sobą wciąż słyszałem odgłos zbliżającej się pogoni. W pewnej chwili doszedł mych uszu dźwięk podobny do tego, jaki się słyszy, gdy ktoś otwiera butelkę z oranżadą lub piwem. Zrobiło mi się duszno, miałem uczucie, że żołądek podchodzi mi pod gardło i zaraz zacznę wymiotować. Przystanąłem i, czując, że zaraz upadnę, przyklęknąłem. Potem już nic nie pamiętam.

Jak długo leżałem na ścieżce, tego oczywiście nie wiem.

Chłopcy twierdzą, że nie więcej niż kilka minut. Bo tyle czasu upłynęło od chwili, gdy usłyszeli mój krzyk aż do momentu, gdy świecąc latarkami odkryli mnie leżącego na ścieżce. Wilhelm Tell zrobił mi zaraz sztuczne oddychanie i odzyskałem przytomność.

Natychmiast opowiedziałem im, co mi się przydarzyło, poszliśmy razem w ruiny, ale nikogo tam nie napotkaliśmy. Tyle tylko, że w pobliżu tego miejsca, gdzie upadłem, odnaleźliśmy mosiężną tulejkę, która nie wiadomo do czego służy. Może zresztą nie ma ona nic wspólnego z tym, co mi się przytrafiło?

Daję jednak słowo, że gdyby leżała tam za dnia, to byśmy ją widzieli.

Powyższą opowieść podpisuję swoim imieniem i nazwiskiem Oraz prawdziwość zawartych danych

potwierdzam harcerskim słowem.

- Nie dziwię się, że opowieść Wiewiórki wydała się jego kolegom niewiarygodna. Nikt mu oczywiście nie zarzucał kłamstwa, ale prawdopodobnym się wydawało, że mdlejąc, chłopak miał różnego rodzaju przywidzenia. Rzecz jasna, pozostawała kwestia: dlaczego zemdlął?

Lecz i ta sprawa dawała się wytłumaczyć dość prosto. Chłopiec zjadł coś niestrawnego, miał jakieś silne sensacje żołądkowe (stąd to straszne uczucie mdłości) i zrobiło mu się słabo. Przecież nic się właściwie nie stało. Nikt mu nie zrobił żadnej krzywdy, nikogo nie odnaleziono w ruinach ani nie odkryto śladów potwierdzających dziwną opowieść.

A właśnie: ślady... Jakież ślad dla chłopców mogła stanowić metalowa tulejka, co do której nie można było nawet mieć pewności, czy nie leżała na ścieżce znacznie wcześniej? Za dnia chłopcy jej nie widzieli. Niewykluczone jednak, że ktoś ją tam porzucił wieczorem.

Zresztą, co ma wspólnego metalowa tulejka z faktem omdlenia Wiewiórki?

Ja jednak oglądałem kiedyś pistolet gazowy i widziałem naboje do niego. Podłużna metalowa tulejka była ich zasadniczą częścią. Znam także działanie tej broni. Wystrzał z pistoletu gazowego przypomina, odgłos otwieranej butelki z piwem. Potem następuje charakterystyczne uczucie mdłości i duszności, które ogarnia trafionego obłokiem gazu.

Czyż mogłem wątpić, że do Wiewiórki strzelano z pistoletu gazowego?

Widocznie w ruinach obserwatorium działo się w ciemnościach nocnych coś takiego, czego nie powinny zobaczyć oczy niepowołanego świadka. Oczywiście, trudno przewidzieć, co by się stało, gdyby chłopca schwytano, i nie warto snuć w tej sprawie żadnych hipotez.

Chłopiec zaczął uciekać i zatrzymano go strzałem z pistoletu gazowego. Gdy omdlały leżał na ścieżce, można go było schwytać. Lecz wówczas okazało się, że na wzgórzu jest jeszcze kilku innych chłopców, którzy na krzyk Wiewiórki zaczęli nadbiegać z różnych stron.

I tajemniczy osobnik, jeden lub kilku, wolał w tej sytuacji zniknąć z ruin.

Sprawa wyglądała podejrzanie i tajemniczo. Na tyle podejrzanie, aby skierować mój wehikuł nad jezioro Jasień. Jako pracownik muzeum i ochrony zabytków tylekroć brałem udział w poszukiwaniach zaginionych zbiorów, że w mej wyobraźni zaraz zrodziło się przekonanie, iż i tym razem również chodzi o jakiś ukryty zabytkowy przedmiot.

Dziś wiem, że okazałem daleko posuniętą naiwność.

Sprawy, z którymi się zetknąłem w Jasieniu, były o wiele bardziej zawile, ponure i groźne.

## ROZDZIAŁ TRZECI

PIERWSZA WZMIANKA O KONRADZIE VON HAUBITZ • DRWINY Z WEHIKUŁU •

POŚCIG ZA PIRATEM DROGOWYM \* HEINRICH KLAUS I MANDAT \* W JASIENIU «

BARDZO DZIWNY PIES •

BARDZO DZIWNA CIOTKA • HORPYNA I DŻUDO

Oddałem chłopcom Księgę strachów nie zdradzając zamysłu natychmiastowego wyjazdu do Jasienia. Pożegnałem się z nimi, a gdy opuścili moje mieszkanie, zadzwoniłem do znajomego dziennikarza, który przez długi okres czasu był korespondentem prasowym w Niemieckiej Republice Federalnej.

- Czy podczas pobytu w Niemczech nie obito się o pana uszy nazwisko: Haubitz?

- Ależ tak, oczywiście. Konrad von Haubitz to dość znana postać w pewnych sferach w NRF. Jest działaczem jednej z partii przesiedleńców. Należą do niej ci Niemcy, którzy po zakończeniu przegranej wojny musieli opuścić tereny odzyskane przez Polskę. Konrad von Haubitz zajmuje wśród nich poczesne miejsce, znany jako zagorzały wróg Polski i Polaków.

- Jest on synem Johanna von Haubitz, który na naszych ziemiach zachodnich miał potężne majątki?

- Tak, to ten sam. W NRF przepowiadają mu świetną karierę polityczną, ale ostatnio pan Haubitz miał duże kłopoty. Chce uchodzić w oczach opinii społecznej za człowieka o

„czystych rękach”, twierdzi, że w minionej wojnie brał udział jako zwykły oficer Wehrmachtu, z żadnymi przestępstwami wojennymi nie miał nic wspólnego. A tu masz, w jednej z gazet frankfurckich ukazał się list oskarżający go o dokonanie zbrodni wojennych.

Haubitz wytoczył redakcji proces o zniesławienie i niedawno we Frankfurcie nad Menem odbyła się rozprawa sądowa. Proces odroczone, gdyż wypłynęły na nim pewne nowe okoliczności.

Sądzę jednak, że Haubitz proces wygra, redakcja będzie musiała mu zapłacić duże odszkodowanie, a on przy okazji spróbuje zapewne zbić nowy kapitał polityczny. To zresztą długa historia. Jeśli interesuje ona pana, proszę do mnie wpaść do redakcji za cztery dni, bo dziś wieczorem wyjeżdżam do Berlina. Będę z powrotem dopiero pojutrze.

„Za cztery dni? - pomyślałem. - Nie mogę czekać aż tyle czasu, gdy tam, w Jasieniu, wydarzyły się tak podejrzan sprawy. I tak jestem spóźniony właśnie o cztery dni”.

- Dziękuję panu - powiedziałem do dziennikarza. - Informacje, których mi pan udzielił, wydają mi się wystarczające.

W pół godziny później na drzwiach mego mieszkania umieściłem kartkę przeznaczoną dla listonosza. Poprosiłem go, aby listy do mnie kierował na poste restante w Jasieniu, w województwie szczecińskim. Objuczony tobołami znalazłem się w swym garażu. Wkrótce mój dziwaczny wehikuł pędził już szosą w kierunku Poznania. Wyjechałem o czwartej po południu, wieczorem minąłem Poznań. Przenocowałem w lasach między Pniewami a 8

Skwierzyną na rozkładanych siedzeniach swego samochodu. O świcie ruszyłem na Gorzów Wielkopolski. O dziewiątej rano znalazłem się obok przydrożnej stacji benzynowej oddalonej o piętnaście kilometrów od Jasienia. Uznałem, że nadeszła pora uzupełnienia baku z paliwem.

Dzień wstał słoneczny, na niebie nie widziało się ani jednej chmurki, zapowiadał się upał.

Była sobota, pora przygotowania się do niedzielnych wycieczek. Na stacji benzynowej stało w kolejce po paliwo kilkanaście motocykli. Przed skrzętem na podjazd do pomp przyhamowałem mocno, aby nie potrącić któregoś z nich.

Raptem usłyszałem pisk opon. Szary taunus wyprzedził mnie na skrzęcie i przede mną wpadł na podjazd.

Zatrzymał się przed pompą benzynową hamując tak gwałtownie, że przód wozu nieomal przygniotło do ziemi. Z taunusa wyskoczył mężczyzna z czarną bródką.

Gdy podjechałem, wyszczerzył do mnie zęby w ironicznym uśmiechu.

- Kto pierwszy, ten lepszy, no nie? - zawołał, a potem obrócił się do pracownika stacji: -

Trzydzieści niebieskiej, proszę pana.

Motocykliści zaprotestowali, bo podjechali wcześniej i ich należało najpierw obsłużyć.



Pracownik stacji odpowiedział, że przecież do motocykli biorą mieszankę z innej pompy, a ten pan chce czystą benzynę. Było widoczne, że wołał obsłużyć najpierw właściciela taunusa, od którego być może spodziewał się napiwku, jako że wóz miał zagraniczną rejestrację. Podszedłem do brodacza. Od dwóch lat byłem społecznym inspektorem Służby Drogowej ORMÓ, miałem w aucie „lizaka”, opaskę, a w kieszeni nosiłem specjalną blaszkę ze swym numerem inspekcyjnym.

Posiadałem także książeczkę mandatów kredytowych i obowiązany byłem karać łamiących przepisy drogowe. Kierowca taunusa złamał przepisy, ale był to obcokrajowiec; sądząc po literze „D” przy tablicy z numerem wozu - Niemiec. Wobec cudzoziemców starałem się zazwyczaj ograniczyć sprawę do ustnego upomnienia.

- Czy w pańskim kraju - zapytałem brodacza - wolno wyprzedzać z lewej strony, gdy wóz przed panem dał znak, że skręca w lewo? Mógł pan spowodować zderzenie.

Brodacz wzruszył ramionami.

- Pan nie docenia szybkości mojego samochodu. Zanim pan dokonał skrętu, ja już byłem przed stacją.

O zderzeniu nie mogło być mowy.

- Mimo wszystko złamał pan przepisy...

- Och, niech pan nie będzie aż takim formalistą.

Proszę wziąć pod uwagę, że mnie się śpieszy - mówił dobrze po polsku, choć z niemieckim akcentem.

- Mnie też się śpieszy - odrzekłem.

Roześmiał się.

- Gdyby się panu śpieszyło, nie jechałby pan takim gratem. Pański rupieć nie wyciąga więcej niż trzydzieści kilometrów na godzinę.

Kilku motocyklistów, przysłuchujących się naszej wymianie zdań, parsknęło śmiechem. Ich sympatia była po stronie brodacza, choć chciał wyprzedzić czekających w kolejce po benzynę. Ale tak już jest wśród ludzi zarażonych „chorobą motoryzacyjną”, że imponuje im ten, kto ma lepszy i szybszy samochód.

Wiedziałem, co teraz nastąpi. Zaczną się drwiny z mojego wehikułu. Przecież nie mogłem każdemu z osobna opowiadać historii mego samochodu, mówić o Włochu, który w wozie ferrari 410 rozbił się na drodze do Zakopanego. O moim wujku, zapoznanym wynalazcy, który odkupił wrak ferrari, wyremontował go, gospodarczym sposobem dorobił karoserię, wzbogacił wóz o kilka usprawnień i, umierając, darował mi swój wehikuł, najszybszy samochód, jaki jeździ po polskich drogach.

- Czy pan swój wóz wiezie do jakiegoś muzeum? - spytał brodacz, starając się swemu głosowi nadać jak najpoważniejszy ton, przez co słowa jego brzmiały bardziej ikomicznie. -

Ciekawym, jaki to rocznik? Chyba 1900. Czy pan sądzi, że z samochodami jest tak, jak z winem? Im starsze, tym lepsze?

Motocykliści zarechotali zgodnym chórem. Ośmieleni drwinami brodacza otoczyli mój wehikuł, zaglądali do -wnętrza, pukali palcami w karoserię, jak gdyby chcąc się upewnić, czy nie jest z papieru.

Narastała we mnie wściekłość, ale byłem bezradny.

Mój wehikuł przypominał stare, odrapane czółno, na którym ktoś zbudował brezentowy namiot. Przed rokiem pomalowałem samochód na srebrny kolor, lecz lakier nie chciał się trzymać i odpadał całymi płatami.

A te dziwaczne reflektory z przodu wozu, wybałuszone jak oczy jakiegoś robaka! Wuj zbudował potworka na kołach, coś, co podobne było do dziwnego owada z zadartym kuprem. Czy miałem każdemu wyjaśniać, że ten zadarty kuper jest potrzebny do tego, aby mój wehikuł mógł pływać po wodzie?

- Nie zamieniłbym go na swoją jawę - stwierdził głośno jeden z motocyklistów. - Chyba żeby mi pan dopłacił ze dwadzieścia tysięcy - zwrócił się do mnie.

- Czy mógłby pan pokazać jego silnik? - zaproponował drugi z motocyklistów.

Już miałem zamiar spełnić to życzenie. Wiedziałem, że wybałuszą oczy, zobaczywszy lśniący czystością potężny silnik ferrari 410 super amerika, który posiadał dwanaście potężnych cylindrów o mocy znamionowej trzysta pięćdziesiąt koni mechanicznych, dwa gaźniki, przełożenia nadające mu szybkość do dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Samochodu ferrari 410 nie buduje się seryjnie, lecz na indywidualne zamówienie klientów, jako wozy sportowo-turystyczne. Nawet we Włoszech, gdzie powstają te wozy, niewiele ich spotyka się na szosach. Jakiś dziwny traf spowodował, że właściciel takiego wozu rozbił się pod Zakopanem, miażdżąc karoserię, ale nie uszkadzając silnika. A potem za bezcen połamany wrak odkupił mój wujek, wynalazca.

Odremontowany przez niego wehikuł miał teraz wszystkie zalety dawnego ferrari 410, a jednocześnie wzbogacony został o zupełnie nowe elementy. Tylko że był okropnie brzydki.

Nie, nie pokazałem silnika. Pracownik stacji zaczął nalewać benzynę do taunusa, a zaraz potem gumowy wąż wsunął do mojego baku.

Brodacz wyjął ze swego wozu tubkę ze specjalnym kremem i wycierał nim dłonie, które pobrudził dotykając nakrętki benzynowego baku. Wysmarowane dłonie otarł potem o szmatkę i naciągnął zamszowe rękawiczki.

- Ile pali pański wóz? - zagadnął mnie.

- Dwadzieścia litrów na sto kilometrów.

- Co? - zdumiał się. Motocykliści ryknęli:

- Jeździ z szybkością trzydziestu kilometrów, a pali dwadzieścia litrów? Panie, czy pan zwariował! Na złom z takim wozem!

Płaciłem za benzynę, gdy brodacz dosiadł taunusa.

Zapewne chciał motocyklistom zaimponować wspaniałym zrywem swego samochodu.

Silnik ryknął i wóz poderwał się, jakby wyrzucony potężną sprężyną. Minęła sekunda - i był

już na szosie. Jednocześnie, zaledwie tknięty końcem przedniego zderzaka, stojący na podjeździe motocykl wolno przewrócił się na bruk.

Zabrzęczało gniecione żelastwo, rozprysło się szkło reflektora.

- Rozbił mi motor! Rozbił i uciekł! - wrzeszczał motocyklista. Ten sam, który drwił z mego wehikułu.

Ale brodacz może nawet nie zauważył, że jego taunus zaczepił o motocykl. Pędził już z ogromną szybkością, a po chwili zniknął za wzgórzem, na które wspinała się szosa.

Dwóch motocyklistów, którzy mieli najsilniejsze motory, zapuściło silniki.

- Może go dogonimy - starali się pocieszyć właściciela rozbitego motocykla.

Po chwili i oni już gnali po szosie. Podszedłem do nieszczęśnika i powiedziałem:

- Będzie musiał zapłacić za szkodę.

Nawet nie zareagował na moją obietnicę. Zapewne uznał mnie za wariata. Pracownik stacji benzynowej wzruszył ramionami, kilku innych motocyklistów roześmiało się.

Wsiadłem do wehikułu, przekręciłem kluczyk w stacyjce. Wjeżdżając na szosę wrzuciłem drugi bieg, po chwili trzeci. A pokonując wzgórze - czwarty, którego należało używać dopiero, gdy szybkość przekraczała setkę. Był jeszcze i piąty bieg, ale miał rzadkie zastosowanie, ponieważ wrzucało się go dopiero po przekroczeniu szybkości stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, praktycznie nie do zastosowania w. nacszych warunkach, na wąskich i krętych szosach o złej nawierzchni.

Dwanaście cylindrów ferrari 410 pracowało nadal bezgłośnie, choć strzałka szybkościomierza przekraczała cyfrę sto dwadzieścia. Daleko było jeszcze do maksymalnego wysiłku silnika, który mógł dać prędkość dwukrotnie większą. Narastał tylko świst opon i uderzenia powietrza o rozchylone wietrzniki. Zasuнаłem wlec szyby i pędziłem wciąż szybciej i szybciej, nie czując tej prędkości, bo wehikuł mój był niski, szeroki, pokraczny jak żaba. Ale ten właśnie kształt nadawał mu stabilność nawet przy ogromnej szybkości.

Po kilku minutach dopędziłem motocyklistów. Gnali na maksymalnych obrotach silnika, ogłuszał ich ryk motorów i pęd powietrza. Dwukrotnie musiałem zatrąbić, zanim zorientowali się, że żądam ustąpienia mi z drogi.

Ich twarze zakrywały wielkie okulary, więc tylko po półotwartych ze zdumienia ustach poznałem, jak bardzo się zdziwili, gdy mój pokraczny wehikuł wyprzedził ich i dalej jechał

wciąż szybciej i szybciej. Po dwóch minutach nie widziałem ich już we wstecznym lusterku.

Zwolniłem do osiemdziesięciu, bo znak drogowy zapowiadał ostry zakręt. Potem jednak szosa biegła znów prosto, podnosząc się wolno na wzgórze. Kiedy wyskoczyłem z za zakrętu, wydawało mi się, że na szczycie dostrzegłem taunusa.

Przycisnąłem pedał gazu. Szosa była pusta, żadnej furmanki ani też samochodu. Z

zachwytem patrzyłem, jak wzgórze z ogromną szybkością podbiega pod maskę wehikułu, a mój wóz bez wysiłku pokonuje wzniesienie.

Osiągnąłem wzgórze, zobaczyłem taunusa, zdobywającego następną górkę. Był już niedaleko, najwyżej o dwa kilometry, a pędził z szybkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę. Jeszcze dodałem gazu i wtedy wrzuciłem piąty bieg. Dogoniłem obcokrajowca tuż przed szczytem wzniesienia i zatrąbiłem głośno, aby się zatrzymał.

Zapewne bardzo się zdziwił dostrzegając tuż za sobą pokraczną sylwetkę mego wehikułu.

Lecz zdawał się nie rozumieć, czego od niego żądam. Z drogi się nie usunął, bo wiedział, że pod szczytem wzniesienia nie będę go wyprzedzał.

Ze wzgórza roztoczyła się szeroka panorama wielkiej równiny nad Odrą. Zjeżdżając z góry, brodacz dodał gazu i przyśpieszył szybkość do stu czterdziestu kilometrów. Odezwała się w nim żyłka sportowca i urażona ambicja, że taka pokraka chce go wyprzedzić. Ponieważ nie ustąpił z drogi, musiałem zjechać na krawędź

szosy i dopiero wtedy wysforowałem się do przodu, choć groziło mi, że wpadnę na drzewa obrastające szosę.

O trzy kilometry dalej zajechałem mu drogę i zmusiłem do zatrzymania się. Wskoczyłem z wehikułu trzymając w ręku „lizaka”. Drugą ręką sięgnąłem do kieszeni po numerek inspekcyjny.

Przystanął piszcząc hamulcami. Wsiadł z samochodu, uśmiechając się szeroko.

- Nie doceniłem pana - powiedział. - I gotów jestem przeprosić. Nie, nie pana - wyjaśnił - pański samochód.

Nie podchwyciłem jego żartobliwego tonu.

- Poproszę o dokumenty i pańskie prawo jazdy.

Jestem społecznym inspektorem Służby Drogowej - rzekłem.

Podsunałem mu pod nos swój znaczek inspekcyjny.

- To u was jest tajna policja drogowa? - zaniepokoił się.

- Nie. Tylko społeczna służba porządkowa - odrzekłem.

Jego dokumenty mówiły, że nazywa się Heinrich Klaus i pracuje jako dziennikarz w zachodnioniemieckiej gazecie, organie byłych wojskowych, szczególnie popularnej wśród przesiedleńców. Gazeta ta specjalizowała się w atakach na Polskę i na nasze granice na Odrze i Nysie.

Pan Heinrich Klaus z tytułu swej pracy w takim piśmie nie mógł budzić mojej sympatii. Ale międzynarodowe prawo jazdy miał w zupełnym porządku, co najwyżej mogłem mu wlepić mandat.

- O co właściwie chodzi? - zapytał, gdy wyjąłem bloczek kredytowych mandatów.

- Wyjeżdżając ze stacji benzynowej potrącił pan motocykl i uszkodził go pan. Za nieostrożną jazdę otrzyma pan mandat stuzłotowy. Z tym kwitem pojedzie pan do najbliższej Komendy Ruchu Drogowego i wpłaci pan tam pieniądze. Po następnym wykroczeniu będzie pan miał poważniejsze kłopoty. Rozumie się też samo przez się, że wróci pan na stację benzynową i zechce porozumieć się z właścicielem rozbitego motocykla. To wszystko, co mam do pana - powiedziałem wręczając mu kwit.

Klaus rozłożył ręce.

\_ Oczywiście jest, że natychmiast zawracam. Proszę mi wierzyć, że nie uciekałem z miejsca wypadku. Po prostu nie zauważyłem, że potrąciłem motocykl.

\_ Wierzę panu. Dlatego otrzymał pan tylko mandat.

Nadjechało dwóch motocyklistów.

- Będzie pan miał eskortę - zażartowałem.

- Ależ ja sam tam wrócę. Eskorta mi niepotrzebna - złościł się Klaus.

Motocykliści zwrócili na Klausea mniejszą uwagę niż na mój wehikuł.

- Panie, co to jest? - spytał mnie jeden z nich, dotykając maski wozu.

- Jak to: co to jest? Samochód.

- Ale jaki?

- Swojej roboty - uśmiechnąłem się.

- Pan go sam zrobił?

- Nie. Mój wujek. On wykonał karoserię, ale silnik jest z ferrari 410.

- No jasne, ferrari - pokiwał głową Klaus. - Teraz wszystko rozumiem.

Wsiadł do taunusa i zawrócił.

A panom radzę, abyście na przyszłość nie byli tak pochopni w swoich sądach -

powiedziałem motocyklistom.

Pojechali za taunusem, eskortując go jak milicja.

Zajrzałem do atlasu samochodowego i zorientowałem się, że droga do Jasienia znajduje się w odległości kilometra. Jest to boczna szosa, pierwsza w prawo.

Zajechałem tam około godziny jedenastej i zatrzymałem się obok zabytkowego kościółka.

Droga przez wieś prowadziła do pałacu Haubitzów, ale wątpliwe było, czy zdołam otrzymać tam pokój. Był przecież środek lata, jezioro Jasień zwabiło chyba wielu turystów. Należało raczej skierować się wzdłuż jeziora do ośrodka campingowego „Gromady”. W najgorszym razie mogłem rozbić swój namiot w tym samym miejscu, gdzie przed niedawnym czasem znajdował się obóz harcerzy.

Wyboistą drogą pojechałem przez las pełen cienistych buków, grabów i jesionów. Droga to zbliżała się do zarośniętego trzcinami brzegu jeziora, to znów oddalała się od niego, klucząc między niewysokimi pagórkami. Wreszcie las się skończył i ukazała się rozciągnięta nad jeziorem duża, trawiasta polana. Wzdłuż brzegu stało około trzydziestu 12

kolorowych drewnianych domków, a nieco dalej mieścił się podłużny budynek świetlicy i stołówki.

Okazało się, że mam trochę szczęścia. Właśnie wczoraj jeden z domków opuścili wczasowicze. Był to przedostatni domek w długim szeregu, najmniejszy i najbrzydszy. Inne miały po dwie izdebki, duże okna, a nawet małe werandy. Mój zaś przypominał ciasny ul z maciupeńkim okienkiem.

Nie zamierzałem jednak spędzać w nim wiele czasu.

Po prostu chciałem sobie zapewnić nocleg i mieć miejsce na złożenie swoich "rzeczy.

Wynająłem domek, płacąc z góry za dwa tygodnie, zapewniłem sobie wyżywienie w stołówce. Obok domku ustawiłem wehikuł, nakrywając go brezentową płachtą.

Z początku ośrodek wypoczynkowy wydawał mi się niemal bezludny. Dopiero po jakimś czasie domyśliłem się, że wczasowicze znajdują się w ukrytej w trzcinach zatoczce, gdzie jest plaża z białym piaskiem.

Zdażyłem rozpakować swoje rzeczy, gdy przed otwartymi drzwiami mego domku pojawił się pies. Brązowy,, krótkowłosy jamnik.

Cóż to było za śmieszne stworzenie! Nigdy w życiu nie widziałem tak długiego psa. Miał chyba z pół metra długości i nóżki tak krzywe i króciutkie, że brzuchem niemal szorował po ziemi. A do tego jeszcze łeb z niezwykle wydłużonym pyskiem, ogromne uszy sięgające ziemi, długi ogon jak u szczura. Wydawało się, że ten pies nie chodzi, ale pełza, że jest to duża liszka albo zgoła ogromna kijanka. Brązowe ślepią psa patrzyły na świat z ogromną ciekawością, czarny wilgotny nos ciągle coś węszył w powietrzu.

Jamnik nadszedł od strony plaży, na chwilę zatrzymał się przed drzwiami mego domku i obrzucił mnie baczny spojrzeniem. Potem skierował się do okrytego brezentem wehikułu, obwąchał jego koła, a następnie podniósłszy tylną nóżkę, zsalutował, obsikując oponę.

Wtedy wydało .mi się, że przez trawnik od strony plaży zbliża się ku nam ogieniek... Takie porównanie przyszło mi do głowy, choć widziałem, że to po prostu nadbiega trzynastoletnia dziewczynka w jaskrawoczerwonym kostiumie kąpielowym. Barwa jej kostiumu, a także rude, rozwichrzone włosy, biała twarz obsypana mnóstwem piegów, to wszystko właśnie sprawiało z daleka wrażenie, że zbliża się ruchliwy ogieniek.

- Sebastian! Sebastian! - wołała dziewczynka do psa. - Dlaczego mnie nigdy nie słuchasz?

Pies parę razy kiwnął przyjaźnie ogonem, potem ziewnął, szeroko otwierając pysk i wysuwając długi czerwony język. Dziewczynka przystanęła obok wehikułu, uniosła nieco brezent i natychmiast go opuściła, udając przerażenie.

- Czy to jest latający talerz, proszę pana? - zwróciła się do mnie.

Wskazałem na Sebastiana i zapytałem:

- Czy to jest na pewno pies? Czy on szczeka?

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

- Pewnie, że to pies.

- Wcale na to nie wygląda- stwierdziłem.

- Widziałam z plaży, jak pan tu przyjechał, i pomyślałam: „Marsjanin”. Pan sam zbudował ten samochód czy też ktoś panu pomógł?



Zapytałem:

- Czy to prawda, że jamników nie kupuje się na sztuki, ale na metry?

Tupnęła bosą nogą.

- Pan, zdaje się, nie ma poczucia humoru. Pożartować z panem nie można.

- Bardzo nie lubię, gdy ktoś śmieje się z mojego samochodu.

. - A ja nie lubię, gdy ktoś drwi z Sebastiana.

. Wyciągnąłem do niej rękę.

- W takim razie umówmy się. Ja nie będę śmiał się z twojego psa, a ty z mojego samochodu.

Zgoda?

- Zgoda - uścisnęła moją dłoń. - Na imię mam Katarzyna. Może pan mówić do mnie: Kasia.

- A ja mam na imię Tomasz - przedstawiłem się.

Sebastian znowu parę razy kiwnął ogonem, jak gdyby nasza zgoda bardzo przypadła mu do gustu. Wyraziwszy swój pogląd na tę sprawę, pomaszerował do sąsiedniego domku (ostatniego w długim ich szeregi) i ułożył się na słomiance przed drzwiami.

- Jesteśmy sąsiadami - powiedziała Kasia. - A za drugiego sąsiada będzie pan miał bardzo miłego starszego pana. Tak się bałam, że ten domek zajmie rodzina z małym dzieckiem, które będzie płakało od świtu do nocy. Sebastian strasznie nie lubi małych dzieci.

I w ogóle nie znosi hałasu.

- Sebastian nie jest hałaśliwy?

- On? - zdumiała się. - To bardzo dziwny pies.

Niekiedy przez cały dzień ani razu nie zaszczeka. Nie słucha ani mnie, ani mojej ciotki, nikogo. Moja mama mówi, że ten pies jest indywidualistą. Czy pański samochód ma podobny charakter?

- O, nie. To bardzo posłuszna maszyna. Tylko że trzeba mieć do niej właściwe podejście.

Może ty właśnie masz niewłaściwe podejście do Sebastiana i stąd twoje wszystkie kłopoty?

- Może - westchnęła bez przekonania.

Sebastian ziewnął głośno i podniósł się. Teraz zaczął się przeciągać, a był to widok nader zabawny. Wydłużył się jeszcze bardziej, prostując najpierw przednie, a potem tylne łapy.

Znowu ziewnął, a następnie wolnym, statecznym krokiem, nie oglądając się na Kasię, pomaszerował na plażę. Jak gdyby chciał w ten sposób okazać swoje całkowite lekceważenie dla jakichkolwiek prób znalezienia „właściwego podejścia”.

- Widzi pan? - zawołała Kasia. - Poszedł sobie.

Gwizdnęła na Sebastiana, ale on ani się obejrzał.

Po chwili zniknął w przybrzeżnych trzcinach.

- Ciągle się boję, że mi gdzieś zginie. I biegam za nim jak szalona.

- Nie obawiaj się. Wróci. Po prostu poszedł sobie na przechadzkę - powiedziałem.

Kasia jeszcze raz ciężko westchnęła. Raptem przypomniała coś sobie i aż klasnęła w ręce.

- Przecież ja przybiegłam do pana w bardzo ważnej sprawie. Czy ma pan w swoim samochodzie gumową łątkę i klej do naprawy dętek?

- Mam. Chyba każdy automobilista wozi ze sobą coś takiego.

- Przedziurawił się mój gumowy kajak. I od kilku dni nie mogę wypływać na jezioro.

Chciałam zrobić kilka wycieczek kajakowych i nic z tego nie wyszło.

- Nie mogłaś pójść do wypożyczalni?

Pogardliwie wydeła wargi.

- Pan się zupełnie nie orientuje, jak tu jest. Nasza wypożyczalnia ma tylko dziesięć kajaków, które natychmiast rozpozyczono, i to na cały sezon. A po drugiej stronie jeziora, na przystani koło pałacu, też mają tylko kilka kajaków. Na domiar złego zarezerwowane są dla zagranicznych gości. Jeśli mi pan zreperuje kajak, będę go panu pożyczać albo zabierać pana na wycieczki po jeziorze.

Kiwnąłem głową, że przystaję na tę propozycję. Obserwatorium astronomiczne znajdowało się po drugiej stronie jeziora, w parku pałacowym. Piechotą - około trzech kilometrów, bo należało iść wzdłuż brzegów jeziora i przez wieś. Przypuszczałem, że dość często, szczególnie nocą, wypadnie mi odwiedzać miejsce, gdzie taka dziwna przygoda spotkała Wiewiórkę. Gdyby od czasu do czasu Kasia pożyczyła mi kajak, mógłbym być w obserwatorium po paru minutach.

- No co, zabieramy się do reperacji? - powiedziałem, sięgając do kufra wehikułu i wyjmując z niego torbę, w której trzymałem różnego rodzaju narzędzia, a także łątki i klej do lepienia przedziurawionych dętek samochodowych

: Ale że stołówki doleciał nas odgłos uderzeń młotka w patelnię, co było wezwaniem na obiad. I zaraz wokół domków campingowych zaroilo się od ludzi ubranych w kostiumy kąpielowe. Wszyscy śpieszyli do domków, aby się przebrać, bo do stołówki nie wolno było wchodzić w kostiumach, o czym informował napis na drzwiach.

Kasia także pobiegła się przebrać i po chwili wróciła do mnie w białej sukience. Zjawił się też i Sebastian, -którego Kasia capnęła za kark i zamknęła w domku.

- Psy do stołówki nie są wpuszczane – wyjaśniła mi. - A teraz chodźmy na obiad. Będzie pan siedział przy naszym stoliku - zdecydowała.

- A twój tata? A mama? Nie zaczekasz na nich? - zdumiałem się.

Teraz ona się zdumiała.

- Nie powiedziałam panu, że jestem tutaj ze swoją ciotką, Zenobią? Moi rodzice uprawiają taternictwo i zawsze biorą urlopy we wrześniu, kiedy najlepiej chodzi się po górach. Więc na sierpień oddali mnie ciotce. Ona się bardzo wzbraniała, musiałam jej przyrzec, że nie będziemy sobie wzajemnie przeszkadzać.

- W takim razie może zaczekamy na ciotkę i razem pójdziemy na obiad - zaproponowałem - ciotcia pewnie zaraz przyjdzie z plaży.

Kasia wzruszyła ramionami.

- Pan nie zna ciotki Zenobii. To nie jest zwykła ciotka.

- A jaka? Twój pies nie jest zwykłym psem, twoja ciotka nie jest zwykłą ciotką?

- Pan mnie źle zrozumiał. Ona jest moją najprawdziwszą ciotką. Tylko że ona jest ciotką nowoczesną.

- Co to znaczy: nowoczesną?

- To znaczy, że ona ma nowoczesne poglądy. Nie zrzędzi jak inne ciotki, pozwala mi robić co chcę.

I sama też robi to, co jej się żywnie podoba. Ona jest ciotką bigbitową. Tak ją nazwał mój ojciec. Kiedyś ciotka przysłała do nas w odwiedzin. Akurat w telewizji pokazywali mecz hokejowy. Ciotka się przy tym tak zdenerwowała, że uderzyła pięścią w poręcz fotela. I niech pan sobie wyobrazi, jednym uderzeniem zdruzgotała całą poręcz. Ojciec mój zawołał:

„Zenobią ma mocne uderzenie!” Ciotka Zenobią lubi tańczyć, zna dzudo. Kiedy chodziła do szkoły, była najlepszą pływaczką wśród junierek. Nie wyszła do tej pory za męża, bo mówi, że nie ma zamiaru gotować mężowi obiadów, prać mu skarpetek, słuchać męskiego zrzędzenia. Twierdzi, że

wyjdzie za mąż tylko za prawdziwego mężczyznę, a o takich podobno jest trudno.

„To jakaś Horpyna - pomyślałem z obawą.

- Ciekawa jestem, kto byłby silniejszy: pan czy ona?

Bo ona bardzo lubi się siłować na ręce... :

- Ale ja tego nie lubię - powiedziałem z kwaśną miną.

- A w ogóle to ona jest bardzo fajna. Pracuje w Warszawie jako urzędniczka, ale ja uważam, że ona powinna być kasjerką. Żaden bandyta nie ośmieliłby się napaść na jej kasę.

„Horpyna. Nikt, tylko Horpyna" - pomyślałem.

Wyobraziłem sobie kobietę ogromną jak słynna Horpyna z Ogniem i mieczem, przerastającą mnie o dwie głowy, siłaczkę z muskularni zapaśnika klasy międzynarodowej, pod którą aż ziemia się trzęsie.

Jak gdyby na potwierdzenie tych słów usłyszeliśmy narastający łoskot.

- Oho, ciotka się zbliża - stwierdziła Kasia.

Łoskot wznagał się coraz bardziej, potężniał. Wreszcie na drodze leśnej od strony wsi ukazał się motocykl - junak z przyczepą.

Junaki to strasznie hałaśliwe motocykle, a ten na domiar złego miał chyba źle ustawiony zapłon i pęknięty tłumik, bo od czasu do czasu rozlegała się straszliwa detonacja. Przy 15

akompaniamencie tych wybuchów i łoskotu motocykl z przyczepą zajechał pod ostatni domek campingowy. Prowadziła go osoba płci trudnej do określenia, ponieważ miała na sobie skórzane spodnie, skórzaną kurtkę, a na głowie biały kask motocyklowy. Twarz zasłaniały ogromne okulary. Czarna przyczepa wymalowana była w różnego rodzaju węże i jaszczurki, zauważyłem nawet trupią czaszkę ze skrzyżowanymi piszczelami. Jak u słynnych „Rockersów” w Anglii.

Ciotka Zenobia wyłączyła silnik i zgrabnie zeskoczyła z siodełka.

Ogarnęła nas błoga cisza. Pomyślałem, że jako społeczny inspektor Służby Drogowej powinienem pani Zenobii wlepić mandat za hałas, który robi jej motocykl.

Ale na samą myśl o tym ogarnęła mnie obawa. Bo co będzie, jeśli zechce wypróbować na mnie swoje słynne „mocne uderzenie”?

Ciotka Zenobia powoli zdejmowała ogromne motocyklowe rękawice.

- Cześć! - zawołała do Kasi. - Nie wiesz, czy obiad już gotów? Strasznie jestem głodna.

- Właśnie przed chwilą dzwonili na obiad. Czekamy tu na ciocię.

- Po co? Tyle razy ci mówiłam, żebyś sobie mną głowy nie zawracała. Ja sama trafię do stołówki.

- A to jest nasz nowy sąsiad. Pan Tomasz - przedstawiła mnie Kasia.

- Halo! - zakrzyknęła radośnie ciotka i podeszła do mnie z wyciągniętą ręką. - Bardzo mi miło pana poznać.

- Mnie również - odrzekłem.

Ledwie tylko moja dłoń znalazła się w jej ręce, nagle poczułem, że dzieje się ze mną coś niezwykłego.

Wystarczył jej jeden ruch, a już leciałem na ziemię.

Tuż nad samą ziemią przytrzymała mnie jednak i silnym chwytem postawiła z powrotem na nogi.

- Mięczak z pana - orzekła. - A już miałam nadzieję, że jakiś prawdziwy mężczyzna przyjechał.

- Bo pani mnie zaskoczyła - tłumaczyłem się zarumieniony ze wstydu.

- Prawdziwy mężczyzna nie daje się nigdy zaskoczyć. A zresztą możemy spróbować jeszcze raz.

To mówiąc znowu wyciągnęła do mnie rękę. Podałem jej swoją, tym razem jednak silniej wparłem się nogami w ziemię i tułów trochę pochyliłem do przodu.

I znowu nie wiem, jak to się stało, ale nie wypuszczając mojej dłoni, ciotka Zenobia nagle znalazła się za moimi plecami. Wykręcona do tyłu ręka zaczęła piekielnie boleć i aby umknąć bólu, grzecznie dałem się położyć na trawie.

- Powinien pan się uczyć dzudo - powiedziała Zenobia, podnosząc mnie z trawy.

Nietrudno sobie wyobrazić, jak mi było wstyd. Choćby ze względu na Kasię, która obserwowała tę scenę i widziała moją dwukrotną klęskę. Ale Kasia nie śmiała się, patrzyła na mnie ze współczuciem, a spojrzenie jej zdawało się mówić: „Niech się pan tym nie przejmuj.

Trudno, taka już jest ta moja ciotka”.

Po chwili znowu aż mi oddech zapało ze zdumienia.

Jednym ruchem ciotka Zenobia zdjęła z twarzy okulary, ściągnęła z głowy kask motocyklowy.

Zobaczyłem przed sobą śliczną dwudziestoparoletnią dziewczynę o delikatnych rysach twarzy i pięknych kasztanowych włosach. Duże, niebieskie oczy spoglądały na mnie ironicznie, a może nawet pogardliwie.

Drobne, czerwone usta powiedziały:

- Idźcie już na obiad. Ja się przebiorę w sukienkę i za chwilę będę z wami.

Byłem tak oszołomiony, zawstydzony, można powiedzieć: całkowicie zdruzgotany, że dałem się Kasi wziąć za rękę. Poprowadziła mnie do stołówki jak skrzywdzone dziecko.

- Niech się pan nie martwi - mówiła mi po drodze. - Ona lubi każdemu mężczyźnie zaimponować. Więcej nie będzie pana przewracać. Minie się to zresztą bardzo nie podoba.

Ja uważam, że kobieta powinna mężczyźnie imponować wcale nie siłą fizyczną i chwytami dżudo. Kobieta powinna być miła, inteligentna gospodarna.

- Masz rację, Kasiu - przyznałem.

- To byłoby okropne, gdyby wszystkie dziewczyny były podobne do mojej ciotki - dodała.

- Masz rację, Kasiu - westchnąłem.

I obejrzałem się za siebie, na domek, w którym zniknęła ciocia Zenobia.

Zacisnąłem zęby i pomyślałem: „Poczekaj, kochana ciotuniu. Jeszcze się porachujemy za te zniewagi”.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

### POSTRACH WROCŁAWSKIEJ GASTRONOMII \* CHWILA TRIUMFU ••

#### KTO CHCE ROZWIĄZAĆ ZAGADKĘ TAJEMNICZEJ SZACHOWNICY? » WYPRAWA DO

MŁYNA TOPIELEC • SPOTKANIE W JAŁOWCACH • KOMPROMITACJA Obiad był dla mnie torturą. Siedziałem naprzeciw ślicznej dziewczyny i wciąż nie mogłem uwierzyć, że okazałem się takim ślamazarą. A przecież kiedyś, jako szesnastoletni chłopiec, uczyłem się dżudo i miałem w tej sztuce nawet pewne sukcesy. Tylko że od dawna nie trenowałem i zapomniałem wielu chwytów.

Ciotka Zenobia nawet nie raczyła mnie zauważać.

Podczas obiadu rozmawiała wyłącznie z Kasią i małym, łysawym, niechlujnie wyglądającym panem w wieku lat pięćdziesięciu, który siedział z nami przy jednym stole.

Ów pan miał maleńkie, ale bardzo sprytne i ruchliwe oczka, maciupeńki nosek zadarty jak u mopsika, na jego policzkach i brodzie zauważyłem kępki włosów widomy znak, że golił się niedbale i nie przywiązywał wagi do swego wyglądu. Raziły mnie jego brudne paznokcie, lecz piękna Zenobia zdawała się tego nie widzieć i rozmawiała z nim jak ze starym i sympatycznym znajomym.

- Przed obiadem zajrzałam do kawiarni w pałacu - opowiadała - i spotkałam tam pana Klausa. Powiedział mi, że jutro, a najdalej pojutrze wraca do Niemiec. Ech, szkoda, że wyjeżdża - westchnęła. - To jest jednak stuprocentowy mężczyzna. Niech pan sobie wyobrazi, że dopiero po



zastosowaniu specjalnego chwytu zdołałam go przewrócić i pokonać.

- Jeśli wyjeżdża, to znaczy, że nie udało im się wyjaśnić zagadki szachownicy - stwierdził niechlujnie wyglądający starszy pan.

- Chyba. Bo wszyscy wyjeżdżają. I ten sympatyczny pan Weber z Frankfurtu, i Hilda, i inni.

Przez cały tydzień penetrowali okolicę w poszukiwaniu tajemniczych szachownic i wracają do Niemiec z niczym. Poleska ekipa, która pomagała im w poszukiwaniach, już dzisiaj odjechała do Warszawy.

- Bo mogli mnie, Kuryłłę, poprosić o pomoc - powiedział starszy pan. - Już ja potrafiłbym rozwiązać tę zagadkę.

- Pan? Dlaczego właśnie pan? - wzruszyła ramionami Zenobia. - Najtęższe mózgi głowiły się nad tą zagadką i musiały przyznać się do klęski.

- Zagadka tajemniczej szachownicy - pogardliwie skrzywił usta pan Kuryłło. - Cóż to jest wobec zagadek wrocławskiej gastronomii? Mówiłem już pani, że jestem rewidentem w wydziale handlu we Wrocławiu. Przeprowadzam kontrole ksiąg buchalteryjnych w przedsiębiorstwach gastronomicznych. Pani sobie nawet nie wyobraża, z jakimi zagadkami się spotykam, jak w gąszczu przeróżnych cyfr trafiam na trop malwersacji i manka. Och, 17

niejednego nieuczciwego kierownika restauracji lub kucharza zaprowadziłem za kratki.

Kuryłło jest postrachem wrocławskiej gastronomii. Oświadczam pani, że jedna księga buchalteryjna i segregator z kwitami kasowymi kryje niekiedy więcej zagadek niż tutejsze szachownice. A jednak, jak do tej pory, zdołałem je rozwikłać.

.- Trzeba było zaofiarować; im swoją pomoc - rzekła Zenobia.

- Przepraszam bardzo - wtrąciłem się do rozmowy - czy mogliby mnie państwo poinformować, jaką zagadkę starali się rozwiązać ci Niemcy?

Zenobia prychnęła jak rozgniewana kotka.

- Co? Panu też się wydaje, że potrafiłby pan wyjaśnić tajemnicę szachownicy? Jeśli umysł pana jest tak samo wygimnastykowany jak mięśnie, można by oczekiwać nie lada zabawy.

Jadłem z twarzą pochyloną nad talerzem, z oczami wbitymi w jedzenie, modląc się w duchu, aby Zenobia zmieniła temat. Na szczęście długo na to nie czekałem.

- Ech, szkoda, że pan Klaus już wyjeżdża - westchnęła powtórnie. - Znał trochę dżudo, chociaż zbyt mało trenował. Dobrze tańczył...

- I w ogóle jest bardzo przystojnym mężczyzną .- dodał z domyślnym uśmiechem pan Kuryłło.

Zenobia raptem przypomniała coś sobie i rzekła z oburzeniem:

- Czy pan wie, że Klausowi wlepiono mandat? Opowiadał mi, że jakiś tajniak zatrzymał go na szosie i ukarał mandatem. Rzekomo za to, że Klaus wyjeżdżając ze stacji benzynowej potrącił motocykl.

- I co? Zapłacił mandat? - zdumiał się Kuryłło.

- Zapłacił. Tak się u nas traktuje zagranicznych gości. Jeżdżą po szosach różnego rodzaju tajniacy i tylko polują na turystów. No, niechbym ja takiego spotkała. Niechby mnie spróbował wlepić mandat - złościła się Zenobia.

Aż zgarbiłem się nad talerzem. Ileż bym dał za to, aby móc stać się niewidzialnym i ulotnić się od stołu jak eter z próbówki.

Ciotka Zenobia fukała ze złością:

- Klaus twierdzi, że ten tajniak to jakiś wariat. Podobno miał jakiś cudaczny samochód podobny do chrabąszcza...

Nagle ciotka Zenobia zakrztusiła się i poczerwieniała, potem jej widelec skierował się w moją stronę.

- Czy to pański samochód stoi tam okryty brezentem?

- Tak- szepnąłem.

- To pan jest tym zwariowanym tajniakiem? - pytała mnie surowo wciąż trzymając widelec wymierzony w moją pierś, jak gdyby za chwilę zamierzała mnie nim przebić.

- Tak jest, to ja - przyznałem cichym głosem.

Zauważyłem, że oczy Kasi są pełne zachwytu.

- Brawo, brawo! - zawołała dziewczynka. - Bardzo się cieszę, że pan jest tajniakiem i wlepia mandaty piratom drogowym. Bo Klaus jest piratem, prawda?

- Tak jest - skinąłem głową. - Ale pragnę wyjaśnić, że ja nie jestem żadnym tajniakiem, tylko społecznym inspektorem Służby Drogowej.

- Dał mu pan szkołę, co? - zachichotała Kasia.

- Wyjeżdżając ze stacji benzynowej, potrącił motocykl, nie zauważył tego i odjechał.

Musiałem go dogonić i zawrócić, aby zapłacił za wyrządzoną szkodę.

A pani - zwróciłem się do ciotki Zenobii - też chyba wlepię mandat.- Mnie? - ciotka Zenobia odłożyła nóż i widelec.

Wydawać się mogło, że za chwilę zastosuje wobec mnie któryś ze swych straszliwych chwytów dżudo.

- A tak - odparłem z rezygnacją, gotów na .najgorsze. - Ma pani w motocyklu pęknięty tłumik, źle ustawiony zapłon. Jeździ pani zbyt hałaśliwie. .

Rzuciła mi miażdżące spojrzenie. Jej niebieskie oczy aż pociemniały z gniewu, lecz wzruszyła tylko pogardliwie ramionami:

- Pan sądzi, że tu w pobliżu jest jakiś warsztat, w którym mogliby mi naprawić tłumik i wyregulować zapłon?

- Nie wiem. Ale powinna pani rozejrzeć się za takim warszatem.

O dziwo, kiwnęła głową, że zgadza się z moją uwagą.

Tylko że od tej chwili znowu zaczęła minie ignorować, rozmawiając wyłącznie z panem Kuryłłą. Ale ja byłem bardzo zadowolony, widząc radosną minę Kasi.

Dziewczynka uznała, że, jak się to mówi, utarłem nosa ciotce Zenobii. Zaimponowałem Kasi. Okazało się, że nie jestem ślamazarą. To właśnie ja zmusiłem Klausea do zapłacenia mandatu za nieostrożną jazdę. W wyobrażeniu Kasi stałem się groźnym pogromcą „piratów drogowych”, a więc człowiekiem, z którym warto się zaprzyjaźnić.

Ja również czułem, że odniosłem pewien triumf nad groźną Zenobia. Podniosłem głowę znad talerza, wyprostowałem się i zacząłem rozglądać po twarzach wczasowiczów wypełniających stołówkę. Nikt z jedzących obiad nie wzbudził jednak mego większego zainteresowania. Jak zwykle w tego rodzaju ośrodkach widziało się mamy z dziećmi, statecznych ojców rodzin, dwie starsze panie wyglądające na nauczycielki, kilka młodych chichoczących dziewcząt i kilku młodych chłopców w dżinsach i jaskrawych sportowych koszulkach. Wyglądali na autostopowiczów, którzy zatrzymali się w Jasieniu na krótki okres czasu. Dwie czy trzy zakochane pary - a stan ich uczuć poznawałem po tym, że rzucając sobie czułe spojrzenia dzielili się każdym ziemniakiem i każdym kęsem kotleta - dopełniały obrazu towarzystwa wczasowego.

Nie, żadna z tych osób nie wydawała mi się zamieszana w tajemniczą przygodę Wiewiórki.

Oczywiście, mój sąd był powierzchowny i mógł okazać się mylnym. Nikt jednak z tych ludzi nie wyglądał na takiego, który posiada pistolet gazowy i używa go w podejrzanych celach.

Jeśli moje przypuszczenia były słuszne i sprawa szła o skarb Haubitzów, to tajemniczego emisariusza Haubitzów należało chyba szukać wśród gości zamieszkujących pałac po drugiej stronie jeziora.

Obiad się skończył. Wstaliśmy od stołu i pożegnaliśmy się grzecznymi ukłonami. Każdy poszedł w swoją stronę, to znaczy ciotka Zenobia pojechała motocyklem w stronę wsi, pan Kuryłło udał się na poobiedni spacer do lasu, a ja i Kasia pomaszzerowaliśmy nad jezioro, aby zreperować kajak.

Czy pływaliście kiedyś „salamandrą”? Jest to dwuosobowy gumowy kajak polskiej produkcji, złożony z czterech niezależnych komór nadmuchiwanym powietrzem. Ma on wiele zalet, między innymi tę, że gdy przedziurawi się jedną komorę, pozostałe trzy utrzymują kajak na wodzie. Poza tym jest on stosunkowo mało wywrotny, posiada dwa wygodne siedzenia z gumowymi poduszkami.

Nadmuchuje się go też dość łatwo i szybko.

Jego wady - to przede wszystkim niewielka zwrotność i duży ciężar; płynie się nim wolniej niż kajakiem z dykty. Na dalekie rejsy raczej się nie nadaje, ale za to po wypuszczeniu powietrza mieści się w worku i można go zabierać na motocykl, skuter czy do bagażnika samochodu.

Przedziurawione miejsce starannie oczyściłem papierem ściernym, posmarowałem gumą i przykleiłem łatkę, a następnie ścisnąłem specjalną śrubą. Teraz należało poczekać przynajmniej godzinę, aż klej stężeje.

Było popołudnie, słońce świeciło upalnie, woda jeziora zachęcała do kąpieli. Ośrodek znowu wyglądał jak wymarły, albowiem wczasowicze gnieździli się na małej plaży, skąd dochodziły krzyki kąpiących się.

Kasia rozłożyła koc-tuż nad brzegiem jeziora i zaczęliśmy się opalać.

Położyłem się twarzą w kierunku jeziora. Oparłem brodę na dłoniach i ponad tonią wody patrzyłem w stronę drugiego brzegu, gdzie na tle ciemnej zieleni starych drzew parkowych

widniała brunatna sylwetka pałacu Haubitzów. Z tej odległości pałac przypominał sopocki

„Grand Hotel”. Wyglądał jak brzydkie pudło zbudowane z brunatnej cegły.

Potem wzrok swój skierowałem w lewo, w miejsce, w którym zieleń drzew wznosiła się najwyżej. To było zapewne owo wzgórze porośnięte drzewami i krzakami, i właśnie tam chyba znajdowały się ruiny obserwatorium.

„Wieczorem pożyczę kajak od Kasi i przepłynę jezioro. Kajak ukryję w nadbrzeżnych trzcinach, pójdę do obserwatorium i posiedzę w ruinach do północy” - postanowiłem.

Słońce przyjemnie piekło mnie w nagie plecy i usypiało. Walcząc z ogarniającą mnie sennością, zapytałem Kasię:

- Cóż to za tajemnicza szachownica, o której mówił pan Kuryłło?

Dziewczynka odrzekła lekceważąco:

- W każdym przewodniku turystycznym piszą o tej tajemnicy. W tych stronach istnieje kilka starych kościołów. Otóż na kamiennych framugach drzwi...

- Na portalu- wtrąciłem.

- Tak jest, właśnie na portalu każdego z tych starych kościołów widnieje znak szachownicy.

Po prostu na jednym z kamieni wyrzeźbiono szachownicę.

- Może to znak budowniczego? - powiedziałem. - Po prostu jeden i ten sam budowniczy stawiał

okoliczne kościoły. W dawnych wiekach rzemieślnicy, na przykład złotnicy, pozostawiali na swych wyrobach znak.

Podobnie było z budowniczymi. Ale zazwyczaj ten symbol umieszczali w miejscach nie rzucających się w oczy, nigdy na portalu.

- Pan się zna na tych sprawach?

- Jestem historykiem sztuki - wyznałem, bo nie widziałem powodów, aby swój zawód okrywać przed nią tajemnicą.

- W tych okolicach sporo jest różnego rodzaju znaków szachownicy - podjęła znowu Kasia.

- Na murach kościołów szachownice są bardzo stare. Ale napotkać można i takie, które wyryte zostały stosunkowo niedawno. Bo ród Haubitzów, którzy byli właścicielami tych okolic, miał szachownicę w swym herbie, a herbem zaznaczali każdą swoją własność.

Podobno szachownice widniały nawet na ich porcelanowej zastawie stołowej.

- Jesteś świetnie poinformowana - zauważyłem.

- A tak. Pan Kuryłło i moja ciocia często o tej sprawie rozmawiają podczas posiłków w stołówce. Najwięcej o zagadce szachownicy wie moja ciocia, bo zaznajomiła się z panem Klausem, panem Weberem i innymi, którzy tu przyjechali z Niemiec, żeby wyjaśnić tę zagadkę.

- Specjalnie po to tu przyjechali? - zapytałem z powątpiewaniem.

- Nie słyszał pan historii o starym Haubitzu i o ukrytych skarbach? - zdziwiła się Kasia.

A ponieważ przecząco pokręciłem głową, me chcąc, aby wiedziała, że interesuję się tą sprawą, rozpoczęła opowiadanie historii, którą znałem z Księgi strachów.

Gdy skończyła, wzruszyłem ramionami.

- Przyznaję, Kasiu, że nie potrafię się połapać w tej kwestii. Chcesz mi wmówić, że ten pan Klaus, Weber i inni przyjechali tutaj pewnego pięknego dnia, aby odnaleźć tę „rzecz najcenniejszą”? Bo przecież skarbów Haubitza już tu nie ma, zostały przekazane do muzeum.

- Ich przyjazd tutaj został spowodowany procesem sądowym.

- Procesem sądowym?

- A tak. Oskarżony jest pan Weber i gazeta, w której on pracuje. Jeśli pan Weber wyjaśni zagadkę szachownicy i odnajdzie tę „rzecz najcenniejszą”, zostanie uniewinniony.

Pomagała mu w wyjaśnieniu zagadki polska ekipa i Niemka, Hilda, która urodziła się w Jasieniu. Jej ojciec był służącym u Haubitza. Ona dobrze zna tę okolicę i wie o wszystkich tutejszych

szachownicach. Zaś pan Klaus jest z innej gazety niż pan Weber i przyjechał

tutaj tylko w charakterze obserwatora. Zresztą, jak pan słyszał przy obiedzie, niczego nie udało się odnaleźć i żadnej zagadki nie wyjaśniono. Pan Weber pewnie przegra proces sądowy.

A szkoda, bo jest bardzo sympatyczny - westchnęła Kasia.

Przez chwilę leżeliśmy w milczeniu, W końcu Kasia powiedziała:

- Łatka już pewnie przyschła. Może wybierzemy się na wycieczkę?

- Zgoda - podniosłem się z koca. - Popływamy twoją „salamandrą”.

Sebastian, kiwając ogonem podobnym do kijanki, z wielką radością obserwował, jak nadmuchiwałem kajak przy pomocy gumowego mieszka. Łatka trzymała mocno, więc od razu położyliśmy kajak na wodzie.

Kasia pobiegła do domku po wiosła. Usadowiliśmy się na swoich miejscach, dziewczynka w środku, ja z tyłu, a Sebastian usiadł na dziobie. Wystawił łeb ponad burzę i rozglądał się dookoła jak marynarz podczas pełnienia wachty.

- Odrywamy - zawołałem, odpychając się wiosłem od brzegu. - Złożymy wizytę w pałacu.

- O, nie - zaprotestowała Kasia. - Nie chcę do pałacu. Tam możemy popłynąć w każdej chwili. A jeszcze nie byłam na końcu jeziora. Zróbmy wycieczkę do ruin młyna, który się nazywa Topielec. Do kolacji zostało sporo czasu. Zdążymy powrócić.

Było mi wszystko jedno, dokąd popłyniemy. Odwiedziny ruin starego młyna również miałem w planie.

- Dobrze, niech będzie Topielec - zgodziłem się.

- Opowiem panu legendę o tym starym młynie - rzekła Kasia. - Niech pan teraz wiosłuje, a ja będę opowiadać. Potem ja się wezmę za wiosła.

- Wiosłowałem, a ona mówiła o skąpym młynarzu.

Znałem i tę legendę z Księgi strachów, ale oczywiście nie uważałem za celowe zdradzenie tego przed dziewczynką.

Po kwadransie wiosłowania roztoczyła się przed nami szeroko rozlana toń jeziora, ze wszystkich stron zamknięta wzgórzami porośniętymi lasem. Im bliżej brzegów, tym jezioro stawało się płytsze; widziało się dno pełne białych kamyków i muszelek. Brzegi miały wąski pas piaszczystej plaży, tylko na samym końcu jeziora, gdzie widniały wbite w dno pale zmurszałego pomostu, sterczała kępa wysokich zielonych trzcin, a między pniami drzew czerwieniły się ceglane ściany zrujnowanego domu i szare, kamienne ściany dawnego młyna.



Gumowe dno kajaka zaszurało na piasku i żwirze.

Dobijaliśmy do brzegu.

Sebastian pierwszy wyskoczył na piasek i węsząc rozejrzał się na wszystkie strony.

- Boże, jak tu cicho - powiedziała Kasia, mimo woli ścisząc głos.

To nieprawda, że było cicho. Głośno szemrały fale jeziora wybiegające na piaszczysty brzeg, wrzeszczały wrony, które miały swoje gniazda na gałęziach starych topól. Ale w otaczającym nas krajobrazie było coś nieprzyjemnego, groźnego i zarazem niesamowitego.

-Miejsce to robiło (nieprzyjemne wrażenie, i, jak gdyby w obawie przed czającą się tu grozą, Kasia ściszyła głos.

Przywiązaliśmy kajak do jednego z pali zmurszałego pomostu i wyskoczyliśmy na brzeg.

Wąska ścieżka poprowadziła nas w zdziczały ogród owocowy. Ziemia była tu dobra, przed laty starannie chyba uprawiana, dlatego roślinność rozkrzewiła się niezwykle bujnie.

Szliśmy między wysokimi do pasa pokrzywami, widzieliśmy zdziczałe stare jabłonie i uschnięte czereśnie.

Tak, to chyba właśnie duża ilość martwych, uschniętych drzew, o które nikt już nie dbał, Sprawiała to nieprzyjemne wrażenie. Wśród wysokiej, bujnej zieleni chwastów sterczały nagie pnie i bezlistne konary. Nawet ogromne topole, królujące nad tym miejscem, miały w 21

większości uschnięte potężne konary, na tych zaś, co jeszcze żyły i okryły się liśćmi, widniały wielkie wronie gniazda, podobne do potwornych narośli.

Czarne ptaki wciąż kotłowały się nad drzewami, nieustannie kracząc.

Ścieżka skręciła nad rzeczkę, zobaczyliśmy resztki dawnego stawidła, przez które woda przelewała się z głośnym szumem. Tuż obok był wielki staw pokryty grubą warstwą rzęsy.

W zielonkawym kożuchu leżały pnie przewróconych wichrem drzew i gniły, wydzielając ostrą woń. Ruiny młyna wyglądały jak wielkie, szare pudło, na które nadepnęła noga olbrzyma. Dach "Zapadł się do wnętrza, przez puste okna i drzwi widziało się gruz i chwasty. Podobnie wyglądał znajdujący się tuż obok dawny dom młynarza: czarne oczodoły okien i drzwi, zapadnięty dach, rozsypujące się ściany z cegieł, a na podwórzu kupy gruzu, rdzewiejące żelastwo, kilka dziurawych blaszanych beczek.

- Dlaczego nikt nie odbuduje tego młyna i nie zamieszka tutaj? - zastanawiała się głośno Kasia.

- W Jasieniu jest nowy młyn. Parowy. Widziałem go przejeżdżając przez wioskę -

powiedziałem. - Cóż za sens miałyby więc odbudowa tego młyna, skoro chłopci w Jasieniu mają

swój, a okoliczne państwowe gospodarstwa zajmują się tylko hodowlą krów i trzody chlewnej. Odbudować go po to, żeby stał bezużytecznie?

Tak rozmawiając ominęliśmy ruiny i weszliśmy znowu na ścieżkę, która zaprowadziła nas do drogi, i na drewniany most przerzucony nad rzeczką. Domyśliłem się, że jest to droga okrążająca jezioro; można nią było dojechać do pałacu Haubitzów i do wsi, a także - jeśli pojechało się w odwrotną stronę - do naszego ośrodka campingowego.

Po jednej stromej drogi rozciągał się zdziczały ogród utopionego młynarza, a po drugiej - rozpoczął się sosnowy bór, dołem zarośnięty leszczyną i krzakami jałowca.

Raptem Sebastian z głośnym szczekaniem rzucił się w krzaki. Zaciekawieni pobiegliśmy za jamiem, odchylił się zarośla, skąd wciąż dochodziło do nas naszczekiwanie. I oto zobaczyliśmy czarny motocykl

z przyczepą, a obok niego... ciotkę Zenobię, która ze złością opędzała się od Sebastiana, witającego ją wesołymi podskokami.

- Ten pies jest okropny - burczała Zenobia. - Zjawia się zawsze nie w porę. Patrzcie, jak mnie wytropił. Niczym milicyjny owczarek. - To ciocia się tutaj ukryła? - zapytała zdumiona Kasia.

- Nie - odpowiedziała ze złością. - Przyjechałam tu tak, jak i wy. Na spacer. Ale wcale nie pragnę niczyjego towarzystwa - to mówiąc spojrzała na mnie niechętnie.

- Nie będziemy pani przeszkadzać - rzekłem i odwróciłem się, aby odejść w stronę ruin.

Lecz w tym momencie zobaczyłem .między drzewami szarego taunusa pana Klausa.

Samochód stał w przesiece leśnej prowadzącej od drogi okalającej jezioro.

- Nie będziemy pani przeszkadzać - powtórzyłem - tym bardziej że, zdaje się, pani jest tu w czyimś towarzystwie.

Ciotka Zenobia pobiegła spojrzeniem za moim wzrokiem i zrozumiała, kogo .mam na myśli.

Przecząco pokręciła głową.

- Pan się myli. Przyjechałam tu sama i z nikim się tu nie umówiłam. Jadąc drogą zauważyłam w przesiece samochód pana Klausa, więc zatrzymałam się. Ale samochód jest pusty, pan Klaus zapewne poszedł na spacer w głąb lasu.

- I dlatego swój motocykl ukryła pani w jałowcach? - zapytałem z ironią.

Znowu ze złością tupnęła nogą.

- Co to pana obchodzi? Mogę robić, co mi się podoba.

Wziąłem Kasię za rękę.

- Chodźmy do kajaka - rzekłem. - Rzeczywiście, nic mnie to wszystko nie obchodzi.

- Cicho - syknęła Zenobia.

Chwyciła Sebastiana, objęła mu dłońmi mordkę, żeby nie zaszczekał, i czmychnęła w krzaki, gdzie stał jej motocykl.

- Chodźcie tutaj. Prędzej - szeptała z jałowców. - Czy nie widzicie, że nadchodzi ta Hilda?

Zrobiłem oburzoną minę, alei ja ukryłem się w krzakach, pociągając za sobą Kasię.

Szepnąłem do Zenobii z udanym gniewem:

- Nie wydaje mi się, aby czymś przyzwoitym było krycie się w jałowcach i podpatrywanie bliźnich. Uważam się za dżentelmena.

- Terę fere kuku! W Topielcu znajduje się jedna z tajemniczych szachownic. A Klaus i Hilda to utajeni wrogowie, rozumie pan? Nie ulega dla mnie wątpliwości, że ona przyszła tutaj śledzić Klause.

- A my śledzimy ją - burknąłem. - Nic z tego nie rozumiem..

- No, widzi pan? - triumfująco szepnęła Zenobia. - Ma pan umysł tak samo niewy gimnastykowany, jak mięśnie.

Nic się nie odezwałem, bo u wylotu przesieki zobaczyłem szczupłą brunetkę, idącą wolno w naszym kierunku. Z kryjówki widziałem, że jest to bardzo ładna, najwyżej trzydziestoletnia kobieta o gładko zaczesanych włosach, upiętych z tyłu w kok. Miała na sobie szare spodnie i białą bluzeczkę, na jej ramieniu kołysał się aparat fotograficzny. Idąc, uważnie rozglądała się na wszystkie strony. Gdy zbliżyła się do stojącego samochodu, w przesiece ukazał się Klaus. Nadszedł od strony ruin starego młyna.

- O - zdumiał się na jej widok. - Witam panią - pozdrowił ją po niemiecku i w tym języku ciągnął dalej rozmowę: - Przyszła tu pani na spacer czy na jeszcze jedno spotkanie z tajemniczą szachownicą?

- Nie zgadł pan. Przyszłam tutaj dla pana.

- O - jeszcze bardziej zdumiał się Klaus. - - Wydawało mi się, że nie darzy mnie pani sympatią.

- Właśnie dlatego tu przyszłam. Siedziałam na tarasie kawiarni pałacowej i widziałam, jak skierował pan swój samochód na drogę leśną do młyna. Pomyslałam: Po co pan Klaus tam jedzie? To przecież miejsce dzikie, odludne, romantyczne, a pan Klaus, o ile zdołałam się zorientować, nie ma romantycznego usposobienia. Więc, powodowana ciekawością, poszłam na spacer w tę stronę.

- I co pani zobaczyła? - spytał ironicznie Klaus.

- Pan jechał samochodem, a ja szłam piechotą. Nic dziwnego, że przyszłam za późno. Pan, zdaje się,

ma już zamiar wracać do pałacu.

- Owszem. I chętnie panią podwiozę. Czuję się w jakimś stopniu zobowiązany, że z powodu mojej skromnej osoby zrobiła pani taki szmat drogi. Nie chciałbym, aby pani znowu musiała powtórzyć swój marsz. Zaspokoje również pani ciekawość. Przyjechałem tutaj, aby jeszcze raz obejrzeć jedną z tych szachownic, które narobiły tyle kłopotu.

- Nie wierzę panu. I nie skorzystam z pana samochodu - odrzekła chmurnie Hilda.

Klaus wzruszył ramionami.

- Nie umie pani przegrywać, panno Hildo. A ten, który nie potrafi przyjąć klęski, nigdy nie zwycięży;

Nie potrafi się pani pogodzić z faktem, że po tygodniowych poszukiwaniach wracamy z niczym do Niemiec.

Jak pani wie, ja od początku nie wierzyłem w istnienie tego pamiętnika. W tamtych czasach była pani ośmioletnią dziewczynką i pewne sprawy zupełnie inaczej wyglądały w pani oczach. A nawet jeśli ten pamiętnik rzeczywiście istniał, to przecież do dziś nie pozostał po nim nawet ślad. Zagadkowe słowa starego Haubitza można rozumieć wieloznacznie, a żadna z napotkanych przez nas szachownic nie prowadzi do skrytki. Szkoda, że nie pomyślała pani wcześniej o tych wszystkich sprawach. Naraziła pani na szwank dobre imię człowieka, narobiła pani wiele kłopotów panu Weberowi i jego redakcji. Przegracie ten 23

proces. Rozmawiam teraz z panią zupełnie szczerze, staram się być obiektywny, choć gazeta, w której pracuję, popierała i popiera Haubitza. Stwierdzam: w takich sprawach trzeba być niezwykle ostrożnym. Gołosłownymi oskarżeniami można zrobić więcej szkody niż pożytku.

Otworzył drzwiczki swego samochodu.

- Proszę, może pani jednak wsiądzie - zrobił zapraszający gest ręką.

- Nie - odparła twardo Hilda.

Klaus wsiadł do swego wozu, zapuścił silnik i po chwili odjechał w stronę pałacu.

I właśnie wtedy Sebastian wyrwał się z rąk Zenobii.

Ze szczekaniem rzucił się w ślad za samochodem.

- O, Boże! - przestraszyła się Hilda, tak raptownie Sebastian wyskoczył z krzaków i niemal wpadł jej pod nogi.

- On nie gryzie - powiedziałem po niemiecku, wychodząc z kryjówki w jałowcach.

Podły Sebastian zdradził nasz schowek, nie było sensu ukrywać się dalej. Usłyszałem głośne złorzeczenie Zenobii, która obdarzała Sebastiana obraźliwymi epitetami, a potem zapuściła silnik

swego straszliwie jazgoczącego motocykla. Klucząc między drzewami odjechała z okropnym hałasem; nie raczyła nawet powiedzieć nam „do widzenia”.

Kasia wylazła z jałowców i zagwizdała na psa. Zbliżyłem się do Hildy i skłoniwszy się, powiedziałem:

- Przepraszam, że byłem mimowolnym świadkiem rozmowy z panem Klausem. Wydaje mi się, że mógłbym się okazać pani pomocnym...

Obrzuciła mnie spojrzeniem pełnym pogardy.

- Mimowolnym świadkiem rozmowy - powtórzyła z .drwiną. - Niech pan powie od razu, że podsłuchiwaście. To bardzo brzydkie, proszę pana.

I odwróciwszy się plecami, pomaszerowała przesieką, mijając Sebastiana, który zrezygnował z gonitwy za samochodem i wracał do Kasi, wywaliwszy swój długi, czerwony ozór.

Podrapałem się w głowę.

- Nie, to nie - mruknąłem.

Wydawało mi się, że mógłbym powiedzieć Hildzie coś, co by ją zapewne bardzo zainteresowało. Ale ona poczuła się dotknięta faktem, że podsłuchiwaliśmy.

I myślę, że miała rację, okazując mi swoją wzdargę.

Było mi bardzo nieprzyjemnie z tego powodu. Czulem niesmak i niechęć do siebie za to, że dałem się Zenobii nakłonić do podsłuchiwania. Niestety, za późno już było, aby zmienić ten przykry fakt.

Westchnąłem ciężko i rzekłem do Kasi:

- A teraz poszukajmy tajemniczej szachownicy, która podobno znajduje się w Topielcu.

Szukaliśmy długo, penetrując ruiny młyna. A szachownica znajdowała się na brzegu jeziora, w pobliżu miejsca, gdzie wylądowaliśmy „salamandrą”.

Była wyryta na wielkim, granitowym głazie narzutowym, o który 2 cichym sykiem rozbijały się fale jeziora.

- Jak pan sądzi, może skrytka jest pod tym głazem? - spytała naiwnie Kasia.

Roześmiałem się.

- Cóż to musiałby być za olbrzym, żeby unieść głaz i schować coś pod nim. Z jednej strony głazu jest woda, a z drugiej tak wilgotno, że każda rzecz tu zakopana uległaby natychmiastowemu zniszczeniu.

Nie, moja droga. Ta szachownica nie kryje żadnej tajemnicy.

- A po co ją tutaj wryto?

- Prawdopodobnie właśnie w tym miejscu kończy-, ły się grunty majątku Haubitzów. Głaz z szachownicą to znak graniczny. Od tego miejsca miał swoją ziemię młynarz, który się utopił, a lasy z tej strony jeziora należały do państwa.

W zamyśleniu przypatrywałem się wyrytej na głazie szachownicy, pierwszej, jaką spotkałem po swym przyjeździe do Jasienia. Jednocześnie myśl moja krążyła wokół

metalowej tulejki znalezionej przez chłopców w ruinach obserwatorium. Myślałem o Klausie, Hildzie i o dziwnym zachowaniu pięknej Zenobii.

Hilda wyjaśniła szczerze powód swego przyjscia do Topielca. Po prostu śledziła Klause, którego uważała za swego przeciwnika. A Zenobia? Co ją sprowadziło do Topielca?

A może przybyła tutaj na spotkanie z Klausem i zjawienie się moje wraz z Kasią przerwało lub uniemożliwiło im spotkanie? Czemu jednak kryli się z tą sprawą, czemu na miejsce spotkania wybrali młyn, a nie, na przykład, taras kawiarniany? Dlaczego każde z nich przyjechało tutaj oddzielnie?

I jeszcze jedno pytanie narzucało mi się z ogromną i siłą: czemu Zenobia ukryła się w jałowcach, gdy zobaczyła nadchodzącą Hildę, a potem zmusiła mnie do podsłuchiwania jej rozmowy z Klausem?

Nie znajdowałem odpowiedzi na żadne z tych pytań.

A nad moją głową, w uschniętych gałęziach starych topoli, ponuro skrzeczały stada wron.

Ich wrzask mącił myśli i przenikał mnie niepokojem.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

IDEAŁY ZENOBII . CZY MĘŻA ZDOBYWA SIĘ PRZY POMOCY DŻUDO? • NOCNA WYPRAWA • TAJEMNICZY OSOBNIK • CO SIĘ ZDARZYŁO W PAŁACOWYM PARKU

Wieczorem zaczął padać deszcz. Siedziałem samotnie na tarasie pałacowej kawiarni pod kolorowym parasolem i ten deszcz zmusił mnie do szybkiego zapłacenia rachunku. Pobyt w kawiarni okazał się zresztą dla mnie zupełnie jałowy, nikt z gości nie zwrócił mojej uwagi.

Byli to przeważnie czescy turyści, nie zobaczyłem ani Klause, ani Hildy. Dopiero pod koniec mej bytności na tarasie pod pałac zajechał ogromny niebieski ford ze szwajcarską rejestracją. Wysiadł z niego przystojny blondyn w moim wieku, nadbiegł portier i zaczął z samochodu wynosić walizki. Innymi słowy, do pałacu przybył nowy gość, tym razem aż z Szwajcarii.

I wtedy dostrzegłem wychodzącą z pałacu Zenobię.

,Na chwilę przystanęła oglądając wspaniałego forda, potem ciekawie zerknęła na przystojnego Szwajcara.



Wreszcie i mnie zauważyła, gdy umykając przed deszczem zapłaciłem rachunek i zbiegłem po schodach tarasu.

- Chwileczkę - odezwała się do mnie. - Niech pan zaczeka. Podwiozę pana swoim motocyklem. Pada deszcz, a pan jest wątlego zdrowia.

- Błagam panią, niech się pani nade mną lituje- warknąłem z gniewem.

Niedbale machnęła ręką, co miało zapewne znaczyć, że nawet jej litość niewiele zdoła zmienić moją sytuację.

Wskazała niebieskiego forda.

- Piękny, prawda? Nie to, co pański gruchot. Ciekawa jestem, z jakiej części Szwajcarii pochodzi właściciel samochodu. Jeśli z tej, gdzie mówią po francusku, to nie będę się z nim mogła porozumieć. Bo ja znam tylko niemiecki i angielski.

- Zdumiewa mnie pani zainteresowanie cudzoziemcami...

- Może mam zamiar wydać się za męża za jakiegoś przystojnego cudzoziemca?

- Nie ma co. Wspaniałe ideały - burknąłem.

Niespodziewanie chwyciła mnie za łokieć, jednocześnie kładąc swoją stopę tuż za moją nogą. Popchnęła mnie lekko i... już leżałem na trawie koło tarasu.

Któryś z gości roześmiał się głośno, gdy niezgrabnie gramoliłem się.

- Przy pomocy chwytów dzudo nie wychodzi się za mąż - powiedziałem z wściekłością.

I pomaszerowałem przed siebie, wybierając raczej zmoknięcie niż jazdę motocyklem. Ale Zenobia wyciągnęła z jakiegoś kąta swój straszliwy motocykl i dogoniła mnie. Przystanęła i wskazała mi miejsce w przyczepie.

- Pani się nade mną znęca - rzekłem.

- O, nie. Pan się myli. Po prostu staram się zrobić z pana mężczyznę. Myli się pan również co do moich ideałów. Wciąż noszę w sobie nadzieję, że kiedyś spotkam jakiegoś niezwykłego człowieka. Przywitam się z nim, spróbuję zastosować wobec niego któryś z najbardziej zdradliwych-chwytów dzudo. A on nic, ani drgnie. Okaze się, że zna dzudo lepiej ode mnie.; W takim człowieku potrafiłabym się zakochać.

: - Och, to chyba nic trudnego. Znam kilku mistrzów dzudo.

Spojrzała na mnie groźnie,

- Jeśli pan nie przestanie szydzić, za chwilę znowu znajdzie się pan na ziemi.

Z ubolewaniem pokiwałem głową.. - Jestem zdany na pani łaskę i niełaskę. Ale czy nigdy nie przyszło pani na myśl, że duże znaczenie w życiu .mają takie cechy, jak: inteligencja, wykształcenie, charakter człowieka i tym podobne?

- Owszem - skinęła głową. - Ale dzudo też warto znać. Jedno drugiemu nie przeszkadza.

No, niechże pan siada. Nie zrobię panu krzywdy - powiedziała łaskawie.

Deszcz lał coraz większy, więc zamiast unieść się honorem, wlałem jednak do przyczepy i dałem się zawieźć do naszego ośrodka campingowego. Rozstaliśmy się w potokach deszczu, powiedzieliśmy sobie chłodno „Do widzenia” i zniknęliśmy w swoich domkach.

Odsunąłem zasłonkę w maciupieńkim okienku i stwierdziłem, że u pana Kuryły, który był

moim sąsiadem po lewej stronie, pali się światło. „Postrach gastronomii” zapewne przygotowywał się do snu albo czytał książkę.

Tej nocy zamierzałem złożyć wizytę w ruinach obserwatorium, ale pora wydawała mi się jeszcze zbyt wczesna. Była dopiero dziewiąta, należało na wyprawę wyruszyć już po jedenastej, gdy wszyscy w ośrodku będą spali. Nie chciałem, aby ktokolwiek zauważył, że zamiast spać, odbywam nocne włóczęgi po okolicy.

Deszcz ciągle bębnił na dachu mojego domku. Wydałem z walizki ciepły sweter, wciągnąłem na siebie te same obcisłe spodnie, przygotowałem przeciwdeszczową pelerynę. Sprawdziłem też, jak

działa moja elektryczna latarka.

I ogarnęły mnie wątpliwości, czy w taką pluchę warto płynąć na drugą stronę jeziora.

Przecież to już siódmy dzień mijał od dziwnej przygody Wiewiórki. Tajemniczy osobnik lub osobnicy, którzy dokonywali tam wówczas jakiejś podejrzonej czynności, być może zakończyli już swoje zadanie i zniknęli stąd na zawsze... A zresztą, czy w taką pluchę chciałoby się im grasować w ruinach obserwatorium?

„Tak - odpowiedziałem na swoje wątpliwości. - Gdybym był złoczyńcą, właśnie taką noc wybrałbym na odwiedzenie ruin, przewidując, że będę tam mógł działać spokojnie i bezpiecznie”.

Położyłem się więc na swoim wyrku, nakryłem kocem i spróbowałem zadrzemać, aby podczas nocnej wyprawy móc zachować pełną trzeźwość.

Obudziłem się na krótko przed dwunastą. Po cichutku odemknąłem drzwi i wyszedłem na dwór. Okno domku pana Kuryłły było już ciemne, nie świeciło się także u Zenobii.

„Salamandra” Kaśki leżała na trawie między jej domem a moim, wiosło stało oparte o ścianę. Zaniósłem kajak nad wodę i po chwili płynąłem przez jezioro czarne od nocy i deszczu.

Gęsty, nieprzenikniony mrok utrudniał orientację, wkrótce zniknął mi z oczu brzeg z ośrodkiem campingowym, a przeciwległy pozostał niewidoczny. Płynąłem więc niemal po omacku, rozgarniając równo wodę, aby kajak szedł prosto i zaniósł mnie do celu.

Jazda w ciemności wydawała się długa, jak gdybym nigdy nie miał dobić do brzegu.

Dookoła wciąż zalegała noc i szemrał deszcz. Po jakimś czasie zacząłem się obawiać, że kajak jednak zboczył z kursu i płynę wzdłuż brzegów aż na koniec jeziora, do młyna Topielec.

Pracowałem wiosłem nieustannie, lecz drugi brzeg wciąż pozostawał niewidoczny. Było tak ciemno, że ledwo widziałem dziób „salamandry”. Toń jeziora wydawała się przepaścią, doznawałem wrażenia, że za chwilę wychyła się z niej długie oślizłe macki, owina się wokół mej szyi i pociągną mnie w głębinę.

Opis takiej sceny czytałem niedawno w jednej z książek angielskiego pisarza, Iana Flemminga. Bohater jego powieści, nieustraszony James Bond, agent nr 007 angielskiego wywiadu - walczył z potworną piętnastometrową ośmiornicą. Ech, z kim ten Bond nie walczył i kogóż nie zwyciężał! Zlikwidował straszliwego Chińczyka zmieniającego tory amerykańskich rakiet kosmicznych, unicestwił szajkę, która chciała napromieniować i zniszczyć amerykańskie zapasy złota.

Bo - wyznać to trzeba - nieustraszony i niezwyciężony James Bond najczęściej unicestwiał

niesamowite spiski, które zachodniemu światu rzekomo gotował świat socjalistyczny, co zresztą, podobnie jak owa ogromna ośmiornica, istniało li tylko w wyobraźni literackiej Iana Flemminga.

Spopularyzowana przez film postać Jamesa Bonda stała się bożyszczem wielu ludzi na Zachodzie, zrodziła nawet zjawisko zwane „bondomanią”. Niektórzy młodzi ludzie zaczęli nosić koszule a la Bond, krawaty a la Bond, chusteczki, pidżamy, portfele, wszystko - a la James Bond. Ów niezwykle bohater posiadał ogromną siłę, zręczność i inteligencję, dzięki którym zawsze cało wychodził z wszelkich opresji. Miał on również niezwykle samochód kuloodporny, z wmontowanymi taranami pozwalającymi mu przewracać największe przeszkody.

. „Ciekawy jestem - pomyślałem - co powiedziałby James Bond, gdyby zobaczył mój pokracyjny wehikuł?”

Przerwałem rozmyślenia. Oto z prawej burty zamajaczyła w ciemnościach czarna ściana, ciemniejsza od tła otaczającej mnie nocy. Zbliżałem się do drugiego brzegu jeziora Jasień.

Wpłynąłem w zatoczkę zarośniętą wysokimi trzcinami. Wskoczyłem na brzeg i kajak wciągnąłem w krzaki wikliny. O kilka kroków dalej ukryłem w krzakach również i wiosło.

Mrok i deszcz wciąż utrudniały orientację, nie miałem pojęcia, którędy należało iść do obserwatorium.

Postanowiłem więc ruszyć wzdłuż brzegu aż do parku pałacowego. Zapamiętałem z Księgi strachów, że tamtędy - aleją parkową - najłatwiej było dostać się do ruin.

Szybkim krokiem maszerowałem nad jeziorem. Krzaki się przeredziły, trafiłem na aleję wysadzoną starymi grabami, która kończyła się u stóp niewysokiego wzgórza. A więc mimo ciemności zdołałem znaleźć ścieżkę na wzgórze, krętą, prowadzącą wśród krzaków i drzew.

Teraz zwolniłem tempo marszu. Gdybym się potknął o kamień lub korzeń, a pełno ich było pod nogami, ktoś mógłby to usłyszeć pomimo szelestu wywołanego deszczem.

Należało być ostrożnym i czujnym. Moja obszerna peleryna, po której spływały strużki wody, niekiedy ocierała się o gałęzie krzaków, zdjąłem ją więc i zwinąwszy, wsadziłem sobie pod pachę.

Tak jak opisano w Księdze strachów - ścieżka miała kilka zakrętów. Raptem krzaki rozstały się i ujrzałem czarny łuk nad swoją głową: resztkę sklepionej bramy obserwatorium. Minąłem ją i wkroczyłem na kamienny podwórzec. Stąd można się było dostać do głównej części obserwatorium. Ale w mroku, bez zapalenia latarki, wątpiłem, czy zdołam tam trafić. Przyciąłem się więc pod murem i nasłuchiwałem. Postanowiłem, że jeśli mię zauważę niczego podejrzanego, na chwilę posłużę się latarką.

Słyszałem tylko monotony szmer deszczu na starych murach. Już miałem przycisnąć guzik latarki, gdy nagle dobiegł mnie jakiś stuk. Jak gdyby od murów oderwał się drobny kamień i grzechocząc spadł na ziemię. Wstrzymałem oddech i nasłuchiwałem, lecz stuk nie powtórzył się więcej.

I anowu już niemal zdecydowałem się przycisnąć guzik latarki, gdy za bramą w krzakach coś głośno zaszeleściło. Może zbudził się jakiś ptak? Szelest powtórzył się, jak gdyby coś dużego przedzierało się przez gęste listowie. Potem zapadła cisza...

Grzechot spadającego kamienia doleciał do mnie z przodu, szelest liści usłyszałem za swymi plecami.

Doszedłem do wniosku, że jestem przesadnie czujny.

Noc w ruinach, w sąsiedztwie gęstych krzaków, zawsze przynosi podobne odgłosy. Deszcz rozmywa stare mury, w krzakach buszują jeże. Jeśli będę tak ciągle wsłuchiwał się w nocne głosy, nie zrobię nawet kroku, nie zwiedzę ruin.

Przetarłem powieki. Czyżby wzrok zmęczył mi się od nieustannego wpatrywania się w ciemność? Po drugiej stronie, podwórza mury jak gdyby pojaśniały.

Wyraźnie widziałem już otwór prowadzący do sąsiednich pomieszczeń, a przecież przed chwilą cała tamta strona pozostawała mroczna. Może noc stawała się widniejsza?

Otwór wciąż jaśniał, nabierając żółtawego odcienia.

Ktoś nadchodził świecąc latarką. Był w bocznych pomieszczeniach obserwatorium, ale otwór wyjścia gorzał już żółtym blaskiem elektrycznego światła, jeszcze chwila i ten ktoś znajdzie się na podwórzu.

Czmychnąłem za bramę i wcisnąłem się w krzaki.

Wychyliwszy nieco głowę, mogłem widzieć przez bramę duży fragment podwórca.

Przez otwór z bocznych pomieszczeń wyszedł ktoś z silnym reflektorem. Szeroki krąg światła pełzał po murach, wędrował od ziemi do szczytu, jak gdyby ów ktoś szukał na ceglach jakiegoś napisu lub znaku- Nie widziałem go, bo reflektor był tak skonstruowany, że ten, kto go używał, pozostawał w ciemności, wypuszczając tylko z dłoni długi i ostry promień blasku.

„Boże drogi - zastanawiałem się gorączkowo - co to wszystko ma znaczyć?”

Tydzień już minął od przygody Wiewiórki. Czyżby co noc przychodził tu ktoś i świecąc latarką szukał czegoś na murach? Dlaczego nie robi tego w ciągu dnia? Dostęp do ruin jest swobodny, każdy może je odwiedzić, ile razy zechce, i spędzać w nich tyle czasu, ile mu się podoba. Za dnia chyba łatwiej odnaleźć znak na murach, a poszukiwania nie wzbudzą niczyjego podejrzenia. Dlaczego więc

ponawia on swoje odwiedziny?

Zamarłem i głębiej wcisnąłem się w listowie. Zgasło światło na podwórku. Usłyszałem zbliżające się kroki, tajemniczy osobnik przeszedł pod łukiem bramy i skierował się na ścieżkę. Gdy mijał mnie, oddalony zaledwie o trzy kroki, zobaczyłem czarny, nieprzemakalny płaszcz z kapturem. Twarz pozostawała niewidoczna, zresztą mrok nie pozwoliłby rozpoznać rysów.

Tajemniczy osobnik szedł dość szybko, wkrótce znalazł się za trzecim zakrętem ścieżki.

Wtedy ostrożnie opuściłem krzaki i zacząłem skradać się za nim. „Dokąd on idzie? Czyżby do pałacu?” - zastanawiałem się.

Już wszedł w alejkę parkową, słyszałem wyraźnie zgrzyt żwiru pod jego butami.

Deszcz i ciemność okazały się teraz moimi sprzymierzeńcami. Szmer deszczu zagłuszał

moje kroki, a ciemność czyniła mnie niewidocznym. Aleje parku obrastały grube graby, biegłem od pnia do pnia, wciąż pozostając w dość bliskiej odległości od tajemniczego osobnika. A on szedł szybkim krokiem, nieświadomy, że skradam się za nim.

„Idzie do pałacu” - skonstatowałem, gdy już przed nami zamajaczyła czarna, ogromna sylwetka. Okna pałacu były ciemne, paliła się tylko latarnia nad głównym wejściem.

Wydawało mi się, że tajemniczy osobnik zmierza wprost do drzwi. Ale nie, przystanął, jak gdyby zawahał się. Potem magle skręcił w boczną aleję i zaczął oddalać się od pałacu.

Szedł znowu w głąb parku.

Aleja kończyła się przed niskim kamiennym murem, który obiegał niemal cały park pałacowy. Na chwilę zabłysło światło. Tajemniczy osobnik zapewne szukał dogodnego przejścia przez mur. Potem zgasił latarkę, wspiął się na kamienie i zniknął po drugiej stronie.

Zrobiłem dokładnie to samo co on. W tym samym miejscu wspiąłem się na kamienie i przeskoczyłem, przez mur. Lecz gdy stanąłem po drugiej stronie, raptem silne ręce chwyciły moją głowę, czyjaś dłoń przycisnęła mi coś do ust. Ogarnął mnie duszący, okropny zapach, zabrakło mi tchu. Szarpnąłem się raz i drugi, ale uścisk nie ustępował.

Dusząc się, chwyciłem w płuca ów mdlący zapach i wydawało mi się, że lecę gdzieś w przepaść, w czarną toń jeziora. Straciłem przytomność.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

MAJACZENIA I RZECZYWISTOŚĆ • NIEZWYKŁE .SPOTKANIE » WIEMY, ŻE NIC NIE

WIEMY • DEMASKATORSKA SZTUKA SEBASTIANA • PROPOZYCJA PANA KURYŁŁY \*

## ZŁOTO, PAMIĘTNIK CZY BRYLANTY?

Nie wiem, jak długo leżałem bez świadomości. Potem zaczęły mnie dręczyć dziwne majaki.

Wydawało mi się, że ktoś szpera w mych kieszeniach i świeci mi w oczy latarką.

Wreszcie, jakby zza grubej ściany, usłyszałem wołanie Wiewiórki i Tella: „Panie Tomaszu!

Panie Tomaszu! Niech się pan zbudzi!" Ale było to chyba złudzenie, bo znowu zapadłem w mrok.

Po jakimś czasie zacząłem odczuwać chłód i wilgoć.

A wraz z tym wrażeniem powoli wracała mi przytomność. Zdałem sobie sprawę, że leżę na ziemi nakryty swoją deszczową peleryną, na którą pada deszcz.

Otaczała mnie ciemność, ale nie był to mrok nieświadomości, a po prostu deszczowa noc.

Nagle zauważyłem, że ktoś koło mnie siedzi. Poruszyłem się, a wtedy ów ktoś odezwał się do mnie znajomym głosem Wiewiórki:

- Chwała Bogu, że pan się obudził, panie Tomaszu.

Przymknąłem oczy, przerażony, że tracę przytomność.

Ów głos był chyba halucynacją.

Lecz znajomy głos znowu powiedział:

- Chwała Bogu, że się pan zbudził. Chłopcy pobiegli po ojca Tella. On jest lekarzem i pana zbada.

Wyciągnąłem rękę i dotknąłem ramienia chłopca.

- To ty? Naprawdę ty? - uniosłem głowę i wpatrywałem się w jego twarz.

Roześmiał się.

- To ja we własnej osobie. Nie spodziewał się pan mnie tutaj?

Westchnąłem i głowa opadła mi na trawę. Miałem w myślach wielki zamęt, nie byłem w stanie zastanawiać się, dlaczego chłopcy znaleźli się tutaj.

- Źle się pan czuje? - troskliwie spytał Wiewiórka. - Okropnie pana urządził ten typ. Dał się pan wprowadzić w pułapkę.

Usłyszeliśmy odgłos spieszych kroków.

- Tędy. Trzeba przejść przez mur. Pan Samochodzik leży po drugiej stronie - .mówił Tell.



Zabłyły trzy latarki elektryczne. Zobaczyłem Sokole Oko, Tella i jego ojca lekarza, którego miałem możliwość poznać w ubiegłym roku, gdy z chłopcami wybierałem się na poszukiwanie skarbu templariuszy. Doktor wziął mnie za rękę, zbadał puls, potem świecąc latarką zajrzał mi w źrenice. Rozpiął koszulę na moich piersiach i przez lekarską słuchawkę wysłuchał uderzeń serca.

- Wydaje mi się, że nic panu nie jest - stwierdził po chwili.

Usiadłem. Sokole Oko dwoma palcami podniósł ostrożnie z ziemi coś białego. Był to tamponik z waty.

- To leżało obok pana Tomasza - rzekł.

Powąchał i kichnął potężnie.

- Tfu, to jakieś okropne świństwo - splunął.

Doktor wziął od niego tamponik, również powąchał go i schował do kieszeni.

- Nasycono go jakąś mieszaniną chloroformu, eteru i czegoś jeszcze - oświadczył. -

Natychmiast stracił pan przytomność. Niech pan teraz zrobi kilka głębokich oddechów i wydechów, aż to świństwo ulotni się z pańskich płuc.

Oddychałem głęboko wilgotnym powietrzem nocy.

Umysł mój zaczął pracować jasno. Podniosłem się z ziemi.

Doktor radośnie zatarł ręce.

- A więc zaczęło się - rzekł triumfująco. - Cieszę się, że dałem się namówić na przyjazd tutaj. Może nareszcie na stare lata przeżyję jakąś sensacyjną przygodę? Jak w powieści kryminalnej.

- Należą mi się chyba jednak pewne wyjaśnienia - odezwałem się. - Skąd wiedzieliście, że wyjechałem do Jasienia? I jak to się stało, że nie jesteście nad morzem?

Wiewiórka zachichotał, a Sokole Oko z ubolewaniem pokiwał głową.

- Pan nas wyraźnie nie docenia, panie Tomaszu.

- Tak jest, pan nas nie docenia – podchwycił Tell. - Pan myśli, że my nie rośniemy, jesteśmy wciąż tymi samymi dwunastoletnimi chłopcami, których spotkał pan na Wyspie Złoczyńców. A przecież od tego czasu minęły dwa lata.

- I niejedną przygodę razem przeżyliśmy - dodał Wiewiórka tonem sędziwego starca, (który młodym ludziom opowiada, jak to w czasach jego młodości wojowało się w różnych krajach.

- Ma się te zdolności detektywistyczne - zarozumiałe stwierdził Sokole Oko. - Pan sądził, że nie zauważyłem dziwnego błysku w pańskim oku, gdy wziął pan do ręki tajemniczą tulejkę, a potem poprosił, żebyśmy zostawili panu Księgę strachów? Gdy tylko wyszliśmy od pana, powiedziałem do chłopaków: „Oho, coś się zaczyna”. Tak powiedziałem czy nie?

- Tak powiedziałeś- przytaknęli chórem.

- Nazajutrz jednak o mało nie zwiódła nas pańska obojętna mina, z jaką zwrócił nam pan Księga strachów - ciągnął dalej Sokole Oko. - Zauważyłem jednak na pańskim biurku rozłożoną mapę Pojezierza Myśluborskiego. I ten fakt bardzo mnie zastanowił.

„Czego pan Tomasz szukał na tej mapie?” - rozmyślałem po powrocie do domu. Tak mnie to pytanie dręczyło, że znowu wróciłem do pana. Ale mieszkanie było już zamknięte, pan wyjechał. Na drzwiach wisiała kartka dla listonosza: „Proszę listy do mnie kierować na poste restante w Jasieniu”. Trzeba by chyba być niedorozwiniętym, żeby nie pojąć, co się stało. W Księdze strachów wpadł pan na ślad jakiejś sensacyjnej sprawy i wyjechał pan do Jasienia.

- I wtedy przyszli do mnie - uzupełnił doktor. - Zaczęli mnie błagać, abym zrezygnował z wakacji nad morzem i zawiózł ich do Jasienia. Chcieli nawet sami tu przyjechać, lecz na to żadna mama się nie zgodziła.

Obiecali mi udział w niezwykłych przygodach...

- Nie oszukaliśmy taty - powiedział Tell.

- A owszem. Przyznaję, że zaczyna się ciekawie - zgodził się doktor. - Więc zapakowałem chłopaków do swojego Wartburga, wzięliśmy namioty, śpiwory i, jak pan widzi, jesteśmy w Jasieniu. Jednego tylko nie rozumiem: jak to się stało, że ja spałem w swoim namiocie, a w tym czasie chłopcy znaleźli się w parku?

- A widzi pan! - zawołałem. - Sam się pan przekonał, jacy oni są. To właśnie tak zawsze wyglądała moja opieka nad nimi. Pan położył się spać w głębokim przeświadczeniu, że oni robią to samo, a tymczasem chłopcy wyruszyli na nocną wyprawę.

- I odnaleźliśmy pana w niezbyt chwalebnej sytuacji - złośliwie stwierdził Sokole Oko.

- Jedno z drugim nie ma nic wspólnego - rzekłem. - Za to, że mnie odnaleźliście, składam wam podziękowanie. Ale za nocną wyprawę bez wiedzy ojca należy się wam nagana.

- Koledzy! - wykrzyknął Wiewiórka. - Pan Samochodzik jeszcze odczuwa skutki omdlenia.

Chodźmy stąd, bo tak marudzi, że nieprzyjemnie słuchać. Pan Tomasz okazuje się człowiekiem bez elementarnego poczucia wdzięczności.

- Tak jest. Elementarnego poczucia wdzięczności- podchwycił Sokole Oko.

Wiewiórka zachichotał złośliwie.

- Następnym razem, jeśli znajdziemy pana zemdlonego, prawdopodobnie pozostawiany pana na chłodzie i deszczu.

Doktor podniósł rękę do góry.

- Pokój, pokój. Pax, pax, panowie. Przestańmy się kłócić. Najwyższa pora zastanowić się nad sytuacją. .

Proponuję, panowie - tak właśnie, per „panowie”, zwracał się doktor do chłopców -

proponuję zaprosić pana Tomasza do naszego obozowiska, gdzie ja wypiję z nim dla rozgrzewki po kieliszku koniaku, a wy zaparzycie sobie herbatki.

Bardzo miłym człowiekiem był ojciec Tella. Bezpośrednim, serdecznym i koleżeńskim.

Właśnie na stopie koleżeńskiej starał się -utrzymać swoje stosunki z chłopcami.

Przyjąłem zaproszenie. Bo choć unikałem alkoholu,; to właśnie dzisiaj wydawało mi się, że kieliszek koniaku dobrze mi zrobi. Noc była dżdżysta, a ja jakiś czas:

leżałem na mokrej od deszczu trawie.

Obozowisko moich przyjaciół znajdowało się w lesie, tuż za wzgórzem z ruinami obserwatorium. Stały tam dwa namioty, jeden chłopców, a drugi doktora - duży, z garażem albo, jak kto woli, z werandą, gdzie

pod rozwieszonym dachem można było leżakować nawet w czasie słońca. Rozsiadliśmy się na składanych brezentowych krzesłach. Doktor wyciągnął z walizki butelkę koniaku, chłopcy zgotowali herbatę na gazowej turystycznej kuchence.

Noc stała się widniejsza. Niebo nad lasem pojaśniało, a wraz ze zbliżającym się świtem ustał także

deszcz.

Z radością patrzyłem cna twarze swych przyjaciół, cieszyłem się, że są znowu ze mną i wspólnie rozwiązywać będziemy zagadkę w Jasieniu.

- Dlaczego pan tu przyjechał? Chcemy wiedzieć, jaką tajemnicę kryła nasza harcerska Księga strachów - zagał rozmowę Wilhelm Tell.

- Czy masz przy sobie tę tulejkę? - zwróciłem się z pytaniem do Wiewiórki.

Bez słowa wyjął ją z kieszeni.

- To jest łuska naboju pistoletu gazowego - oświadczyłem. - Do Wiewiórki strzelano gazem.

Taka była prawdziwa przyczyna jego omdlenia w ruinach.

- Fiuuu - gwizdnął przeciągle Sokole Oko. - Że też sami na to nie wpadliśmy.

Wiewiórka aż buzię rozdziawił ze zdumienia.

- Pistolet gazowy? Nigdy o czymś takim nie słyszałem. Czy to niebezpieczna broń?

- Niebezpieczna. Sam się o tym przekonałeś - wyjaśniłem. - Skonstruowano ją na Zachodzie, w krajach, gdzie w przerażających rozmiarach szerzy się przestępczość. Ludzie bronią się nimi przed napadami na ulicy, przed łobuzami, złodziejami wrywającymi na ulicach kobietom torebki. Są produkowane pistolety z gazem łzawiącym, oszłamającym, ba, nawet rozśmieszającym.

Ale to nie jest wcale aż tak niewinne narzędzie, jak by się wydawało. Czubek naboju zrobiony jest z plastyku albo metalu. Otóż w chwili wystrzału ten metal lub plastik rozpryskuje się i jeśli się strzeli komuś w twarz, może go niebezpiecznie zranić, a nawet spowodować utratę oka.

Doktor przerwał te moje wyjaśnienia:

- Wypijmy, panie Tomaszu. Na rozgrzewkę. Żeby pan się nie nabawił zapalenia płuc. Zdaje mi się, że zanoszą się tutaj na niezwykle przygody. Będę miał potem co opowiadać swoim kolegom w szpitalu.

Opowiedziałem im o wszystkim, z czym zetknąłem się po swym przyjeździe do Jasienia. O

przygodzie z Klausem na szosie, o Kasi, Sebastianie, ciotce Zenobii, panu Kury Ile i sprawie tajemniczej szachownicy.

O wycieczce kajakowej do młyna Topielec, o Hildzie i nocnej wyprawie do ruin obserwatorium, która skończyła się dla mnie tak niefortunnie.

- Osobnik, którego śledziłem - kończyłem swoją opowieść - zauważył mnie w pewnej chwili.

Najwyraźniej zmierzał do pałacu, lecz gdy spostrzegł, że go śledzę, skręcił znowu w głąb parku, aby mnie wywieść w pole. Idąc przygotował sobie tamponik i nasycił go jakąś substancją. Przeskoczył mur, zaczął się po drugiej stronie i obezwładnił mnie.

Przypuszczam, że dokonał rewizji moich kieszeni, chcąc dowiedzieć się, kim jestem.

Można rzecz, że zostałem „spalony” dla naszych przeciwników, będą się mnie strzegli. Cała moja nadzieja w was, chłopcy, i w panu, doktorze. Nikt na was nie będzie zwracał uwagi, nie wzbudzicie zapewne niczyich podejrzeń.

- Spokojna głowa, panie Tomaszu - z przechwałką w głosie rzekł Wiewiórka. - Już my się weźmiemy za tajemniczego osobnika. Wkrótce przestanie być tajemniczy.

Teraz Wilhelm Tell opowiedział, jak doszło do tego, że chłopcy znaleźli mnie nocą w parku pałacowym.

Okazało się, że do Jasienia przyjechali późnym wieczorem. Nie wiedzieli, gdzie mnie szukać, zresztą z początku postanowili nie wchodzić mi w paradę i pozostać na uboczu.

Myśleli, że się będę gniewał z powodu ich przyjazdu.

Podczas pobytu na obozie dość dokładnie poznali okolicę, wiedzieli więc o dobrym miejscu na biwak.

Rozłożyli się obozem za wzgórzem obserwatorium, w lesie nad rzeczką. Wkrótce poszli spać, ale już leżąc, zaczęli się naradzać i jeszcze raz rozważać sprawę przyjazdu do Jasienia. Doszli do wniosku, że moje zainteresowanie wzbudziła zawarta w Księdze strachów przygoda Wiewiórki. Wymknęli się więc z namiotu . i poszli nocą do ruin, przypuszczając, że mnie tam zastaną.

W obserwatorium zauważyli jakiegoś człowieka z latarką. Zaczaili się w krzakach obok ścieżki. Byli świadkami mojego przyjscia do ruin.

- To tak? - przerwałem im z oburzeniem. - To przez cały ten czas, gdy ja znajdowałem się w ruinach, wy siedzieliście tuż obok w krzakach?

- Owszem - uśmiechnął się Tell. - Nawet bliżej.

Potem, gdy pan wymknął się z ruin i wlaźł w krzaki, zaledwie jeden krok dzielił nas od siebie.

; - I nie daliście mi żadnego znaku? To tacy z was przyjaciele?

- Baliśmy się, że będzie się pan na nas gniewał - tłumaczył się Wiewiórka.

- A pewnie, żebym się gniewał - kiwnąłem głową. - Do moich uszu doszły jakieś głośnie szelesty.

Myślałem jednak, że to jeże żerują w krzakach.

- Potem zaś - opowieść przejął Sokole Oko- pan poszedł za tajemniczym osobnikiem, a my za panem.

Z tą różnicą - dodał ironicznie - że on pana zauważył, a pan nas nie dostrzegł. Obezwładnił

pana, ale chyba nie zdążył przejrzeć dokumentów, bo zaraz nadeszliśmy i on uciekł. Co najwyżej obejrzał i zapamiętał pana -twarz. Nie ścigaliśmy go, bo pan leżał jak martwy, i bardzo się tym przestraszyliśmy.

Doktor postawił zasadnicze pytanie:

- O co właściwie chodzi w tej sprawie? Czego ten człowiek szuka w obserwatorium?

Bezradnie rozłożyłem ręce.

- Wiemy, że nic nie wiemy. I od tego chyba trzeba zacząć.

Świtało. Należało kończyć naradę. Byłem śpiący i czułem się zmęczony. Chłopcy i doktor także powinni się .byli wyspać po tej nocy pełnej przygód.

Podniosłem się z brezentowego krzeselka.

- Czy... - zająknąłem się, bo zrobiło mi się wstyd. - Czy nie macie jakiejś książki o dżudo?

- O dżudo? - zdumiał się Tell. - Och, rozumiem, pan nie chce, żeby powtórzyła się dzisiejsza przygoda.

Nagle nieśmiało odezwał się Wiewiórka:

- Ja mam podręcznik dżudo. Mogę go panu pożyczyć. No tak - zaczął się tłumaczyć chłopcom. - Jestem najslabszy, najmniejszy, każdy mnie potrafi pokonać. Więc postanowiłem nauczyć się dżudo. W tajemnicy przed wszystkimi. Ale skoro pan Samochodzik potrzebuje podręcznika...

To mówiąc Wiewiórka pobiegł do namiotu i przyniósł książkę.

- Dziękuję ci - uściskałem go serdecznie. I pomyślałem o straszliwej ciotce Zenobii.

Zapewne spokojnie spała w swoim domku, nie domyślając się, że oto jej przeciwnik dostał do rąk nowy oręż.

Pożegnałem chłopców i doktora, narzuciłem na siebie pelerynę i pomaszerowałem w stronę jeziora. Bez trudu odnalazłem „salamandrę” i wiosła.

Zbliżała się godzina piąta rano, w naszym ośrodku campingowym wszyscy chyba jeszcze smacznie spali.

Po cichutku położyłem kajak obok domku Kasi, oparłem wiosła o ścianę. .

I akurat wtedy podniósł alarm Sebastian.

Och, jak on jazgotliwie szczeakał obudzony szmerem, który wywołałem, stawiając wiosła.

„Patrzcie go, jaki czujny” - złościłem się, uciekając do swego •domku.

A pies szczeakał i szczeakał, chyba cały ośrodek rozbudził. Przez szparę w .nie domkniętych drzwiach



widziałem, że zaniepokojona psim jazgotem ciotka Zenobia wyszła w pidżamie na próg domku. Rozlewając rozejrzała się -na wszystkie strony, szukając przy; czyny gniewu Sebastiana. Pies także wyskoczył na dwór.

Co za łajdak!

Oczywiście podbiegł do „salamandry” i ją obwąchał.

Na gumowej powłoce kajaka wyraźnie widać było ślad po wodzie, ciotka Zenobia zaraz mogła domyślić się, że jeszcze przed chwilą ktoś pływał nim po jeziorze.

Natychmiast też podeszła do wiosł, aby stwierdzić, że ich pióra są również mokre.

Tym razem nieco baczniej rozejrzała się na wszystkie strony. Sebastian przestał szczekać, bo stwierdził węchem, że to ja narobiłem owego szmeru. Ale jakby mu tego było mało, podbiegł do mego domku i, zapewne czując minie przez szparę w niedomkniętych drzwiach, tuż przed progiem zatrzymał się i zamachał ogonem.

Zenobii nie trzeba było więcej wskazówek, aby mieć pewność, że to ja właśnie pływałem po jeziorze. Wzruszyła ramionami i, jakby domyślając się, że ją obserwuję, obciągnęła na sobie pidżamę, a potem z ubolewaniem pokiwała głową, dając mi do zrozumienia, że uważa mnie” za wariata, który robi jakieś podejrzanę wyprawę.

Przespałem śniadanie, nieomal przespałbym obiad;

Zbudziłem się, gdy stołówka już opustoszała. Jako ostatni gość otrzymałem zimny obiad i zjadłem go samotnie, poganiany przez kelnerki sprzątające ze stołu.

Dzień był znowu słoneczny, choć nie tak upalny jak wczoraj. Wczasowicze okupowali skrawek piaszczystej plaży nad jeziorem, w pobliżu domku Zenobii stał jej straszny motocykl, ale jej samej i Kaśki nie dostrzegłem. Nie było także „salamandry”, więc 33

pomyślałem, że obydwie wyruszyły na przejażdżkę po jeziorze. Tylko pan Kuryłło siedział na leżaku przed swoim domkiem i rozwiązywał krzyżówkę.

- Jak się nazywa w szachach takie wyjście, gdy traci się pionek, ale jednocześnie zyskuje ofensywną sytuację? - zapytał mnie podnosząc oczy znad krzyżówki.

- Gambit- odrzekłem.

- G...a...m...b...i...t... Zgadza się, sześć liter, ostatnia „t” - z zadowoleniem kiwnął głową. -

Pan jest szachistą?

- Nie. Ale znam ogólne zasady gry i nazwy kilku charakterystycznych ruchów.

- Ja też nie gram w szachy. A szkoda, bo to piękna gra, stara, królewska. Świetna gimnastyka dla umysłu.

- Owszem - ziewnąłem dyskretnie i chciałem skierować się do swego wehikułu, aby pojechać do ruin obserwatorium i obejrzeć je przy dziennym świetle. Zatrzymały mnie jednak nieoczekiwane słowa pana Kuryłły:

- Nie wyspał się pan, co? Przespał pan śniadanie, spóźnił się pan na obiad.

Komentowaliśmy z panną Zenobią tę pana nieobecność i dowiedziałem się, że przez całą noc pływał pan kajakiem po jeziorze. He, he, he! - Kuryłło roześmiał się pod nosem.

- Lubię, pływać kajakiem po jeziorze.

- Szczególnie w mroczną, deszczową noc, he, he, he...

Miałem mu już odpowiedzieć niegrzecznie: „Co to pana obchodzi”, ale on nagle zmienił ton i rzekł z powagą:

- Jeśli i pana wciągnęła zagadka tajemniczej szachownicy, moglibyśmy zawrzeć spółkę. A może pańska nocna nieobecność związana była z jakimiś sprawami sercowymi, romantycznymi i romansowymi? - skrzywił się z niesmakiem.

- Jak pan wyobraża sobie taką spółkę? - odpowiedziałem pytaniem, aby uniknąć wyraźnej odpowiedzi.

- Pan ma samochód, prawda? - ożywił się Kuryłło. - A ja nie mam. Posiadam natomiast detektywistyczne zdolności. Jestem postrachem wrocławskiej gastronomii.

- Mówił mi pan już o tym...

- Mówiłem? Nie szkodzi, jeśli jeszcze raz to pan usłyszysz. Utrwali się to w pańskiej pamięci.

Powiadam więc: pan ma samochód, a ja go nie mam, i dlatego potrzebny mi pan jest do spółki. Dobra Haubitzów leżą w różnych miejscach, i to dość odległych, a wszędzie tam zapewne są szachownice. Widnieją one także na murach kilku kościołów w różnych wsiach. Nie jest wcale powiedziane, że ten stary dureń, czyli Johann Haubitz, schował tę

„rzecz najcenniejszą” akurat w Jasieniu, i nie gdzie indziej. Miał przecież do dyspozycji samochód i podobno objechał swoje dobra, ściągając z nich, co się dało. Dobrze byłoby obskoczyć wszystkie te miejsca. Pan będzie mnie woził, a ja rozejrzę się za szachownicami. Jeśli odnajdziemy zło, to albo brylanty, podzielimy się po połowie. No co, zgoda?

- Jeśli dobrze, się orientuję, ta, sprawa związana jest z jakimś procesem sądowym, czyimś pamiętnikiem...

- Bzdura, .bzdura - oburzył się pan Kuryłło. - Pan wierzy w podobne brednie? Dla jakiegoś

idiotycznego pamiętnika wszczynaliby aż takie poszukiwania?

Brała w nich udział specjalna polska ekipa oraz kilku Niemców.

- Są rzeczy daleko cenniejsze niż złoto i brylanty.

- E, bzdura - machnął ręką „postrach gastronomii”. - Niech pan wierzy mnie, starszemu człowiekowi. Nie ma nic cenniejszego nad złoto i brylanty. I, jakem Kuryłło, my to złoto i brylanty odnajdziemy. Więc jak pan postanawia? Zawieramy spółkę? Wyruszamy na krajoznawczą wycieczkę?

- W Jasieniu podobno również są szachownice. Na kościele, na ruinach obserwatorium,, w młynie Topielec...

- Więc jednak wciągnęła pana ta sprawa, he, he, he - triumfująco roześmiał się Kuryłło. -

Ale powiadam panu, że nic tu nie ma. Te szachownice są nic niewarte i nie kryją żadnej zagadki. Obejrzałem je dokładnie i przysięgam panu, jakem Kuryłło, że można na nie machnąć ręką. Trzeba jechać do Dolska, do Lubiechowa i jeszcze do kilku innych miejsc.

- No cóż, zastanowię się - powiedziałem.

- A słusznie, bardzo słusznie. Niech się pan zastanowi - z zadowoleniem pokiwał głową. Był pewny, że przystanę na jego propozycję.

A mnie irytowała pewność siebie pana Kuryłły, jego zarozumiałstwo i lekceważący stosunek do mnie. Traktował mnie jak głupca. Miałem go wozić, on zdecydowany był poświęcić się rozwiązywaniu zagadki. W ogóle nie brał w rachubę mojego intelektu.

Wiedziałem więc, że powiem mu; „Nie”. Ale przyjemność zobaczenia jego zdumionej twarzy odkładałem sobie na później.

Wsiadłem do wehikułu i po kilku minutach jazdy przez las znalazłem się obok kościoła w Jasieniu.

Kościół znajdował się w środku wsi, w pobliżu niedużego placu, gdzie mieściła się gromadzka rada narodowa, poczta i pawilon sklepu spożywczego. Był to maleńki, romański kościółek zbudowany z granitowej kostki.

Wejście do kościoła obramowane było gładkim portalem z kamienia i tu właśnie, po lewej stronie, na trzecim kamieniu licząc od ziemi - widniało coś, co przypominało szachownicę.

Jeden z kamieni był w taki sposób obrobiony, że na przemian powtarzały się na nim ciemne i jasne prostokąty.

Nad portalem i głównym wejściem wznosiła się wieża kościelna, obronna, w późniejszych wiekach przykryta barokowym hełmem, który raził w zestawieniu z surowością i prostotą romańskiego kształtu kościoła.

Wnętrze przedstawiało się ubogo, zobaczyłem gładkie bielone ściany, kilka obrazów w złożonych ramach, chorągwie stojące przy drewnianych ławkach. Prościutki, niedawno ustawiony ołtarz dopełniał wyposażenia.

Obejrzałem kościół pobieżnie, ale wnioskując z układu jego murów nie wydawało mi się, aby zawierał jakieś podziemia lub tajne przejścia.

A więc Kuryłło miał chyba słusność. Podobnie jak szachownica na głazie w młynie Topielec, ta także nie kryła żadnej tajemnicy.

Znowu wsiałem do wehikułu i skierowałem się na drogę obiegającą jezioro od strony pałacu Haubitzów.

Jakiś czas jechałem skrajem pałacowego parku, aż zobaczyłem wzgórze porośnięte gęstwą drzew i krzaków.

Tam znajdowały się ruiny obserwatorium. Zostawiłem samochód na drodze i powędrowałem piechotą.

W parku wesoło świergotały ptaki, wśród drzew panował przyjemny chłodek. Radość ptactwa i mnie się udzieliła, ogarnął mnie pogodny nastrój. Nieomal zapomniałem, że jeszcze przed kilkunastu godzinami, właśnie gdzieś w tym miejscu, obok parkowego muru, znaleziono mnie zemdlonego, unieszkodliwionego przez tajemniczego napastnika. I można było mieć prawie pewność, że nasze drogi znowu się skrzyżują w chwili najmniej spodziewanej. Albowiem, jak się wydawało, szła tu gra o bardzo wysoką stawkę.

A jednak nie myślałem o tym. Szedłem przez park i beztrosko pogwizdywałem.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

W RUINACH OBSERWATORIUM \* PŁYTKI NA KOMINKU • KTO BYŁ BARBARZYŃCĄ? •

ROZMYŚLANIA O PANU KURYLLE • WALKA Z PANEM NIKT • TAJFUN NAD JASIENIEM

• NIEBEZPIECZEŃSTWO

Dochodziła trzecia po południu. Wspiąłem się krętą ścieżką na wzgórze i stanąłem przed sklepioną łukowatą kamienną bramą do obserwatorium. Zobaczyłem na łuku bramy herb 35

Haubitzów, a w herbie dużą szachownicę. Herb wykuty został w kamieniu. Żaden szczegół

nie wskazywał, aby ów kamień można było przekręcić czy przesunąć i w ten sposób ujawnić jakiś schowek.

Wzruszyłem więc tylko ramionami i przekroczyłem bramę, wchodząc na duży podwórzec.

Rozglądałem się dość pilnie po kamiennych ścianach, lecz nigdzie nie odkryłem szachownicy. Z podwórcem sąsiadowała kolista sala, która miała półokrągły sufit z wielką dziurą pośrodku. Pod nią znajdował się kamienny stół.

Jak domyśliłem się, stanowił on chyba kiedyś podstawę lunety skierowanej w niebo przez otwór w suficie.

Obejrzałem dokładnie ściany obserwatorium i ów kamienny stół, lecz szachownicy nie znalazłem. Natomiast udało mi się chyba trafić na miejsce, gdzie stary Haubitz ukrył swoje skarby, wydobyte potem przez jego lokaja i odebrane mu następnie przez żołnierzy.

Z sali obserwatorium wchodziło się po kilku stopniach do dość płytkiej piwnicy bez okien.

Być może przed laty drzwi tej piwnicy były w jakiś sposób zamaskowane i stary Haubitz uznał ją za bardzo wygodny i konspiracyjny schowek. Teraz już piwnica nie posiadała nawet drzwi, wewnątrz walał się gruz i zeschnięte liście nawiane tutaj przez wiatr.

Szachownicy nie było.

Z okrągłej sali obserwatorium przechodziło się do ostatniego pomieszczenia, do pracowni Haubitza-astronoma. Duże okna wpuszczały wiele światła, Haubitz miał tu zapewne swe biurko i bibliotekę. Na jednej ze ścian zobaczyłem resztki ozdobnego kominka wyłożonego glazurowymi płytkami. Resztki potłuczonych płytek leżały na podłodze, potknąłem się o nie i nieomal wyrzuciłem głowę w ostry kant kominka.

Nie zakląłem jednak, potknięcie okazało się zbawienne. Dzięki niemu zwróciłem uwagę na kawałki płytek i aż mi dech zaparło.

Kominek był kiedyś obłożony glazurowymi czarno-białymi płytkami dającymi wzór szachownicy. Tylko że płytki odpadły od ściany i walały się przed kominkiem.

Opadły? Obejrzałem je uważnie. Pęknięcia były świeże, jak gdyby dopiero wczoraj zrobione. Wyglądało to tak, jak gdyby przyszedł tu ktoś z młotkiem czy innym narzędziem i systematycznie poobtłukiwał płytki z kominka. Oczywiście, przy takim systemie pracy wszystkie płytki popękały.

„Barbarzyńca” - pomyślałem z oburzeniem. Powód tego barbarzyństwa był dla mnie wyraźny: dokonał go ktoś, kto spodziewał się, że szachownica z płytek zakrywa schowek w ścianach kominka. A więc zrobił to tropiciel zagadki tajemniczej szachownicy.

I rozczarował się. Bo płytki były po prostu przylepione do ścian kominka.

Od tygodnia zagadkę tajemniczej szachownicy próbowała rozwiązać grupa Niemców i specjalna polska ekipa. Z całą pewnością trafili oni do ruin obserwatorium i do kominka, ale ich wykluczałem jako sprawców. Mieli dość czasu i wystarczającą ilość sposobów, aby delikatnie podważać poszczególne płytki, nie musieli ich rozbijać. Tego dokonał ktoś, kto nie miał czasu na ceremonie z odlepianiem płytek. „I być może - pomyślałem - robił to w trudnych warunkach, bez odpowiednich narzędzi, w nocy.

I czy właśnie na tej czynności zastał go Wiewiórka, gdy nocą przyszedł do ruin obserwatorium?

Gdy spoglądałem na potłuczone płytki przed kominkiem, zrozumiała stała się dla mnie przygoda chłopca.

W Jasieniu, tuż obok ruin obserwatorium, mieszkała polska ekipa i grupa Niemców oficjalnie zajmująca się wyjaśnieniem zagadki szachownicy. Tajemniczy osobnik narażał

się na poważne kłopoty, na własną rękę podejmując poszukiwania. Robił to nocą i bał się odkrycia, nawet przez chłopca z harcerskiego obozu.

Dlatego strzelił do niego z pistoletu gazowego, a potem dał drapaką.

Płytki na kominku nie kryły jednak schowka, więc tajemniczy osobnik co noc ponawia swoje wizyty w obserwatorium, szukając jakiejś innej szachownicy.

Zastąpiłem go przy tej czynności, zacząłem śledzić, więc obezwładniłem go chloroformem.

Kim był ten ktoś?

Miałem odpowiedź prostą i natychmiastową: Kuryłło. Z jakąż ogromną pewnością stwierdził, że ruiny obserwatorium, szachownica na kościele i -na głazie w Topielcu nie kryją tajemnicy. Ta pewność siebie mogła wynikać z faktu, że był tu wielokrotnie, namacalnie i naocznie przekonał się o tym. Ponadto powiedział mi, że nie ma nic cenniejszego nad złoto i brylanty, przyznał się również do swego wielkiego zainteresowania zagadką i nawet zaproponował mi spółkę.

Ale kilka innych faktów nie pasowało do obrazu pana Kuryłły, rozbijającego nocą płytki na kominku.

„Postrach wrocławskiej gastronomii” nie wyglądał mi na człowieka, który posługuje się takimi akcesoriami, jak pistolet gazowy i chloroform, lecz raczej na poszukiwacza-amatora.

Poza tym zbyt otwarcie przyznawał się do swego zainteresowania skarbami. Człowiek, który używał pistoletu gazowego i chloroformu, na pewno zachowałby się zupełnie inaczej.

A poza tym tajemniczy osobnik wyraźnie doszedł do pałacu i dopiero gdy spostrzegł, że go śledzą, skierował się znowu w głąb parku. Innymi słowy, był to ktoś z gości pałacowych.

„Pan Kuryłło zamiast chloroformu użyłby cegły” - pomyślałem z humorem. I również odrzuciłem natychmiast to przypuszczenie.

Byłem przekonany, że Kuryłło nie użyłby ani chloroformu, ani cegły. Jego zarozumiałstwo i pewność siebie wskazywały, że jest strasznym tchórzem i małym spryciarzem.

Ze znanych mi osób wchodziła w grę tylko jedna: Klaus, przeciwnik Hildy, człowiek, który się cieszył, że zagadka szachownicy nie została wyjaśniona.

O tak, on mógł posiadać i pistolet gazowy, i chloroform. I mógł nocą, nie chcąc, aby zauważyli go Hilda i ludzie z polskiej ekipy, grasować w ramach obserwatorium, na własną rękę próbując rozszyfrować zagadkę.

Z tym przekonaniem opuściłem ruiny i wróciłem do pozostawionego na drodze samochodu.

Była już prawie piąta po południu, dwie godziny straciłem w obserwatorium, a nosiłem w sobie pewien tajny zamysł, który wymagał sporo czasu i ukrycia się w miejscu niewidocznym dla ludzkiego oka.

Minąłem więc miejsce, gdzie nad rzeczką znajdowało się obozowisko moich przyjaciół, i



pojechałem w stronę młyna Topielec. Nie dojeżdżając do samego młyna odkryłem boczną drogę prowadzącą nad jezioro, i znalazłem się na nadbrzeżnej polance, ze wszystkich stron osłoniętej krzakami wikliny.

Wysiadłem z wehikułu i wyciągnąłem z kieszeni pożyczoną od Wiewiórki książkę.

Zagłębiłem się w lekturze i zapomniałem o bożym świecie. Jeśli od czasu do czasu wracała mi świadomość i poczucie rzeczywistości, to tylko w tych chwilach, gdy przypominałem sobie piękną Zenobię i utwierdziłem się w postanowieniu: „Poczekaj, kochana ciotuniu.

Wkrótce -się zmiierzmy. Pan Samochodzik nie należy do ludzi, którzy dają się upokarzać”.

Podręcznik był świetny, zaopatrzony w fotografie walczących. Każdy ruch zaatakowanego

-i atakującego został w nim dokładnie opisany.

Uczyłem się kiedyś dżudo. Na początku więc przypominałem sobie podstawowe wskazówki dla zaatakowanego. Autor książki przestrzegał swych uczniów, że w walce wręcz znaczną rolę odgrywają czynniki psychologiczne, a więc dobra orientacja, pozwalająca w mgnieniu oka ocenić sytuację, szybka decyzja, wiara we własne siły i opanowanie. Przystępując do walki należało pamiętać, aby przyjąć odpowiednią postawę wyjściową, tułów trzymać prosto i stanąć w małym rozkroku. Ręce powinny znajdować się w postawie bokserkiej, nie wolno było odwracać się plecami do przeciwnika. Przy minimum zużytej siły należało uzyskać 37

maksimum efektu, a to dzięki zastosowaniu zasady dźwigni. Obowiązywała przestroga Akyamy:

„Zgiąć się, aby zwyciężyć”, czyli wyzyskać siły przeciwnika na własną korzyść, pozbawić go równowagi dzięki przeniesieniu "środka jego ciężkości poza płaszczyznę podparcia.

Zapoznawszy się z ogólnymi zasadami, przystąpiłem do konkretnych ćwiczeń. Zacząłem od trudnej sztuki upadku. Takiego upadku, który nie czynił krzywdy padającemu, a przeciwnie, pozwala omylić atakującego i przystąpić do kontrataku.

A więc umiejętność właściwego upadku w przód, sztuka upadku w tył. Umiejętność uwolnienia dłoni z uścisku za pomocą skrętu, uwolnienie dłoni z uścisku poprzez nacisk na nerw łokciowy przeciwnika. Sztuka uwalniania nadgarstka, sztuka uwalniania obydwu nadgarstków z uścisku oburącz. Sztuka uwalniania przedramienia, umiejętność uwalniania szyi z uścisku dwuchwytem z przodu, z boku, z tyłu...

Potem przyszły trudniejsze ćwiczenia: obrona przed tak zwanym krawatem, czyli i obchwytem karku, sztuka uwalniania się z uchwytu za kołnierz, obrona przed duszeniem.

Nie myślcie, że moja nauka polegała tylko na lekturze, przyglądaniu się obrazkom i przewracaniu kartek książki! Po zapoznaniu się z opisem i fotografią poszczególnego chwytu odkładałem na bok książkę i zabierałem się do ćwiczeń. Na maleńkiej polance wśród wikliny staczałem jakieś okropne bitwy z wymagowanym przeciwnikiem, przewracałem się w trawie, koziołkowałem, obalałem na ziemię swoich wrogów.

Wyobrażałem sobie, że oto tajemniczy osobnik z ruin obserwatorium próbuje mnie z tyłu unieszkodliwić przy pomocy tak zwanego pasa. Jak się uwolnić od ataku?

Albo wyobrażałem sobie, że tajemniczy osobnik z ruin próbuje mnie chwycić od tyłu dwoma rękami za gardło, podobnie jak minionej rasy, gdy przyłożył mi do ust tampon z chloroformem. Teraz wiedziałbym

już, jak się uwolnić od ataku. Należało pochylić tułów w przód i zwrócić głowę w lewo pod ramionami napastnika. Kontynuując obrót mógłbym uwolnić się od jego chwytu. Mała polanka nad jeziorem stała się więc widownią, moich niezwykłych zmagania z wrogami. Były ich chyba setki, bo po dwóch godzinach ćwiczeń cały opływałem potem i odczuwałem ogromne zmęczenie. W pewnej chwili, uwolniwszy się od zdradliwego „krawata”, tak osłabłem, że upadłem na trawę i przez jakiś czas nie miałem siły podnieść się na nogi. I właśnie wtedy z krzaków wikliny rozległ się głośny chichot. A potem ujrzałem ogromny nochał Sokolego Oka i chłopak wyszedł z ukrycia.

- No, panie Tomaszu - powiedział, nie przestając się śmiać – i zdaje mi się, że tym razem pan jednak został pokonany. Rozłożył pana na obie łopatki.

- Kto? i- burknąłem.

- Jak to: kto? - udał zdumienie Sokole Oko. - No ten, co pana przewrócił.

- Przecież widzisz, że tu nie ma nikogo.

- Nie ma? - znowu zdumiał się chłopak. - Chce mi pan wmówić, że walczył pan z panem Nikt? I tak się pan zziąjał?

- Od dawna siedzisz w tych krzakach?

- Najpierw usłyszałem okropne sapanie i przybiegłem z pomocą. Wkrótce jednak zorientowałem się, że pan sobie sam poradzi ze swoimi wrogami, i pozostałem w krzakach.

Pięknie pan walczył. Szkoda tylko, że na sam koniec dał się pan pokonać.

Postępując, z trudem podniosłem się z trawy.

- Może byś tak przestał kpić sobie ze mnie? - zaproponowałem. - Czy nie widzisz, że ledwo żyję.

- Niech pan nie traci ducha, panie Tomaszu. Następnym razem pan będzie zwycięzcą.

Machnąłem lekceważąco ręką i spojrzałem na zegarek.

- Boże drogi - westchnąłem. - To ja już dwie godziny trenuję? I ty przez cały ten czas obserwowałeś moje ćwiczenia?

- A tak - bezczelnie przyznał Sokole Oko. - Takiego kina jak żyję nie widziałem.- Ruiny obserwatorium zapewne pozostawiliście na pastwę losu - powiedziałem z wyrzutem.

- Spokojna głowa, panie Tomaszu. Wiewiórka siedzi na drzewie i obserwuje każdego, kto się zjawia w ruinach. Ma przy sobie notes i zapisuje godzinę przyścia i wyjścia z obserwatorium. Ale jak na razie niewiele osób interesuje się ruinami. W godzinach rannych dłuższą wizytę złożyła tam Niemka, Hilda. Potem był tam pewien Szwajcar...

- Skąd wiecie, że to Szwajcar?

- Za kogo pan mas uważa? - oburzył się Sokole Oko. - Albośmy to jacy tacy? Potem ruiny odwiedził niejaki pan Samochodzik i przebywał tam prawie dwie godziny. Ten osobnik pojechał następnie nad jezioro, gdzie z dala od ludzkich oczu pokonał dwa tysiące wrogów i przez dwutysięcznego pierwszego został pokonany.

- Czy możesz mi powiedzieć, dlaczego poszedłeś za mną?

- Postanowiliśmy obserwować każdego, kto przychodzi do ruin. Skoro i pan przyszedł, oczywiście musieliśmy pana obserwować. Zresztą śledzić pana rozkazał mi Wilhelm Tell.

Powiedział: „Idź no, bracie, za panem Samochodzikiem. On ma dużo wrogów, a jeszcze nie zdołał opanować dzudo. W razie czego zawołaj nas na pomoc”. Więc ja tylko postępuję zgodnie z rozkazem władzy zwierzchniej. Wyznaję, że gdy ten pański nie istniejący przeciwnik w końcu rozłożył pana na obydwie łopatki, już miałem zawołać chłopaków na pomoc. Ale pomyślałem, że pan będzie niezadowolony z tego. I dobrze zrobiłem, że nie zawołałem o pomoc, prawda?

Zrobiłem dwa kroki w kierunku Sokolego Oka.

- Znam pewien świetny chwyt na kpiarzy.

- Co to, to nie! - wrzasnął chłopak i dał drapaka na bezpieczną odległość. Podniósł ręce do góry i wskazał niebo: Niech pan spojrzy, panie Tomaszu. Zaraz będzie burza i deszcz.

Uciekajmy do naszego obozu.

Rozejrzałem się po niebie. Miał rację, lada chwila mogła zacząć się burza. Zajęty ćwiczeniami nie zauważyłem, że na horyzoncie niebo stawało się brunatne, ogromna chmura sunęła nisko, niosąc na swych krawędziach odbłask zachodzącego słońca, przez co wydawało się, jakby objęta była pożarem.

W przyrodzie nastąpiła ogromna cisza. Wydawać się mogło, że wszystko, co żyło - zamarło i znieruchomiało ze strachu. Wrony na starych topolach w Topielcu nagle przestały krakać, nie drgnął żaden listek na krzakach wikliny. Trzciny i trawy stały sztywno, woda jeziora upodobniła się do gładkiego lustra.

Wielkie, czarne dłonie burzy sięgały już po niebo nad naszymi głowami. Jeszcze chwila i te dłonie jak gdyby rozwarły się, wysuwając ku przodowi kilka długich palców. Brunatna głowa ogromniała, zdawało się, że lada chwila ukaże się zza horyzontu jakaś straszliwa twarz, którą poprzedziły wysunięte ręce i skłębione, rude włosy.

- Uciekajmy! Zaraz zerwie się wichur i lunie deszcz! - krzyknął Sokole Oko.

W tym momencie dostrzegłem czerwony kajak płynący w kierunku Topielca. Rozpoznałem w nim Hildę, wiosłowała szybko, ile jej tylko sił starczało. Ale było to dla mnie oczywiste, że nie zdoła przed burzą schronić się na brzegu.

Raptem usłyszeliśmy głośny, narastający szum. Jeszcze sekunda i przy akompaniamencie potężniejszego szumu zobaczyłem, że drzewa po drugiej stronie jeziora zaczynają się zginać pod naporem wichru. Raptem z lasu wyskoczył na taflę jeziora ogromny wir powietrzny. Kotłowały się w nim liście i drobne gałązki. Wir powietrza sunął po jeziorze, wsysając w siebie wodę. Rozbełtawszy ją jak w potężnym wirniku, rozpylał wokół siebie rosę i bryzgi piany.

- Boże drogi! - jęknął Sokole Oko.

Zrozumiałem powód jego przestachu. Trąba powietrza i wody leciała wprost na czerwony kajak. Widzieliśmy, że dziewczyna próbowała uciec z drogi wiru, ale wysiłki jej były próżne.

Zanim zdołałem krzyknąć, trąba wirującej wody zwała się na kajak, a zarazem porwała go w swój okropny taniec. Kajak uniósł się do góry, jakby pchnięty od spodu ogromną siłą.

Powietrzna trąba przewróciła go razem z Hildą i wir pomknął dalej, ale wówczas zważyło się na jezioro potężne uderzenie wiatru. Woda wzburzyła się, wyrosły na niej wielkie fale.

Porwane wiatrem drobne cząsteczki wody zamglily jezioro. Wicher runął na mnie i gdybym nie upadł na ziemię, rzuciłby mnie o pnie drzew w lesie. Sokole Oko czepiał się krzaków wikliny i tak pozostał, trzymając się gałęzi, dopóki nie minęło pierwsze, zawsze najsilniejsze uderzenie wiatru. Nie słyszeliśmy własnych głosów, pęd powietrza wpadał w rozwarte od krzyku usta i dusił.

W oczy biły krople wody, oślepliśmy. Za naszymi plecami z trzaskiem łamały się wierzchołki drzew w lesie.

A potem pochłoneły nas potoki ulewy. Strugi wody lały się na nas jak z potężnego kubła, a wiatr porrywał wodę i chłostał nią jak biczem. Zgięty od naporu wiatru, niemal na czworakach dopadłem wehikułu, Wśliznąłem się do jego wnętrza i puściłem w ruch silnik.

Jeszcze chwila i mój samochód potoczył się w stronę wzburzonej wody.

Fale jeziora z głośnym szumem wpadały na brzeg i rozbryzgiwały się. Nie widziałem dalej niż na kilka metrów, bo ulewa opadła na świat jak gęsta zasłona. Wehikuł zderzył się z ogromną falą, która jego przód v niosła do góry lekko jak piórko, samochodem zakołysało.

Przestraszyłem się, że silna fala odrzuci wehikuł na brzeg, lecz już pracowała turbina, która okazała się silniejsza od naporu fali. Kołyszac się na wodzie wehikuł parł naprzód, a migające na szybie wycieraczki pozwalały rozejrzeć się po wzburzonej toni.

Czerwony kajak przewrócił się na środku jeziora, na wysokości miejsca, gdzie ćwiczyłem dzudo. Płynąłem tam całą mocą silnika ferrari 410, ale gdy znalazłem się na środku jeziora, nie zobaczyłem czerwonego kajaka. Czyżby utonął wraz z Hildą?

Zrobiłem ogromne koło wciąż kołyszany falami.

Wreszcie dojrzałem Hildę, a raczej czerwony, odwrócony do góry dnem kajak. Leżał na wodzie nieco bardziej na prawo ode mnie, bliżej brzegu Topielca. Zapewne zniosła go tam wichura.

Dodałem gazu, silnik ryknął straszliwie, za samochodem woda zagotowała się jak w kotle czarownic.

To turbina, otrzymawszy dodatkowe obroty, rozbijała wodę w drobny pył.

Po kilkunastu sekundach byłem już w najbliższym sąsiedztwie czerwonego kajaka. Hildą jedną ręką trzymała się przewróconego kajaka, a drugą wyciągała w moją stronę.

Dokonałem skrętu kierownicą i popłynąłem do niej prawym bokiem wehikułu. Na chwilę puściłem ster

i zostawiłem silnik na wolnych obrotach. Otworzyłem drzwi i przykucnąwszy w nich, chwyciłem wyciągniętą rękę dziewczyny. Po chwili - mokra, zmęczona, z trudem łapiąc oddech - wpół leżała we wnętrzu wehikułu. A ja skierowałem się tam, gdzie brzeg był

najbliżej, to jest do ruin młyna Topielec. W krzakach na brzegu pozostał Sokole Oko, lecz nie martwiłem się o niego, nie groziło mu już teraz żadne niebezpieczeństwo, co najwyżej moknął. Ja zresztą także miałem przemoknięte ubranie.. Przewidywałem, że chłopiec albo już pomknął do niedalekiego obozu, albo zauważywszy, że popłynąłem do Topielca, przybiegnie tam brzegiem jeziora.

- To był prawdziwy tajfun - odezwała się po niemiecku Hilda. - Uważam się za dobrą pływaczkę, lecz wolałam się trzymać przewróconego kajaka. Ten straszliwy pęd powietrza po prostu dusił, a fale mnie zalewały. Dziękuję za pomoc. Zjawił się pan w samą porę.

Usiłowała się uśmiechnąć, ale była chyba jeszcze zbyt przerażona i przemęczona. Ten uśmiech wypadł bardzo blado, wyglądał raczej na płaczliwe skrzywienie ust.

Zatrzymamy się w ruinach młyna. Muszę poczekać na swego przyjaciela, który został na brzegu - powiedziałem również po niemiecku. - A potem odwiozę panią do pałacu.

Włączyłem ogrzewanie w samochodzie i wyjechałem na piaszczysty brzeg w Topielcu, a potem, gnioiąc wehikułem ogromne pokrzywy, parłem do mostu na drodze obiegającej jezioro.

Znajdowaliśmy się obok ruin domu młynarza, gdy nagle zobaczyliśmy samochód. Szary taunus Klausa właśnie zawracał na drodze za mostem. Nie wiem, czy Klaus nas zauważył, czy dostrzegł w moim wehikule Hildę. Zawróciwszy, pomknął leśną drogą :w kierunku pałacu i zaraz zniknął nam z oczu.

Zatrzymałem wehikuł, pozostawiając silnik na wolnych obrotach, aby .mogło wciąż działać ogrzewanie.

- Domyślam się już - rzekłem - dlaczego płynęła pani do Topielca. Znowu zauważyła pani, że Klaus skierował tutaj swój samochód.

: - Tak - skinęła głową, a jednocześnie zerknęła na mnie ciekawie. - Kim pan jest? -

zapytała. - I czemu tak bardzo interesuje się pan tą sprawą?

- Jestem z wykształcenia historykiem sztuki, a pracuję w muzeum - odparłem szczerze.

.. - Tak? Inwentaryzuje pan zabytki, oprowadza pan wycieczki szkolne i ostrzega: „Proszę nie dotykać eksponatów” - kpiła Hilda. Nie wierzyła moim słowom.

- A jednak .to prawda. Zajmuję się zabytkami, inwentaryzuję je,, niekiedy oprowadzam wycieczki - odparłem z powagą.

- Pański samochód, który pływa po wodzie jak najlepsza motorówka, też należy do muzealnego wyposażenia? - spytała z ironią.

- Nie. To moja prywatna własność. Historia tego wehikułu jest interesująca, lecz zapewniam panią, że nie ma w niej nic podejrzanego. Wracając zaś do mojej osoby, muszę wyjaśnić, że przez jakiś czas zajmowałem się rewindykacją i poszukiwaniem zaginionych podczas wojny zbiorów muzealnych i cennych zabytków. Ten okres pracy obudził we mnie ochotę do przygód i detektywistyczną żyłkę. Zresztą, proszę, oto moja muzealna legitymacja -

sięgnąłem do kieszeni. Bardzo chciałem, aby mi zaufała.

- Nie, dziękuję, nie jestem powołana do tego, aby oglądać czyjeś dokumenty. Zaczynam panu wierzyć - uśmiechnęła się. - A poza tym nawet jeśli obdarzę pana zaufaniem na kredyt, nic na tym nie stracę.

W mojej sprawie nie ma nic do stracenia i nie jest ona żadną tajemnicą - Przyjechałem do Jasienia dopiero wczoraj - wyjaśniłem - i oczywiście natychmiast zainteresowałem się waszymi poszukiwaniami. Tutaj wszyscy wczasowicze pasjonują się tą historią. Zrozumiałe chyba, że zagadka szachownicy obudziła i moją ciekawość. Może będę mógł pomóc v/ tej sprawie?

- Przecież tu nie chodzi o żaden zabytek, lecz o rzecz jak najbardziej współczesną: pamiętnik.

- Przebywam tutaj na urlopie. A w ramach urlopu mogę chyba odstąpić od swych zawodowych zainteresowań. Proszę, niech mi pani opowie tę historię.

- Teraz? Tutaj? - zdumiała się. - W tych przemoczonych ubraniach?

- I tak musimy poczekać na mojego przyjaciela - rzekłem. - A pani może się przebrać. Na tylnym siedzeniu mam sweter i kombinezon do reperacji wozu. Zresztą ogrzewanie w wozie działa świetnie.

Nie czekając na jej odpowiedź i zgodę, wyskoczyłem z wehikułu, aby mogła się swobodnie przebrać.

Burza ustała równie szybko, jak nadeszła. Czarna krawędź chmury zniknęła za porośniętymi lasem wzgórzami, wiatr ustał, a nad nami otwierało się przejrzyste niebo.

Przespacerowałem się wśród ruin młyna i jego zabudowań. Otaczająca nas przyroda wyglądała prześlicznie. Omyta deszczem zieleń odzyskała swoją intensywną barwę. Na trawie i krzakach błyszczały ogromne krople.



Odezwały się wrony. Może wiatr i burza zrujnowały im gniazda, bo podniosły nagle straszliwy harmider, skrzeczały przeraźliwie i przejmująco, jak gdyby opłakując jakąś ogromną stratę.

Sokole Oko nie zjawiał się. Zapewne pobiegł do obozu, gdzie przebrał się w suche ubranie.

Dalsze czekanie na niego nie miało sensu, ale chciałem, aby Hilda opowiedziała mi historię pamiętnika. Rzecz jasna, można to było zrobić znacznie później, w bardziej sprzyjających warunkach, na przykład w zaciszu pałacowej kawiarni. Na wszelki wypadek wolałem jednak, aby nie widziano nas razem. Miałem dla Hildy pewną propozycję, a ta nakazywała daleko posuniętą ostrożność.

Gdy wróciłem do samochodu, Hilda grzała się w moim nieco przybrudzonym smarami kombinezonie.

- Sweter zostawiłam dla pana - powiedziała.

Podziękowałem jej, zdjąłem pośpiesznie koszulę i naciągnąłem sweter. W wehikule panował upał do tego stopnia, że dźwignię ogrzewania przesunąłem do połowy.

- Opowiem panu historię pamiętnika - zaczęła Hilda - ale na pomoc jest już za późno. Jutro rano wracamy do Niemiec. Poszukiwania zostały zakończone i niestety przyniosły wynik negatywny. To ja ponoszę winę za rozpoczęcie tej sprawy. To za moją przyczyną redakcja znanej we Frankfurcie gazety przegra proces sądowy i będzie musiała zapłacić duże odszkodowanie, a kto wie, czy sekretarz odpowiedzialny redakcji, pan Weber, nie poniesie nawet odpowiedzialności karnej. Gryzie mnie to bardzo, ale zacznijmy od początku.

- Tak, bardzo o to proszę - powiedziałem, zapalając papierosa.

- Wszystko zaczęło się od artykułu o Konradzie von Haubitz, który pan Klaus opublikował w takiej naszej gazecie dla byłych żołnierzy. Napisał w nim, że Haubitz to „wschodząca gwiazda” partii przesiedleńców i powinien w przyszłości zostać ministrem w rządzie NRF.

Powoływał się na zasługi Haubitz, na jego piękny życiorys, w którym odmalował go jako człowieka nieskazitelnego, niesplamionego podczas wojny żadnymi brudnymi czynami, człowieka o czystych rękach. „Właśnie takim ludziom Niemcy powinni powierzyć swoje interesy” - pisał Klaus. I ten artykuł wywołał moje ogromne oburzenie. Albowiem znam dobrze Haubitzów i wiem, że wszystko, co napisał Klaus, było wierutnym kłamstwem.

Urodziłam się w Jasieniu, moja matka była służącą w pałacu Haubitzów, a ojciec pracował

jako kamerdyner, choć nie tak zaufany, jak ów Platzek, który potem zwariował. Czy zna pan historię Platzka?

- Tak, słyszałem ją.

- Mój ojciec nie interesował się polityką, ale uważał, że wojna rozpoczęta przez Hitlera powoduje

ogromne zło. Niepotrzebnie podzielił się z kimś tymi poglądami, został

aresztowany przez gestapo i zmarł w obozie koncentracyjnym. Miałam wtedy osiem lat.

Dopiero w rok później dowiedziałyśmy się wraz z matką, że właśnie Konrad von Haubitz, gdy przybył na urlop z wojaka, zadenuncjował mego ojca i stał się sprawcą jego śmierci.

Rozumie pan chyba, że nie mam powodów, aby Haubitza uważać za przyszłego zbawcę narodu niemieckiego. Ale artykuł Klausea oburzył mnie nie tylko z tego powodu. Już po wojnie, gdy przesiedlano nas do Niemiec, często wspominałyśmy z matką minione lata.

Matka opowiadała mi o Haubitzach i oczywiście w naszych rozmowach wciąż powracało nazwisko Konrada, który stał się sprawcą śmierci mego ojca. Wspomniała mi matka, że Konrad von Haubitz wyruszył na wojnę nie tylko z mocnym postanowieniem zdobycia szlifów pułkownika i licznych odznaczeń, ale także zabrał z sobą gruby, oprawiony w skórę brulion, w którym zamierzał opisywać swoje chwalebne i bohaterskie czyny. Po trzech latach brulion wypełnił się jego zapiskami, fotografiami. Konrad von Haubitz pozostawił

zapisany pamiętnik w domu rodzinnym, a z nowym, czystym, znowu wyruszył w świat.

Odtąd stary Johann von Haubitz niemal co wieczór zbierał całą pałacową służbę i odczytywał jej pamiętnik swego syna, aby poznając bohaterskie czyny Konrada, umacniali 42

się w patriotyzmie. I na tych głośnych czytaniach pamiętnika musiała bywać także moja matka. Jak wyglądały wspaniałe i bohaterskie czyny Konrada von Haubitza? Był on dowódcą grupy, która przez pewien czas zajmowała się likwidacją ludności żydowskiej na Białorusi, potem masakrował schwytanych do niewoli partyzantów, brał udział w wywózce dzieci polskich z Zamojszczyzny. Zapiski obfitowały w fotografie, na których Konrad von Haubitz pozował na tle szubienicy i powieszonych. Jednym słowem, był to pamiętnik zbrodniarza. Potem do Jasienia zaczął się zbliżać front. Stary Haubitz postanowił ukryć wszystkie swoje cenne rzeczy. Wiele słyszałam o Haubitzu, o jego fanatycznym uwielbieniu dla Hitlera, o jego ogromnej dumie z syna. Myślę, że był przede wszystkim dumny z wojennych wyczynów Konrada von Haubitz i pamięć o nich cenił ponad wszystkie dobra.

I jeśli potem powiedział do Platzka, że „rzeczy najcenniejszej strzeże ich rodowy znak szachownicy”, to jestem pewna: miał on na myśli pamiętnik swego syna, który ukrył, aby go ocalić dla przyszłych pokoleń. Ale to już inna sprawa...

Chwilę odpoczęła, a potem mówiła dalej:

-- Po ukazaniu się artykułu o Haubitzu napisałam list do redakcji jednej z frankfurckich gazet, w którym niedwuznacznie powiedziałam, że życiorys Haubitza podany przez Klausea uważam za kłamliwy, że Haubitz jest zbrodniarzem wojennym i powinna się nim zająć prokuratura. Redakcja opublikowała mój list. I zaczęła się burza. Konrad von Haubitz wytoczył redakcji proces o zniesławienie i zażądał wysokiego odszkodowania oraz przeprosin i odwołania. Proces wzbudził wielkie zainteresowanie, zjawilo się na nim mnóstwo dziennikarzy niemieckich i zagranicznych.

Na procesie powiedziałam o pamiętniku. Powołałam się na słowa mojej matki, ona jednak nie żyje od kilku lat. Sąd zażądał dowodów: samego pamiętnika. W tej sytuacji proces był

już z góry przegrany. Ale nasz obrońca poprosił sąd o odroczenie rozprawy i pozostawienie nam czasu na dostarczenie pamiętnika. Uchwyciliśmy się tej możliwości i wraz z panem Weberem przyjechałam do Jasienia. Polskie władze okazały nam daleko idącą pomoc.

Niestety, cała ta impreza zakończyła się fiaskiem i jutro wracamy z niczym. No cóż, ja jestem tylko zwykłą urzędniczką na poczcie we Frankfurcie, nie zamierzam robić żadnej kariery, w której przeszkodzić mógłby mi Haubitz. Ale na poważne kłopoty naraziłam redakcję, ona za mój list odpowie przed sądem. I to mnie gryzie, to mi nie daje spokoju.

Nawarzyłam okropnego piwa, jak to mi już powiedział Klaus.

- A właśnie: Klaus. Co on tutaj robi?

- Przyjechał jako obserwator. Z ramienia swojej gazety. Sprawa poszukiwań nie jest tajemnicą, głośno mówiono o niej na procesie. Wydaje się oczywiste, że Klaus jest bardzo związany z Haubitzem i przyjechał tu nie po to, aby nam pomóc w poszukiwaniach, ale przeszkodzić. Dlatego od samego początku obserwowaliśmy go pilnie i patrzyliśmy mu na ręce. Trzeba jednak przyznać, że zachowywał się bez zarzutu, nie wzbudził żadnych podejrzeń. Dopiero ostatnio zwróciłam uwagę na jego samotne wycieczki do Topielca. Po co on tu przyjeżdża? Czego tu szuka? Jak pan sądzi?

- Nie wiem. Mam jednak jeszcze jedno pytanie: czy badaliście kominek w obserwatorium?

- Tak.

- Jak on wyglądał? Czy płytki były już poobtlukiwane?

- Tak. A dlaczego pan o to pyta?

- I nie zwróciło to waszej uwagi? - unikałem odpowiedzi na jej pytanie.

- Zgadka szachownicy jest w Jasieniu szeroko znana. Przyjeżdża tu mnóstwo turystów.

Przypuszczaliśmy, że płytki poobtlukiwał Platzek albo jakiś inny poszukiwacz skarbów.

- A moim zdaniem dokonano tego bardzo niedawno. Może nawet przed niespełna tygodniem.

- Czy wie pan również, kto to zrobił?

- Nie. Mam tylko pewne podejrzenia. I jeszcze chciałbym coś wiedzieć: jakie są pani dalsze plany?

- Nie mam żadnych planów - westchnęła. - Jutro rano wyjeżdżam do Niemiec wraz z Weberem i Klausem. Polska ekipa już wczoraj wróciła do Warszawy. Dalsze poszukiwanie pamiętnika naprawdę nie ma już sensu. Zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy.

Obejrzeliliśmy wszystkie szachownice w Jasieniu i w dobrach Haubitzów. I ja, i pan Weber dysponujemy jeszcze wolnym czasem, ale o wiele bardziej celowe wydaje się przygotowanie do obrony w procesie niż tracenie dni w Jasieniu.

- Na kiedy wyznaczono proces?

- Za trzy tygodnie.

Zastanowiłem się chwilę, rozważyłem w myślach kilka spraw .

- Wydaje mi się, że warto spróbować jeszcze raz.

Jeśli zechce mi pani zaufać, proszę zostać w Jasieniu przez tydzień. Nie ma pani przecież nic do stracenia, a wszystko do zyskania.

- Pan Weber nie zgodzi się pozostać.

- To nawet będzie lepiej, jeśli on pojedzie. Bo wraz z nim będzie musiał powrócić do Niemiec również i Klaus. Decyzja pani powinna zaskoczyć ich jutro rano. Oni odjadą, a pani zostanie. I wznowimy poszukiwania.

- Czy ma pan choć najmniejszą nadzieję na odnalezienie pamiętnika?

- Owszem - skinąłem głową.

I powiedziałem jej o przygodzie Wiewiórki i moim własnym przeżyciu minionej nocy w ruinach obserwatorium.

- Co to wszystko ima znaczyć? - zdumiała się Hilda. - I dlaczego pan sądzi, że jest w tym nadzieja dla mnie?

- Ależ to oczywiste, proszę pani! - zawołałem. - Przecież to znaczy, że równoległe z waszą ekspedycją działał i chyba działa w Jasieniu jakiś wyrafinowany ;i przygotowany na wszystko tropiciel zagadki. Fakt, że działa w tym samym czasie, co i wy, utwierdza mnie w przekonaniu, że sprowadziła go tu ta sama sprawa. A więc proces sądowy. Utwierdza mnie to w przekonaniu, że pani ima rację przypuszczając, iż stary Haubitz przez „rzecz najcenniejszą” rozumiał pamiętnik swego syna, a nie, na przykład, honor swego rodu. A jeśli tak, to czy pani sądzi, że wasz przyjazd tutaj nie zaniepokoił Konrada von Haubitz?

Daję głowę, że Haubitz przysłał tu kogoś, kto miał za zadanie nie tylko obserwować każdy wasz krok, ale także odszukać pamiętnik i przywieźć mu go, aby nad głową Haubitza nie wisiało już żadne niebezpieczeństwo. Wyobrażam sobie, z jaką ulgą przyjął on wiadomość, że odjeżdżacie z niczym. Teraz nadchodzi dla niego odpowiednia pora działania: znaleźć pamiętnik i przywieźć go Haubitzowi.

- Pan podejrzewa, że tą osobą jest Klaus?

- Tak.

- Ciekawa jestem, jak on się zachowa gdy jutro rano oświadczę, że pozostaję w Jasieniu - powiedziała Hilda.

- A więc zdecydowała się pani pozostać?

- Tak. Muszę tak postąpić, jeśli jest choć cień nadziei. Jakie ma pan dalsze plany? -

zapytała rzeczowo.

Jeszcze raz spróbujemy odwiedzić te wszystkie aniejsca, gdzie jest szachownica. Być może przeoczyliście jakiś istotny szczegół lub pominęliście którąś z szachownic.

- Niech pan na to nie liczy. Polska ekipa zasięgnęła języka u mieszkańców miejscowości związanych z Haubitzami. Nie przeoczyliśmy żadnej szachownicy.

- No cóż, zobaczymy. Jeśli nie rozwiążemy zagadki szachownicy, będzie pani miała czyste sumienie, że naprawdę zrobiła pani wszystko dla odnalezienia pamiętnika. Jest jednak jeszcze jedna osoba, na którą bardzo liczę.

- Któż to taki?

- Haubitz i jego wysłannik. Syn Johanna Haubitza posiada być może pełniejszy niż pani rejest szachownic w tych okolicach. Gdy działała tu polska ekipa, nie mógł on grasować swobodnie. A teraz zacznij szukać już bez żadnych obaw. Liczę na to, że uda nam się wpaść na jego trop, a wówczas to on doprowadzi nas do celu.

- Pan jest fantastą -- roześmiała się Hilda. - Lecz może właśnie tej fantazji brakowało w naszych poszukiwaniach? Zgoda, przyjmuję pańską propozycję i pański plan.

To mówiąc wyciągnęła do mnie dłoń, którą mocno uścisnąłem.

I wtedy zobaczyliśmy ogromnego forda ze szwajcarskimi znakami rejestracyjnymi.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

FABRYKANT ZAPALNICZEK • DZIWNE ZACHOWANIE SIĘ SEBASTIANA • KOGO

ZNALEŻLIŚMY W TOPIELCU • SZPIEGOMANIA •

ZWIĄZEK TAJEMNICZEJ SZACHOWNICY • WYBIERAMY PREZESA • ZWIĄZEK

## ROZPOCZYNA DZIAŁALNOŚĆ

Majestatycznie kołysząc się na nierównościach drogi wielki ford przebył mostek i zatrzymał

się o kilka kroków dalej. Z samochodu wysiadła ciotka Zenobia, a z tylnych miejsc wyskoczyła Kaśka i Sebastian. Po chwili ujrzałem także Szwajcara. Starannie zamknął

drzwiczki i cała trójka, a raczej czwórka, skierowała się na ścieżkę przez pokrzywy.

Zmierzali do miejsca, gdzie znajdował się gład z szachownicą.

Pierwszy, który nas zauważył, był oczywiście Sebastian. Radośnie kręcąc kuprem i wywijając swym kijankowym ogonem, przybiegł do wehikułu, podskakując jak wesoły zajaczek. Tuż za nim zjawiała się Kaśka.

Ciotka Zenobia powiedziała coś do Szwajcara, zatrzymali się, a potem zawrócili z drogi i podeszli do nas.

Hilda i ja, wyszliśmy z samochodu.

- Przyjechaliśmy tu, aby jeszcze raz obejrzeć szachownicę - zdążyła mi szepnąć Kaśka. -

Pan Fryderyk chce zająć się tą sprawą.

Tymczasem nadeszła Zenobia ze Szwajcarem.

- Cóż za miłe spotkanie - rzekła Zenobia z wyraźnym szyderstwem w głosie. - O, państwo, zdaje się, mieli jakieś kłopoty? - zauważyła moje mokre ubranie i kombinezon na Hildzie.

- Złapał? nas burza- wyjaśniłem.

Do tej pory Zenobia mówiła po polsku, teraz przeszła na niemiecki. W tym języku zaczęła nas przedstawiać Szwajcarowi, który - jak to już zresztą zaznaczyłem - prezentował się bardzo sympatycznie.

Był szczupłym blondynem lat około trzydziestu pięciu, wyglądał na wysportowanego, zadowolonego z siebie człowieka, nie mającego wielkich kłopotów i odnoszącego się do świata z wielką życzliwością. Zbliżając się do nas, już z daleka uśmiechał się przyjaźnie.

Natomiast Zenobia od razu ujawniła swój wstrętny charakter. Najlepiej świadczył o tym sposób, w jaki dokonała prezentacji:

- Oto jest panna Hilda, Niemka, którą, jak powiada stugębna miejscowa plotka, sprowadziła do Jasienia chęć rozwiązania zagadki tajemniczej szachownicy i odnalezienia pamiątnika graf a von Haubitz..

- A tak, tak, wiem, czytałem w gazetach o tym procesie z Haubitzem - skinął głową Szwajcar. - Po przyjeździe do Jasienia dowiedziałem się, że niestety aaie udało się pani odnaleźć pamiątnika. To przykre, bo całą duszą i sercem jestem po pani stronie. Czy nie mógłbym okazać się pomocny?

. - O - zdumiała się Hilda - dziś mamy chyba .wyjątkowo miły dzień. Już drugą osobą ofiarowuje mi swój ą pomoc.

- A tą pierwszą osobą jest ten pan - domyśliła się Zenobia wskazując na mnie, po czym zaprezentowała moją osobę. - Oto jest pan Tomasz, który przybył do Jasienia, aby wzmocnić swoje siły. Przepraszam, jaki jest pana zawód? – zapytała.

- Pracuję w muzeum.

- O tak - skinęła głową Zenobia. - Od razu się tego powinnam była domyślić. Czy moglibyśmy wiedzieć również, jaką epokę historyczną pan reprezentuje? Teraz dopiero rozumiem, jak bardzo niewłaściwie postąpiłam przewracając pana trzykrotnie na trawę.

Przecież nie wolno tak robić z muzealnymi eksponatami. Powinien pan siebie, a także swój samochód zaopatrzyć w tabliczkę: „Ostrożnie, szkło!”, jak na przesyłkach.

Hilda stanęła w mojej obronie.

- Pan Tomasz ma wspaniały samochód - powiedziała.

Spojrzałem na nią ostrzegawczo, dając jej do zrozumienia, aby nie zdradziła tajemnicy mojego wehikułu. Pojęła to, bo na tym stwierdzeniu skończyła swoje zachwyty nad samochodem.

Szwajcar okazał się dżentelmenem.

- Takie dziwne i staroświecko wyglądające samochody - rzekł spojrzawszy na wehikuł - są teraz bardzo modne na Zachodzie. Chciałem również mieć podobny wóz, lecz, wyznaję, ich cena przewyższa koszt najbardziej luksusowej limuzyny.

Zenobię rozgniewała ta obrona mojej osoby, a najbardziej chyba dotknął ją fakt, że w sukurs Hildzie przyszedł Szwajcar. Więc w równie złośliwy sposób przedstawiła nam Szwajcara.

- Trzeba bowiem państwu wiedzieć - powiedziała wskazując nań - że pan Fryderyk Braun, obywatel szwajcarski, nie jest żadnym rekinem finansjery, a tylko skromnym fabrykantem zapalniczek. Produkuje zapalniczki kieszonkowe, biurowe, samochodowe i inne.

Zapalniczki na benzynę i na gaz. Zapalniczki w kształcie pistoletów, wodotrysków, wieży Eiffia i góry Mont Blanc, jak również o kształtach bliżej nieokreślonych. Pan Fryderyk wybiera się na wycieczkę do Jugosławii, po drodze jednak postanowił odwiedzić Polskę, Czechosłowację, Węgry i zatrzymał się na jakiś czas w Jasieniu. Pan Fryderyk przeczytał

mnóstwo powieści kryminalnych i mimo że jest tylko producentem zapalniczek, żywi głębokie przekonanie o własnych utajonych talentach detektywistycznych. Po przyjeździe do Jasienia dowiedział się od pana Klause i pana Webera, że właśnie Jasień jest terenem poszukiwań pamiętnika. I w cichości ducha zapragnął wziąć udział w tak pasjonującej przygodzie. Zwierzył się mnie ze swych skrytych zamiarów, a ja postanowiłam odwieść go od tego, uważając słusznie, że tego rodzaju mężczyzna powinien raczej poświęcić się pływaniu, kajakarstwu, nowoczesnym tańcom.



Niemniej zaofiarowałam się pokazać mu szachownicę w Jasieniu i przywiozłam do Topielca.

- Och, miła pani Zenobio - zaproponował Fryderyk. - Na wszystko będziemy mieli dość czasu.

Na rozwiązywanie pasjonującej zagadki i na nowoczesne tańce.

- Przepraszam, a czy pani nam się nie przedstawi! - zwróciłem się do Zenobii.

- Zdaje mi się, że już poznaliśmy się. Dzięki Kasi - odrzekła.

- - Ale my nie miałyśmy przyjemności uściśnięcia sobie dłoni - powiedziała Hilda. - Znamy się tylko z widzenia, a właściwie z podglądania - dodała złośliwie.

- W takim razie ja dokonam prezentacji - wtrąciłem się. - Oto jest pani Zenobia, ciocia tej oto, obecnej tu przemiłej Kasi. Pani Zenobia jest właścicielką straszliwego motocykla i lubi mocne uderzenie.

Ale zasadnicza pasja jej życia to konwersacja z cudzoziemcami i uprawianie dzudo.

Gotowa jest zakochać się w każdym, kto ją pokona w walce.

- Jaka szkoda, że nie mam pojęcia o dzudo - z udaną rozpaczą rzekł Fryderyk. .

Odezwała się Kasia: .

- Czy państwo życzą sobie, aby został im przedstawiony również Sebastian?

- Oczywiście - skinąłem głową. - Ale gdzie jest Sebastian?

Rozejrzeliśmy się. Do tej pory pies buszował w wysokich pokrzywach, a teraz gdzieś zniknął. Kasia gwizdnęła na niego kilkakrotnie, lecz okropne krakanie wron zagłuszyło jej gwizd lub Sebastian znowu okazał nieposłuszeństwo, bo nie zjawił się na wezwanie.

- O Boże, co się z nim stało? - zaniepokoiła się dziewczynka.

Tymczasem na drodze obok mostu, tuż za fordem Szwajcara, zatrzymał się wartburg doktora. Z samochodu wysypali się trzech chłopcy, a za nimi wysiadł doktor z maleńką, lekarską teczką w ręku.

- Chwała Bogu, że widzę was zdrowych i całych - oświadczył śpiesząc w naszą stronę. -

Jak się pani czuje? - Zwrócił się po niemiecku do Hildy.

- Świetnie - odparła, trochę zdziwiona,

Dopiero po chwili wyjaśniła się cała sprawa. Okazało się, że Sokole Oko zobaczył, jak na wzburzonym jeziorze wyciągam Hildę z wody. Natychmiast pobiegł do obozu po doktora, przypuszczając, że będzie potrzebna jego pomoc. Doktor i chłopcy wsiedli w samochód i pojechali do pałacu, przypuszczając, że zapewne tam odwiozę Hildę. W pałacu Hildy nie było, więc pojechali do ośrodka wypoczynkowego, do mojego domku, myśląc, że może tam dobiłem wehikułem.

Wreszcie wpadli na myśl, że być może dopłynąłem do brzegu w najbliższym miejscu od wypadku, a więc w Topielcu. I zjawili się tutaj.

Na szczęście tak mi się udało pokierować wyjaśnieniami, że ani Zenobia, ani Fryderyk nie domyślili się, w jaki sposób wyratowałem Hildę. Sądziли, że zrobiłem to wskazując do wody.

- Nie przypuszczałam, że jest pan tak świetnym pływakiem- zdumiała się Zenobia.

Hilda chciała sprostować, lecz znowu rzuciłem jej ostrzegawcze spojrzenie.

- A tak, pływam mię najgorzej - odrzekłem z nutką zarozumiałości w głosie.

Przedstawiłem doktora i chłopców jako swoich przyjaciół odbywających krajoznawczą wycieczkę.

- Jeśli jeszcze dowiem się, że pan doktor i ci trzej młodzi ludzie również postanowili rozwiązać zagadkę szachownicy, to nie uwierzę - roześmiała się Hilda.

- A tak. Właśnie tak - stwierdził doktor. - Mamy ten zamiar. To przecież historia jak z powieści sensacyjnej.

- Owszem - zgodził się Fryderyk - dlatego warto poświęcić tej sprawie trochę czasu.

- Nie, to naprawdę nie do wiary. To byłoby nawet zabawne, gdyby nie fakt, że w tej sprawie kryje się tyle poważnych elementów - powiedziała ze smutkiem Hilda.

Wrony wciąż wrzeszczały przeraźliwie. Dlatego ledwie usłyszałem okrzyk Kasi.

Dziewczynka szła ostrożnie przez wysokie pokrzywy i wołając coś, kiwała .na mnie ręką.

Odłączyłem się więc od całego towarzystwa i -zacząłem przedzierać przez pokrzywy.

Po kilku krokach zrozumiałem, dlaczego dziewczynka minie woła. Zobaczyłem Sebastiana, który do połowy zniknął w wąskiej dziurze w zrujnowanej ścianie starego młyna. Wystawał mu tylko kuper i ogon, radośnie kiwający się na wszystkie strony.

. Przystąpiłem kroku, przedostałem się przez kupę gruzu zawałającego wejście do ruin.

W dużym pomieszczeniu bez dachu rosły krzaki, a nawet młode drzewka. Rozsunąłem krzaki i zobaczyłem głęboki doły zapewne pozostałość po zawałonej piwnicy. Na dnie dołu stał pan Kuryłło. Był to widok dość śmieszny, ale pełna rozpacz twarzy Kuryłły nakazała powagę. ;

- Niechże mi pan poda rękę! .-- zawołał błagalnie z głębi dołu. - Nie mogę stąd wyleźć.

Wołałem o pomoc, ale nikt mnie nie słyszał.

Przyklęknałem na krawędzi dołu i podałem mu rękę.

Postępując wygramolił się na powierzchnię. Tutaj odetchnął głęboko i z ogromną ulgą.

Potem, zataczając się, przełaził przez gruz- i stanął oko w oko z całą naszą gromadką.

- Boże drogi - załamała ręce ciotka Zenobia. - Co się panu stało, panie Kuryłło?

Z roztargnieniem rozejrzał się po naszych twarzach.

Wydawało się, że ciągle nie dowierza swojemu szczęściu. Obmacał starannie nogi, dotknął dłońmi ramion i piersi, wreszcie powiedział:

- Byłem w lesie na spacerze. Zaskoczyła mnie burza, zdołałem jednak dopaść ruin.

Chciałem się w nich schronić przed deszczem. Raptem zrobiło się ciemno, zerwał się okropny wiatr i lunął deszcz. Wlazłem w ruiny szukając jakiejś resztki dachu, ale z powodu mroku nie zauważyłem dołu pod nogami. I wpadłem.

A wyleźć już nie potrafiłem. Wołałem o pomoc, lecz chyba to przekłete krakanie- wron zagłuszało moje okrzyki. .

- Drą się wniebogłosy - przytaknęła Zenobia.

Wróciłem do ruin i jeszcze raz zajrzałem do piwnicy. Stwierdziłem, że gdybym to ja wpadł

do tego dołu, wydostałbym się z niego bez niczyjej pomocy. Pan Kuryłło był jednak starszy ode mnie. Ale przecież wyglądał na mężczyznę w pełni sił, odbywał długie spaceru.

Pomyślałem więc: „Może nie chciał wyjść z dołu?” Była to myśl absurdalna, niemniej jednak tak właśnie pomyślałem. Oczywiście, nie należało -wykluczyć możliwości, że krakanie wron zagłuszyło jego wołanie i usłyszał je tylko Sebastian buszujący w pokrzywach.

- W tym dole siedział pan chyba z godzinę - stwierdziłem. - Co .by się z panem stało, gdyby, nie Sebastian? .

- Nie wiem, nie wiem - Kuryłło rozłożył ręce.- Być może zginąłbym tu z głodu i chłodu. Z

początku wołałem o pomoc bardzo głośno i często, a potem ochrypłem i już tylko od czasu do czasu wzywałem pomocy.

- A wyleźć pan mię usiłował?

- Próbowałem. Lecz bezskutecznie. Niestety,;? nie jestem wygimnastykowany. .: Zniknęła gdzieś jego pyszałkowatość i pewność siebie. Jego sprytnie oczy miały teraz wyraz przestachu;

Fryderyk, doktor i chłopcy poszli do ruin i również zajrzeli do dołu, w którym odkryłem pana Kuryłłę.

Gdy wrócili, na ich twarzach malowała się podejrzliwość.

- Przecież z tego dołu nawet dziecko potrafiłoby wyjść o własnych siłach - . powiedział

Fryderyk.

Mały pan Kuryłło aż poczerwieniał z gniewu. Nagle zaperzył się jak kogucik.

- Ach tak, nie wierzycie mi? Nie wierzycie - powtarzał. - Dobrze. Powiem wam prawdę: słusznie, że -mi nie wierzycie. Ja do tego dołu wlałem specjalnie i mógłbym wyjść z niego, gdybym zechciał. Lecz nie chciałem. A dlaczego .nie chciałem? Dlatego, że was śledziłem, bo wydajecie mi się bardzo podejrzani.

Przyjechaliście tutaj w różnym czasie aż trzema samochodami, wyznaczyliście sobie spotkanie w tym odludnym miejscu. I przez cały czas rozmawiacie po niemiecku. Kto wie, czy nie jesteście szpiegami.

- A f e, panie Kuryłło! I mnie posądza pan o tak straszne sprawy? - zdumiała isię Zenobia.

- Pan również mówi świetnie po niemiecku - roześmiała się Hilda, którą rozbawiły podejrzenia Kuryłły.

- Panią Zenobię podejrzewam najbardziej - oświadczył Kuryłło. - Bo czy normalna, zwykła kobieta może znać dzudo? Tylko w szkołach szpiegowskich uczą dzudo. Oglądałem filmy szpiegowskie, czytałem książki o działalności wywiadu. Na szpiegów wybiera się specjalnie ładne kobiety. A pani Zenobia... jest ładna.

- Dziękuję panu - skinęła głową Zenobia.

- Pani urodzie też nic nie .można zarzucić - Kuryłło wskazał Hildę.

- Dziękuję za komplement - uśmiechnęła się Hilda.

Bawiliśmy się doskonale podejrzeniami Kuryłły.

Chłopcy, którym od czasu do czasu tłumaczyłem na polski treść rozmowy, aż pokładali się ze śmiechu, co jeszcze bardziej go oburzało. Tylko na twarzy Fryderyka wciąż nie gościł

uśmiech, wydawał się być obrażony posądzeniami starszego pana. Wreszcie Zenobia postanowiła rozchmurzyć Fryderyka.

- Pozwoli pan, panie Braun, że przedstawię panu naszego pogromcę szpiegów. Pan Kuryłło

- rewident ksiąg buchalteryjnych przedsiębiorstw gastronomicznych, znany jako „postrach gastronomii”. Jego uwagi nie ujdzie żadne niedopatrzenie i niejednego małwersanta zaprowadził on za kratki.

Teraz Zenobia zwróciła się do Hildy:

- Pan Kuryłło wyraził głębokie przekonanie, że gdyby pani w odpowiednim czasie zwróciła się do niego o pomoc w sprawie tajemniczej szachownicy, zagadka ta byłaby już rozwiązana.

- Jaka szkoda, że o tym nie wiedziałam: - odpowiedziała Hilda. - Zapewne skorzystałabym .z tej pomocy.

- O, to chyba nic straconego - rzekł Fryderyk.- Przecież chyba nie zamierza pani porzucić tej sprawy?

- Owszem, byłbym wam dopomógł - kiwnął głową Kuryłło. Zrobił to z ogromną powagą i pewnością siebie, która znowu do niego wróciła. Żarty Zenobii przyjął za dobrą monetę.

- Nie ma nadziei na rozwiązanie zagadki - westchnęła Hilda. - Pan Weber i pan Klaus postanowili już jutro wyjechać. Co do mnie... - zawahała się i spojrzała .na mnie, nie wiedząc, czy wolno jej wyznać im prawdę o naszej umowie.

Skinąłem głową, aby mówiła.

- Co do mnie - podjęła wątek - postanowiłam jeszcze kilka dni pozostać w Jasieniu. Będę usiłowała prowadzić dalej poszukiwania. Pan Tomasz obiecał mi pomagać.

Fryderyk podszedł do Hildy, uklonił się, pocałował ją w rękę.

- Czy przyjmie pani pomoc również i ode mnie? :

Hilda znowu się zawahała i spojrzała na mnie, mię wiedząc, czy w moich planach leży pomoc trzecich osób. A ja musiałem powiedzieć to, co wynikało z tej sytuacji.

- Nie mam monopolu na pomoc dla panny Hildy.

Wydaje mi się, że nie wolno zrezygnować z niczyjej rady w tak skomplikowanej i trudnej sprawie. :

- W takim razie dziękuję panu. Przyjmuję pomoc - Hilda uściśnęła dłoń Fryderyka.

I tak kolejno z pomocą Hildzie ofiarowali się doktor, chłopcy, a na końcu Zenobia z Kasią.

Zenobia uczyniła to wyraźnym ociąganiem się i prawdopodobnie tylko ze względu na Fryderyka.

- A pan? - Hilda zwróciła się do pana Kuryłły, który stanął na boku i milczał ponuro, jak gdyby obrażony, że nikt nie zwraca na niego uwagi. - Zapewne w tej sytuacji, gdy uważa pan nas za szpiegów, nie podtrzyma pan swej propozycji okazania mi pomocy?

Kuryłło aż pokraśniał z zachwytu.

- Więc jednak! - wykrzyknął. - Państwo słyszą? Więc jednak zwraca się pani o pomoc do Kuryłły.

Przysięgam - zawołał - że ja pani nie zawiodę!

To mówiąc Kuryłło rzucił się do Hildy i pocałował ją w rękę z głośnym cmoknięciem.

- Co do tego podejrzenia o szpiegostwo - wyjaśnił po chwili - proszę tego nie brać sobie do serca. Ja jestem podejrzliwy z natury rzeczy, jeśli się tak można wyrazić.

- Słyszysz pan? - zwróciła się Zenobia do Fryderyka. - Zagadka jest jedna, a detektywów tysiące. Czy nie podusimy się w tym tłoku?

Fryderyk odpowiedział z humorem:

- W takim razie może założymy międzynarodowe towarzystwo dla rozwiązania zagadki tajemniczej szachownicy?

- A tak, -tak, to piękny pomysł - podchwycił doktor. A gdy przetłumaczyłem chłopcom i Kasi propozycję Szwajcara, Tell, Wiewiórka i Sokole Oko zaczęli rywalizować w wymyśleniu najlepszych nazw dla naszej organizacji.

Zwyciężyła Kasia.

- Zorganizujemy Związek Tajemniczej Szachownicy - powiedziała.

Przyjeliśmy tę nazwę. Na prezesa Związku Zenobia wysunęła kandydaturę Fryderyka, Hilda zaś zaproponowała moją osobę. Ja jednak wycofałem swoją kandydaturę tłumacząc, że goście mają pierwszeństwo.

Pan Kuryłło z kwaśną miną oświadczył:

- Nie mam nic przeciw kandydaturze pana Fryderyka, lecz wydaje mi się, że prezesem naszego Związku powinien zostać ktoś z pewnym doświadczeniem detektywistycznym, a jednocześnie znający stosunki w naszym kraju. To bardzo ułatwi nam działanie.

Fryderyk wycofał swoją kandydaturę. Na placu boju o godność prezesa pozostał tylko Kuryłło, którego wybraliśmy w końcu przez aklamację.

Wyznaję, że bardzo rozśmieszył mnie ten wybór.

Wiedziałem, że pan Kuryłło nie wierzy w istnienie pamiętnika i będzie szukał złota i brylantów. Lecz ostatecznie nie miało znaczenia, czego szuka. Istotne było, aby udało się nam rozwiązać zagadkę tajemniczej szachownicy i znaleźć ową „rzecz najcenniejszą”.

A wtedy okaże się, co jest tą rzeczą: pamiętnik czy złoto i brylanty.

Na zakończenie naszego spotkania prezes Kuryłło ustalił plan działalności Związku Tajemniczej Szachownicy. Przekonał wszystkich, że w Jasieniu nie mamy nic do roboty, szachownic należy szukać gdzie indziej.

Według wiadomości posiadanych przez Hildę, a także prezesa Kuryłłę, szachownice znajdowały się również na starych kościołach w Dolsku i Lubiechowie Górnym oraz na mauzoleum Hermanna von Haubitz, znajdującym się na wzniesieniu zwanym Polaną. Hilda poinformowała nas, że wraz z Weberem, Klausem i polską ekipą odwiedziła wszystkie te miejsca, ale skrytki z pamiętnikiem nie udało się znaleźć. Nie zraziło to ani Kuryłły, ani Fryderyka. Ja również poparłem ich zdanie, że korzystając z posiadanych przez nas aż czterech środków lokomocji: forda, Wartburga, mojego wehikułu i straszliwego motocykla, powinniśmy odbyć wycieczkę do wspomnianych już miejscowości z szachownicami.

Wyjazd miał nastąpić nazajutrz o -godzinie dziesiątej rano, sprzed starego kościoła w Jasieniu.



I na tym zakończyło się pierwsze zebranie Związku Tajemniczej Szachownicy.

Gdy odwoziłem Hildę do pałacu, powiedziała mi:

- Obawiam się, że dla nich wszystkich zagadka szachownicy to tylko jeszcze jedna urlopowa zabawa.

A dla mnie jest to sprawa bardzo poważna.

Odpowiedziałem jej po dłuższej chwili zastanowienia:

- Obawiam się, że dla nich ta sprawa jest równie ważna albo ważniejsza niż dla pani.

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem. Ale nie poprosiła o wyjaśnienie. Zresztą nie umiałbym tego zrobić, ponieważ te słowa podyktowała mi tylko intuicja.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

WYRUSZAMY NA POSZUKIWANIE SZACHOWNIC \* W MYŚLIBORZU • W CHOJNIE \*

SZACHOWNICA W DOLSKU • WYPRAWA NA WIEŻĘ • OSY I CO Z TEGO WYNIKŁO \*

CZY SEBASTIAN UMIE PO NIEMIECKU? « GDZIE ZGINĄŁ PREZES?

Tej nocy znowu przepłynąłem „salamandrą” jezioro Jasień i odwiedziłem ruiny obserwatorium. Na stoku wzgórza natknąłem się na chłopców i doktora. Wspólnie zaczęliśmy się w krzakach, obserwując drózkę. Ale tajemniczy osobnik nie dał o sobie znaku życia. O trzeciej nad ranem, niewyspani i zziębnięci, opuściliśmy kryjówkę.

Spałem tylko kilka godzin, bo już o siódmej rano zaszyłem się w lesie i w dalszym ciągu uczyłem się dzudo. Najpierw powtórzyłem wszystkie poznane wczoraj chwyt, a następnie zacząłem trenować nowe;

A więc przede wszystkim, jak bronić się przed pchnięciem jednorącz w pierś.

Nauczyłem się także uwalniać z uchwytu jednorącz za włosy z przodu, od uchwytu jednorącz za włosy z tyłu. Poznawałem tajniki walki z przeciwnikiem, który usiłuje zastosować tak zwany chwyt nożycowy w pasie i niezwykle trudny sposób uwalniania się od usiłowania duszenia, kiedy atakowany już leży na ziemi.

Oczywiście, zdawałem sobie sprawę, że ta nauka byłaby o wiele skuteczniejsza, gdybym mógł ćwiczyć nie z wymagowanym przeciwnikiem, ale z jakąś żywą osobą, która znałaby chwyt, ot, choćby z ciotką Zenobią. Ale przenigdy nie przyznałbym się Zenobii, że zgłębiam tajniki dzudo.

Po ćwiczeniach porannych wróciłem do ośrodka campingowego, gdzie stwierdziłem, że domek Zenobii i Kasi jest zamknięty na głucho. Obydwie odjechały już na umówione miejsce naszego spotkania, przed kościół w Jasieniu.

Nie było już także pana Kuryły, ale on jako prezes naszego Związku zapewne pierwszy poszedł na spotkanie i czynił przygotowania do wyjazdu, rozdzielał miejsca w samochodach, sprawdzał, czy posiadamy odpowiedni sprzęt campingowy. Bo tak wyobrażałem sobie obowiązki prezesa. .

Ku mojemu zdziwieniu po przybyciu na miejsce zastałem tam tylko doktora z chłopcami, Zenobię z Kasią i Fryderyka. Brakowało Hildy i właśnie naszego prezesa. Zająłem się więc tym, co powinien był uczynić pan Kuryło, wspólnie z doktorem ustaliliśmy, że w Wartburgu pojedzie dwóch chłopców, Tell i Sokole Oko, do forda zabierze Fryderyk pana Kuryłę i Zenobię, a do wehikułu wsiądzie Hilda, Kasia z Sebastianem i Wiewórka. Zdecydowaliśmy bowiem, że motocykl Zenobii powinien pozostać w Jasieniu pod czyjąś opieką, bo pogoda mogła się odmienić lada chwila, a w czasie słoty jazda motocyklem nie należy do przyjemności.

Zdecydowałem, że swój namiot odstąpię Hildzie, a sam będę sypiał w samochodzie. To samo postanowił zrobić Fryderyk, oddając swój namiot Zenobii i Kasi, oraz doktor, przeznaczając namiot dla pana Kuryły.

W ten sposób rozwiązaliśmy problem ewentualnych noclegów na biwakach. : Podczas tych postanowień minęły nas w Jasieniu dwa samochody: jednym z nich był

taunus, w którym zobaczyłem Klause. W drugim jechał chyba ów pan Weber z Frankfurtu.

Obydwaj zapewne powracali do Niemiec.

Po jakimś czasie nadeszła Hilda z walizką w rękę.

- Jestem gotowa - oświadczyła. - Przekonałam Webera, że powinnam tu zostać.; Nie wierzy, że odnajdziemy pamiętnik, ale nie widział przeszkód dla mojej decyzji.

Wziąłem ją na bok i zapytałem, jak Klaus przyjął wiadomość o pozostaniu Hildy.

- Roześmiał się i wzruszył ramionami, ubolewając nad moimi płonnymi nadziejami -

opowiadała. - Zauważyłam jednak, że potem na jakiś czas gdzieś zniknął. Przed odjazdem życzył mi powodzenia i powiedział: „Zobaczymy się na procesie”.

Zaniepokoiła mnie reakcja Klause. Wyobrażałem sobie, że usłyszawszy od Hildy o jej decyzji, również zdecyduje się pozostać pod byle jakim pretekstem.

- Niewykluczone, że Klaus tu jednak powróci - rzekłem. - Pojedzie z Weberem do granicy, raptem przypomni sobie, że; coś zostawił w Jasieniu, pożegna go i przybędzie z powrotem.

Czy zdradziła mu pani nasze plany?

- Musiałam to zrobić, bo był przy mojej rozmowie z Weberem. Powiedziałam, że zamierzam jeszcze raz odwiedzić te miejsca, gdzie widnieje szachownica, a więc pojedziemy do Dolska, Lubiechowa i ma Polanę. ; 51

Nadszedł wreszcie i prezes Kuryłło objuczony ciężkim plecakiem. Przyszedł nie od strony ośrodka campingowego, lecz uliczką wioski.

- Byłem w gromadzkiej radzie narodowej - rzekł z dumą - i zdołałem zdobyć niezwykle cenne informacje. Wskazano mi człowieka, który znał Haubitzów, a przede wszystkim wie, które majątki kiedyś do nich należały. Mam teraz spis wszystkich posiadłości Haubitzów, bo niewykluczone, że poza tymi czterema znanymi nam miejscowościami szachownice istnieją również i gdzie indziej. Widzicie, co potrafi wasz prezes? - machnął nam przed nosem kartką papieru i dumnie zasiadł w fordzie Fryderyka. ; .

Hilda wzruszyła ramionami. Wsiadając do wehikułu, powiedziała do mnie:

- Gdyby był zapytał mnie o Haubitzów, udzieliłabym mu na ten temat wszelkich wiadomości. Polska ekipa śledcza już pod tym kątem spenetrowała wszystkie miejscowości, które były związane z Haubitzami.

Ustalono, że oprócz trzech szachownic w Jasieniu istnieją jeszcze tylko trzy, do których właśnie jedziemy.

Warto wiedzieć, że ani Dolsko, ani Lubiechów nie należały do Haubitzów, szachownice znajdują się tam na starych XIII-wiecznych kościołach, podobnie jak w Jasieniu. Natomiast

.dobrami Haubitzów były tereny wokół Polany. W gruncie rzeczy podróż do Dolska i Lubiechowa to tylko strata czasu. Z całą pewnością Johann Haubitz nie ukrył tam pamiętnika.

- Tak - zgodziłem się z nią - lecz mógł tam pozostawić jakąś wskazówkę dotyczącą schowka. Przecież nie jest powiedziane, że jedna z szachownic strzeże pamiętnika. Może każda z nich zawiera tylko jakąś istotną wskazówkę i dopiero pełny obraz wszystkich szachownic podsunie nam właściwą myśl.

Usłyszałem sygnał klaksonu Wartburga. Doktor ruszał w drogę. Za nim pomknął ford Fryderyka. Ja także zapuściłem silnik wehikułu i pojechałem ich śladem.

Za moimi plecami Wiewiórka mówił do Kaśki:

- Nie lubię dziewczyn. Ale ty chyba jesteś inna niż wszystkie. Masz fajnego psa. I pewnie, tak jak twoja ciotka, znasz dobrze dżudo. Bo ja, widzisz, uczę się dżudo.

- Nie znam dżudo- odrzekła Kaśka.

- Nie? - rozczarował się Wiewiórka. - A po drzewach umiesz się wspinać? Ja jestem mistrzem w chodzeniu po drzewach, dlatego właśnie przezywają mnie Wiewiórką.

- Nie umiem chodzić po drzewach. I nie lubię tego - odparła Kaśka.

- Nie?

- I w ogóle jestem taka, jak inne dziewczęta.

Wiewiórka podrapał się w głowę.

- To znaczy, że będziesz mi tylko przeszkadzać w rozwiązywaniu zagadki tajemniczej szachownicy. Bo trzeba ci wiedzieć, mała - lekceważenie, a zarazem pycha zabrzmiała w jego głosie - że to właśnie ja, wspólnie z panem Tomaszem, czyli z panem Samochodzikiem, odnalazłem ukryte zbiory starej broni na Wyspie Złoczyńców. W

gazetach o tym szeroko się rozpisywali. Czytyłaś?

- Nie.

- Nie czytasz gazet? Nie słyszałaś także historii o tym, jak z panem Samochodzikiem szukałem skarbu zakonu templariuszy?

- Nie słyszałam.

- Niedobrze z tobą, mała. Masz poważne braki w wykształceniu. A wiesz ty przynajmniej, kto to byli templariusze?

- Trochę o nich czytałam. To był zakon.

- Tak jest. I mieli nieprzebrane skarby. W ubiegłym roku, latem, część tych skarbów udało mi- się odnaleźć.

- Tobie? - nie dowierzała Kasia.- Pomagał mi pan Samochodzik. No i dwaj moi przyjaciele -

dodał. - Jeśli więc chcesz teraz wziąć udział w (naszych nowych przygodach, musisz we wszystkim mnie słuchać i wykonywać moje rozkazy.

Pyszałek zrobił się z tego Wiewiórki. Kasia brała za dobrą monetę jego gadanie. Mały Wiewiórka wyraźnie jej zaimponował.

Wkrótce przyjechaliśmy do Myśliborza, gdzie zatrzymaliśmy się na krótki czas. Domyślałem się, że doktor pragnął przy okazji wycieczki pokazać chłopcom, a także Hildzie i Fryderykowi, jak bardzo te ziemie związane były z Polską. Wiedziałem, że powinienem mu dopomóc w tym przedsięwzięciu i usłużyć swymi wiadomościami historycznymi.

W Myśliborzu, jak wspominałem, zatrzymaliśmy się ana krótko. W okolicach tego małego, ale pięknego miasteczka rozciąga się największe na Pomorzu Zachodnim zgrupowanie jezior. Jest tu plaża i stacja wodna, przyjemne wycieczki organizują sobie wczasowicze po Jeziorze Myśliborskim.

Myślibórz - założony przez legendarnego woja Myślibora - stanowił przed wiekami słowiańskie osiedle, zbudowane nad jeziorem w miejscu, gdzie wypływa rzeczka Myślą i śpieszy potem do Odry. Z zabytków zachował się do dzisiejszych dni gotyckich kościół

farny, kościół i klasztor poddominikański zbudowane na przełomie wieku XIII i XIV, stary spichlerz, kaplica i ratusz. Obejrzelśmy także fragmenty średniowiecznych fortyfikacji z bramami miejskimi: Pyrzycką i Nowogrodzką.

Na żadnym z kościołów w Myśliborzu - a oglądaliśmy je dokładnie - szachownicy nie odkryliśmy.

Pojechaliśmy więc dalej szosą, która przez Trzczańsko-Zdrój prowadziła do Chojny i Cedyni.

Niebo zachmurzyło się, ale deszcz nie padał i było ciepło. Nie prażyło nas słońce w samochodach i podróż upływała bardzo przyjemnie.

W Chojnie zatrzymaliśmy się nieco dłużej. Bo też i było tu co oglądać i podziwiać.

Chojna stanowi istny rezerwat średniowiecznych zabytków. Doskonale zachowały się mury miejskie, wały i fosy oraz potężne bramy.

Zwiedziliśmy też ruiny kościoła Mariackiego, bogato dekorowanego, glazurowaną cegłą. I tutaj również nie odkryliśmy tajemniczej szachownicy. Jeszcze tylko wstąpiliśmy do parku miejskiego, aby obejrzeć stary platan, jeden z największych w Polsce. Sokole Oko, Tell i Wiewiórka złożyli niski pokłon grubemu drzewu o spękanej korze, gdyż, jak twierdzili: „to drzewo było na pewno prasłowiańskim bóstwem”.

W Chojnie zjedliśmy obiad i pojechaliśmy szosą do miejscowości Mętno, a potem skręciliśmy na boczną drogę do Dolska. To właśnie tam znajdował się stary kościół z tajemniczą szachownicą.

Słońce przedarło się przez chmury i natychmiast zrobiło się upalnie, a nawet parno. Po kilku kilometrach, za zakrętem drogi, uwidoczniła się przed nami zielona, zwarta kępa drzew. Była to wieś Dolsko. Po lewej stronie na wzgórzu stał otoczony starymi drzewami romański kościółek z XIII wieku.

Zatrzymaliśmy samochody na błotnistej drodze obok cmentarza. Sam kościółek był

maciupęńki, miał tylko dużą, czworoboczną wieżę romańską. Wejście do wieży obramowane było portalem. Nieco z boku widniały drzwi do krętego korytarza ze stromymi schodami prowadzącymi w górną część wieży. Czubek wieży wydawał się jak gdyby ucięty i tam właśnie - zabawny i nigdzie dotąd przez mnie nie widziany szczegół - uwiły sobie gniazdo dwa bociany. Ich wesoły klekot powitał nas, gdy podeszliśmy pod portal.

Kościół był zamknięty. W sąsiedniej zagrodzie poinformowano nas, że otwiera się go tylko w niedzielę,

Z pobliskiej miejscowości, gdzie mieści się kościół - parafialny, przyjeżdża wtedy do Dolska wikary i odprawia nabożeństwo dla wiernych. Nie zamknięte natomiast okazało się boczne wejście na wieżę.

Pierwszy zauważył szachownicę Sokole Oko. Nie darmo nosił swoje przezwisko. Należało odejść od portalu na kilka kroków i pod pewnym kątem spojrzeć na kamienne obramowanie. Z tej odległości widziało się po lewej stronie, na trzecim- kamieniu od dołu -

wyraźny znak szachownicy.

- Jest szachownica. I co z tego? - powiedziałem wzruszywszy ramionami. .

Ogarnęło mnie rozczarowanie. Oglądanie kościołów na których ktoś wyrzeźbił ów tajemniczy znak, wydawało mi się bezsensowne.

Pomyślałem, że być może odnajdziemy jeszcze dziesięć starych kościołów z szachownicami i nie będziemy ani o odrobinę mądrzejsi.

Wiewiórka skakał przed portalem; ruchem konika szachowego. Wyglądało to ^zabawnie i cała sprawa z tajemniczą szachownicą magle wydała mi się śmieszna.

- W końcu ubiegłego stulecia i na początku naszego wieku - powiedział w zamyśleniu Fryderyk - niezmiernie modne były zadania szachowe z udziałem konika. Polegały one na tym, że w kwadraciki szachownicy wpisywano litery lub sylaby. Posuwając się po szachownicy ruchem konia, należało te litery i sylaby powiązać z sobą w czytelną treść,; w słowo lub nawet zdanie.

- Przecież na tej szachownicy nie roa ani liter, ani sylab. Z resztą te szachownice są tak stare, jak mury tych kościołów, a więc pochodzą również z XIII wieku..

- O, gra w szachy jest bardzo stara - odparł Fryderyk. - I być może równie stare są zadania konikowe.

Hilda uśmiechała się ironicznie. Twarz Zenobii wyrażała zachwyt dla przenikliwości Fryderyka. ;

- Co do mnie - rzekł doktor - nie tyle zależy mi na wyjaśnieniu zagadki szachownicy, ile na odbyciu przyjemnej wycieczki i przeżyciu przygód, o których mógłbym opowiedzieć kolegom w szpitalu. Aż do końca urlopu mogę tak jeździć od jednego ido drugiego kościoła i szukać tajemniczych szachownic.

Zwróciłem uwagę na głośne medytacje Tella i Sokolego Oka. Stali przed portalem i głośno zastanawiali się.

- Można by posłużyć się typowymi zadaniami konikowymi - twierdził Tell. - Pamiętasz, Sokole Oko, na czym polega metoda Eulera?

- Trzeba obieć konikiem wszystkie pola szachowe.

To nie jest łatwe. I dla nas chyba to zupełnie nieprzydatne.

- Istnieje metoda ramowa Moona podziału szachownicy na dwie części, zewnętrzną i wewnętrzną.  
Znam

także metodę ramową Moivre'a; zbliżoną do poprzedniej. Jest również metoda Rogeta -  
podziału szachownicy na ćwiartki.

- A czy nie warto spróbować zrobić diagram ruchu konika na tej szachownicy? -

zastanawiał się Sokole Oko. - Może ten diagram skojarzy się z czymś, co uchodzi naszej uwagi?

- Czy ty wiesz, ile może być różnych diagramów ruchu konika na szachownicy? Według orzeczeń  
specjalisty w tej dziedzinie, Jaemscha, ilość rozwiązań takiego zadania przewyższa trzydzieści jeden  
milionów.

Zdajesz sobie sprawę? Trzydzieści jeden milionów! - zawołał Sokole Oko.

Złapałem się za głowę. .

- Przecież wy rozmawiacie jak uczeni. Przepraszam, czy mógłbym się dowiedzieć, jaka jest  
specjalność naukowa szanownych panów?

Skacząc jak konik szachowy podbiegł Wiewiórka.

- Panie Tomaszu - powiedział - pan też może zostać takim profesorem, jeśli przeczyta pan Lilavati.

I Wiewiórka odskoczył od nas jak konik szachowy..



- Ej, Wiewiórka - krzyknął za nim Sokole Oko. - Czy ty już tak zawsze będziesz skakał?

- A tak! - .odkrzyknął Wiewiórka.- Bardzo fajnie się tak skacze. Spróbujcie, chłopaki. Może gdy tak będziemy skakali, wpadnie nam do głowy jakiś świetny pomysł rozwiązania zagadki?

Tell i Sokole Oko poszli za przykładem Wiewiórki.

Trójka chłopców skakała przed kościołem jak polne koniki. Dołączyła się do .nich i Kaśka, a obok niej, w podskokach biegał Sebastian, któremu ta zabawa bardzo się spodobała.

- Co oni robią? - zdumiała się Zenobia.

- Próbują rozwikłać zagadkę szachownicy - odpowiedziałem z powagą. - No, co pani Zenobio, może i my spróbujemy?

Rozpocząłem skoki, dwa do przodu i jeden w bok.

- Powariowali!- zawołała Zenobia.

- Panie doktorze, zapraszamy do skoków - • kiwnąłem ręką ma ojca Tella.

Doktor przykucnął i podskakując, dwa kroki w przód i jeden w bok, usiłował się do mnie zbliżyć. Więc ja, podobnie skacząc, uciekłem za Zenobię, potem za Fryderyka, Hildę, a wreszcie za pana Kuryłkę.

- Ja jestem czarny koń! - zawołał doktor. - Zaraz pana sprzątnę z szachownicy. Uwaga: atakuję!-- i śmiesznie podskakując pędził .w moim kierunku.

Tell i Sokole Oko narobili wrzasku, bo jeden drugiego usiłował wypchnąć przez furtkę cmentarną, czyli usunąć z szachownicy. Wiewiórka złapał za kark Sebastiana, twierdząc, że Sebastian jest hetmanem, którego on, konik szachowy, właśnie „sprzątnął”. Kasia wy 130

rwiała Sebastiana z rąk Wiewiórki i upierała się, że jest „królową”, więc ma prawo do „ruchu w każdą stronę”.

Ja w dalszym ciągu uciekałem, a ganił mnie doktor.

Zenobia pogroziła nam pięścią.

- Miejcie szacunek dla zabytków. Co ludzie we wsi pomyślą? Że przyjechali tu wariaci.

Hilda wskazała dłonią wieżę.

- Może pójdziemy na górę? Drzwi są otwarte...

Przestaliśmy skakać.

- To jest dobry pomysł - stwierdziłem. - Tylko że tam na górze, zdaje się, osy mają swoje gniazdo.

- Wejdziemy bardzo ostrożnie. Może nas nie pogryzą - pocieszał nas Fryderyk.

Zebraliśmy się przed otwartymi drzwiami. Drzwi były wąskie, tak samo wąski okazał się mroczny korytarz ze schodami na górę.

Uformowaliśmy się w długi rząd i, prowadzeni przez Zenobię, wkroczyliśmy w mrok.

- Boję się - szepnęła Kasia, chwytając mnie za łokieć.

- Czego się boisz?

- Os. Już mnie kiedyś ugryzła. Spuchłam wtedy jak bania - wyjaśniła dziewczynka.

Korytarz miał dwa załomy i zaraz znaleźliśmy się na widnej platformie pierwszego piętra.

Wyżej już schodów nie było. W suficie czerniał ciemny otwór, do którego można było wejść tylko po drabinie, która stała nieco z boku, oparta o ścianę.

Na platformie znajdowało się ogromne okno bez szyb.

Właśnie wtedy wpadały z dworu osy i niknęły w czarnym otworze. Ich gniazdo mieściło się więc o piętro wyżej.

- No co? Wchodzimy tam? - zapytała Zenobia.

Chłopcy przystawili drabinę do otworu i zaczęli piąć się po spróchniałych szczepkach.

Nie wejdę tam za żadne skarby - zdecydowanie rzekła Kasia. - Tam jest chyba milion os.

Słyszycie, jak brzęczą?

Nastawiliśmy uszu. Rzeczywiście, z ciemnego otworu w suficie dochodziło nas \_ głośne brzęczenie wielu owadów.

Chłopcy zawahali się, ale Sokole Oko pierwszy przemógł tchórzostwo i wsadził głowę w otwór. Złękła się os także i Zenobia. Zapewne wyobraziła sobie, jak okropnie wyglądać będzie jej delikatna buzia, kiedy "wbijają się w nią żądła owadów.

- Jestem pewna, że tam na górze są tylko kurz i śmiecie - odezwała się, wzruszywszy ramionami.

Hilda również zrezygnowała z wejścia na górę.

- Byłam tam z Weberem i Klausem. Nie ma nic -ciekawego. Kamienny pokój bez okien i również otwór w suficie, prowadzący na strych wieży.

Chłopcy zniknęli w otworze, za nimi wspiał się na górę Fryderyk i doktor.

Jakaś osa z podejrzanym złośliwym bzyczeniem zaczęła latać koło naszych twarzy.

- Uciekajmy - pisnęła Kasia i dała nurka w mrok korytarza. Za nią pobiegła Zenobia i Hilda.

- Przecież to chyba oczywiste, że ten stary dureń nie schował na górze skrzynki ze złotem i brylantami - rzekł Kuryłło, udając, że nie słyszy bzyczenia.

- Ale na dole, na portalu, jest szachownica - odpowiedziałem, osłaniając twarz łokciem.

- Bzdura! - warknął Kuryłło. Gniewnie chwycili się spróchniałego szczepła i posapując wszedł jednak na górę. A ja powędrowałem za nim.

Na górze, w niewielkim, mrocznym pomieszczeniu, chłopcy i Fryderyk świecili latarkami, omiatając blaskiem podłogę i ściany. W prawym rogu sufitu widać było kwadratowy otwór prowadzący na strych, ale dostać się tam, bez wciągnięcia z dołu drabiny, nie było sposobu. W drugim rogu dostrześliśmy workowate gniazdo os. Rozjuszony światłem wyroiły się z gniazda i brzęcząc złowrogo, krążyły pod sufitem.

Tell zbliżył się do mnie i szepnął mi do ucha:

- Niech pan zwróci uwagę, że ten pokój w wieży zbudowany jest na przemian z kamieni o jaśniejszym i ciemniejszym zabarwieniu. W szachownicę. .

- Zauważyłem to od razu - odpowiedziałem również szeptem. - Ale to, zdaje się, nie ma żadnego znaczenia. Tam, gdzie jest gniazdo os, ścianę zbudowano z samych ciemnych kamieni. Ta szachownica ułożyła się zupełnie przypadkowo i tylko w kilku miejscach.

Raptem doktor wrzasnął i zaczął oganiać się rękami.

- Ratunku, uciekajmy! Rozpoczęły atak! - krzyknął w naszą stronę i umknął do otworu z drabiną.

Sokole Oko i Wiewiórka, również oganiając się rękami przed atakiem os, poszli za przykładem doktora. Po chwili wszyscy zebraliśmy się na piętrze z oknem.

- Tam nie było nic ciekawego - z rozczarowaniem w głosie stwierdził Fryderyk i zniknął w mrocznym korytarzu.

Sokole Oko odstawił drabinę na dawne miejsce i znowu gęsiego zeszliśmy schodami na dół, gdzie oczekiwała nas Hilda, Kasia i Zenobia.

- Do samochodów, proszę państwa - przynaglałem towarzystwo. - Jeszcze dzisiaj musimy zwiedzić mauzoleum Haubitza na Polanie.

- A zanocujemy w Moryniu nad pięknym jeziorem - zapowiedział doktor.

Nasze towarzystwo pomaszerowało do samochodów.

Zauważyłem, że Zenobia przyglądała się czule Fryderykowi.

- Tak się bałam, że osy pana pogryzą... - rzekła z ogromną troską w głosie.

Fryderyk pocałował ją w dłoń.

- Ach, jaka szkoda że pan nie zna dżudo - westchnęła.

- To my proszę pani. Postaram się nauczyć - obiecał.

O mało me .parsknąłem śmiechem. Hilda zapytała mnie:

. - Czemu się pan uśmiecha? Co się stało?

- Fryderyk obiecał Zenobii nauczyć się dżudo - mrugnąłem porozumiewawczo okiem.

- To ładnie z jego strony.

- Ładnie? Uważam to za idiotyczne. Ta dziewczyna chce doprowadzić do tego, żeby wszyscy mężczyźni fikali koziółki na jej cześć.

I raptem przypomniałem sobie, że ja również ćwiczyłem dżudo. „Tylko że ja to robiłem nie po to, aby się jej przypodobać - pocieszałem się w duchu. - Mnie chodzi o triumf nad Zenobią. Nie będzie mnie więcej poniżać”.

Sokole Oko, Wiewiórka i Kasia przenieśli się do forda Fryderyka. Chcieli przekonać się, jak się jeździ w takim pięknym i ogromnym „krażowniku szos”. Kasia zostawiła mi w wehikule Sebastiana.

- Sebastian u pana zostanie, żeby panu nie było smutno - powiedziała.

- Och, nie ma obawy - rzekłem - przecież pojedzie ze mną pani Hilda. Obawiam się, że to Sebastianowi będzie z nami nudno, ponieważ z panią Hilda rozmawiam po niemiecku, a on chyba nie zna tego języka.

- Pan sądzi, że Sebastian nie rozumie po niemiecku? - oburzyła się Kasia.

Przetłumaczyłem Hildzie słowa Kasi. Hilda zawołała po niemiecku na Sebastiana:

- Sebastian, komm hier.

I Sebastian, o dziwo, pokiwał ogonem i podbiegł do Hildy.

- No, widzi pan- i zatriumfowała Kasia.

Chłopcy zaczęli z powagą roztrząsać, czy psy rozumieją obce języki. Sokole Oko był zdania, że treść rozkazu Sebastian rozpoznał po intonacji głosu. Zdaje się, że mieli temat do dyskusji na całą dalszą drogę.

Usadowiliśmy się w samochodach, doktor zatrafił i wartburg poprowadził kawalkadę w stronę Polany,

- Pani już .była na Polanie- odezwałem się do Hildy - czy zna pani historię znajdującego się tam mauzoleum?

- Owszem. Polana to jedno z najwyższych wzniesień na Pojezierzu Myśluborskim. Na jednym ze stoków znajduje się stary kamieniołom od wielu lat nieczynny, Tę górę oraz okoliczne lasy kupił przed laty Hermann.

von Haubitz, ten sam, o którym legenda mówi, że był w przymierzu z diabłem i dzięki diabłom pomnażał swój majątek. Hermann von Haubitz upodobał sobie Polanę i jeszcze za swego życia

postawił mauzoleum, nakazując synom pochować się tam po śmierci. Polana góruje nad całą okolicą, Hermann von Haubitz chciał nawet po śmierci panować nad tymi ziemiami. Zgodnie z jego życzeniem trumnę ze zwłokami pochowano w mauzoleum na Polanie, a nie na cmentarzu w Jasieniu. Na tej podstawie zapewne zrodziła się legenda, że Hermanna von Haubitz porwał diabeł i zaniósł go żywcem do piekła. Ludzie w Jasieniu spotykali na cmentarzu grobowce Haubitzów, ale nie widzieli grobu Hermanna von Haubitz.

O mauzoleum mogli nie wiedzieć lub nie pamiętać, bo ono znajduje się w dość dużej odległości od Jasienia. I tak powstała legenda o porwaniu przez diabła.

Nagle dodałem gazu i zacząłem wyprzedzać wóz Fryderyka i Wartburga doktora. Piszcząc hamulcami i trąbiąc ostro zagroziłem im dalszą drogę.

- Co się stało? - zawołał doktor, wyskakując z samochodu.

Z forda wyjrzały ciekawie główki chłopców i Kasi.

- Proszę państwa, gdzie jest pan Kuryłło? - zapytałem.

Rozejrzeli się zdumieni po sobie, po wnętrzach samochodów. Kuryłły nie było wśród nas.

Ja również dopiero przed chwilą uświadomiłem sobie, że nie widziałem, aby pan Kuryłło wsiadał do któregoś z wozów. Stało się dla nas oczywiste, że pozostał w wieży kościoła w Dolsku.

Zawróciliśmy i pomknęliśmy z powrotem. Zatrzymaliśmy się przy cmentarzyku kościelnym i pobiegliśmy schodami na górę.

- Ratunku!... Ratunku!... - usłyszeliśmy rozpaczliwy głos Kuryłły, a potem z otworu ma drugim piętrze wyrzwała jego głowa.

Dostawiliśmy drabinę i pan Kuryłło pośpiesznie zsunął się na dół. Za nim wyleciał wirujący kłęb os.

- O Boże, Boże! - jęczał „postrach gastronomii”. - Jeszcze chwila, a byłyby mnie żywcem pożarły. Na szczęście zarzuciłem marynarkę na twarz i głowę.

Ale i tak kilka os zdołało dobrać się do pana Kuryłły. Ugryzły go w policzek, który spuchł mu tak bardzo, że niemal zniknęło mu jedno oko. Natomiast drugie spozierało na nas z ogromną podejrzliwością.

- Zostałem na górze, bo zainteresowały mnie kamienie układające się w szachownicę -

opowiadał. - Nawet nie zauważyłem, kiedy zesłiście. A potem, gdy ja chciałem zejść, drabina była już odstawiona.

- Nie wiedziałem, że pan ta.m pozostał. I dlatego odstawiłem drabinę - sumitował się Sokole Oko.

Kuryłło pogroził mu.

- A może zrobiłeś to specjalnie, hę? Może chciałeś wyeliminować mnie z poszukiwań, co?

- Ależ nie. To była omyłka - tłumaczył się chłopiec.

„Postrach gastronomii” zerknął do lusterka i złapał się za głowę.

- O Boże, Boże, jak ja wyglądam? Pan jest lekarzem, prawda? - zwrócił się do ojca Tella.

Doktor obejrzał jego spuchnięty policzek.

- Jad os jest groźny, ale pan został ugryziony tylko dwukrotnie. Opuchlizna minie do jutra.

Twarz Kuryłły przypominała ciasto, które uciekło z donicy w jedną stronę. Skrzywił się jeszcze bardziej i łypnął na nas swym jednym okiem.

- Nie szanujecie swojego prezesa - rzekł prostując się i przybierając wyniosłą postawę.

Wyglądał teraz jak mała purchawka z krzywo wyrosniętym łebkiem. - Powiadam wam, że jeśli tak będzie dalej, nie rozwiążemy zagadki tajemniczej szachownicy.

Dumnie wyprostowany skierował się do forda Fryderyka i rozsiadłszy się na przednim miejscu, rozkazał:

- A teraz na Polanę.

MAUZOLEUM HERMANNA VON HAUBITZ \* NA CZYJĄ POMOC LICZĘ • CZY KLAUS

POWRÓCI? • STARY GROBOWIEC • SZACHOWNICA BEZ TAJEMNICY • CO ZAWIERA SARKOFAG?

Czerwone ogromne słońce wisiało nisko nad horyzontem, gdy kamienistą drogą podjechaliśmy w najbliższe sąsiedztwo wzgórza o nazwie Polana. Droga zaprowadziła nas do starego kamieniołomu, ogromnej wyrwy w zboczu. Kiedyś dojeżdżała tutaj wąskotorowa kolejka, która służyła do wywożenia wyłupanych granitowych głazów. Kamieniołom jednak przestano eksploatować już ponad czterdzieści lat temu i tylko słabo widoczne ślady szyn i nasyp znały szlak kolejki.

W czerwonym blasku zachodzącego słońca kamieniołom przedstawiał widok groźny, a zarazem urzekający.

Strome, niemal pionowe ściany z granitu miały barwę rdzawą, nad urwiskiem rósł bukowy, zielony las, a jeszcze wyżej było granatowe, wieczorne niebo.

Mauzoleum Haubitz miało się na szczycie góry, w bukowym lesie. Zatrzymaliśmy więc samochody u wjazdu do kamieniołomu, a sami pomaszerowaliśmy pieszo wąską i ledwo widoczną ścieżką, wspinającą się tuż nad krawędzią kamieniołomu. Szliśmy gęsiego, na przedzie ja i Hilda, która nas prowadziła, za nami doktor, chłopcy z Kasią, potem Fryderyk z Zenobią. Zamykał pochód pan Kuryłło, wciąż jeszcze bardzo zagniewany o pozostawienie go na pastwę rozwścieczonych os.



- Przestaję wierzyć w skuteczność waszych poszukiwań - powiedziała do mnie Hilda. -

Robicie to samo, co my już zrobiliśmy i co nie dało żadnego rezultatu. Obejrzymy mauzoleum, szachownicę na kościele w Lubiechowie Górnym, a potem przekona się pan, że ani na krok nie przybliżyliśmy się do rozwiązania zagadki. Na co pan właściwie liczy, panie Tomaszu?

- Na Klause - odpowiedziałem szczerze. - Liczę na tajemniczego osobnika, który strzelał w obserwatorium z pistoletu gazowego, a w parku pałacowym odurzył mnie chloroformem.

Liczę również na Konrada von Haubitz. Jak pani słyszy - uśmiechnąłem się - nadzieję

.moje pokładam aż w trzech osobach.

- Nic z tego nie rozumiem - westchnęła.

- Opieram swoje przewidywania na założeniu, że pani wiadomości o istnieniu pamiętnika Konrada von Haubitz są uzasadnione. Johann von Haubitz ukrył ten pamiętnik, aby go ocalić dla potomności. Jeśli to założenie jest prawdziwe...

- Ono jest prawdziwe, proszę pana - stwierdziła stanowczo Hilda. - Matka moja nie miała potrzeby mnie okłamywać lub fantazjować.

- Więc jeśli to założenie jest prawdziwe, to i dalszy ciąg moich przewidywań powinien się potwierdzić.

Proces sądowy ujawnił sprawę pamiętnika. Haubitz musiał się poczuć zaniepokojony. Nie ulega wątpliwości, że Klaus przyjechał razem z wami na jego polecenie, aby patrzeć wam na ręce. Poszukiwania nie przyniosły jednak pozytywnego rezultatu. Haubitz i jego wysłannik mogli odetchnąć z ulgą. Ale pani zdecydowała się szukać dalej. I znowu obudził

się niepokój w Haubitzu, a raczej w jego wysłanniku. Klaus wróci od granicy, jestem o tym głęboko przekonany. Wróci tu nie tylko po to, aby nas obserwować i ewentualnie utrudnić poszukiwania. Ale także i po to, aby raz na zawsze zakończyć tę sprawę, a mianowicie odnaleźć pamiętnik i zawieźć go Haubitzowi, który zapewne nie pragnie żyć w ciągłym lęku, że, być może, ktoś kiedyś ten pamiętnik jednak odnajdzie. Przed Haubitzem stoi otworem kariera polityczna. Musi się zabezpieczyć, aby nic mu jej nie przerwało. Nie chodzi tu tylko o nas. Jest oczywiste, że nasza wyprawa nie będzie ostatnią. Również inni podejmą próbę rozwiązania zagadki szachownicy - różnego rodzaju poszukiwacze skarbów. Ktoremuś z nich może uda się rozwiązać zagadkę, ale zamiast skarbów odnajdzie pamiętnik. Jeśliby odkrył skarb, unikałby rozgłosu, lecz z pamiętnikiem uda się do władz. A wtedy nad Haubitzem znowu zawiśnie groźba.

Dlatego wierzę, że Haubitz musi raz na zawsze usunąć Wiszący nad nim miecz Damoklesa, musi mieć w ręku ten pamiętnik. Tę moją wiarę potwierdza fakt, że równocześnie z wami ktoś trzeci poszukiwał pamiętnika w ruinach obserwatorium, rozbił

tyнки na kominku, strzelał do Wiewiórki, odurzył mnie chloroformem. Liczę także i na to, że Konrad von Haubitz jako były dziedzic tych majątków orientuje się lepiej niż pani i niż -

ktokolwiek z nas w liczbie szachownic i ich rozmieszczeniu. Tych informacji udzielił swemu wysłannikowi i dlatego, być może, ów wysłannik zaprowadzi nas na trop rozwiązania zagadki. Mówiłem to już zresztą pani w młynie Topielec...

- Tajemniczy osobnik grasował w ruinach obserwatorium. Może nie należało wyruszać na tę wycieczkę?

Może trzeba było pozostać w Jasieniu i obserwować ruiny?

- Moje poczynania opierają się na założeniu, że tajemniczym osobnikiem jest Klaus. A on odjechał z Weberem. Jestem pewien, że powróci, ale pozostawił nam trochę czasu, właśnie na tę wycieczkę. Gdy wróci do Jasienia i, stwierdzi, że wyjechaliśmy, zapewne ruszy naszym śladem, aby dowiedzieć się, dokąd zawiodły nas nasze poszukiwania. Zanim się nie upewni, że nie odnaleźliśmy pamiątnika, nie rozpocznie swoich poszukiwań. A od tej chwili ja już go będę obserwował. Jednym słowem, czekam na powrót Klause. On powróciłby do Jasienia nawet wówczas, gdyby pani odjechała do Niemiec wraz z 59

Weberem. Pożegnałby was po przekroczeniu granicy NRD albo pozostałby w Polsce pod byle jakim pretekstem. Na przykład naprawy samochodu.

Teraz musiał odjechać, bo zapowiedział swój wyjazd do Niemiec. Jego niespodziewane pozostanie wzbudziłoby podejrzenie Webera.

- A jeśli to się nie stanie? - zapytała.

- W takim razie moje przewidywania i rachuby wezmą w łeb. Nie odnajdziemy pamiątnika - oświadczyłem.

Przerwaliśmy rozmowę, bo weszliśmy w las, ścieżka rozplynęła się wśród drzew i krzaków, stok góry stał się stromy.

- Mauzoleum Haubitza znajduje się na szczycie. Musimy pójść na przełaj przez las - powiedziała Hilda.

Droga okazała się bardzo-męcząca. Trzeba się było piąć po ostrym zboczu, a nogi grzęzły i ślizgały się w grubej warstwie zeschniętego listowia. Twarze drapały nam gałązki, utrudniające wspinaczkę i czepiające się ubrań. Na domiar złego przez Polanę przeszła chyba ta sama burza, która wyrwała kajak Hildy. Tu i ówdzie zagradzały nam drogę zwalone pnie drzew bukowych, które miały wciąż jeszcze zielone liście, najwyraźniej szy dowód, że obaliły się zaledwie wczoraj. Omijanie przewróconych drzew zajmowało nam sporo czasu. Tylko Sebastian, choć taki mały i na krótkich nóżkach, piął się niestrudzenie, radośnie wymachując kijankowatym ogonem. Nie omijał pni, a po prostu przechodził pod nimi jak pod ogromnymi mostami.

Szczyt wzgórza wyłonił się przed nami niemal nagle. Las przerzedził się raptownie i zobaczyliśmy na polanie prostokątną sylwetkę mauzoleum Hermamna von Haubitz.

Zbudowano grobowiec z materiału, jakiego wszędzie tu było pełno, a więc z granitu. Tylko narożniki i obramowania malutkich okien wymurowano z czerwonej cegły. Mauzoleum miało kształt kwadratowego pudła i strzelisty dach z szarej dachówki, upstrzony kilkoma pseudogotyckimi wieżyczkami. Na żelaznych drzwiach wisiała ogromna kłódka.

Klucz otrzymaliśmy od przewodniczącego gromadzkiej rady narodowej w pobliskiej wsi.

Wręczając go nam przewodniczący oświadczył, że robi to tylko ze względu na Hildę, która była tu uprzednio wraz ze specjalną ekipą z Warszawy, zna więc ją i ma do niej zaufanie, wie bowiem, że chodzi o jakieś bardzo ważne śledztwo w sprawach zbrodni wojennych.

Panowie z polskiej ekipy zapowiedzieli, aby mauzoleum było stale zamknięte.

A jeśli komuś wypożyczy klucz, powinien zanotować nazwisko i adres.

Ze szczytu wzgórza roztaczał się przepiękny widok na pradolinę Odry, na zielone łąki z czarnymi kępami olszyn, na pola uprawne rozciągające się aż hen, do skraju lasu. Tu i ówdzie widziało się niewielkie okrągłe jeziora, przez dolinę wiała się szosa przeskakująca przez kamienne mosty. A wszystko to, nieco przyprószone szarością letniego zmierzchu, dawało wrażenie piękna. Poczulem sympatię do tego miejsca oszpeconego brzydkim, pretensjonalnym mauzoleum.

- A oto i szachownica - stwierdziła głośno Hilda, stając przed żelaznymi drzwiami i zadzierając głowę.

Nad drzwiami widniał herb Haubitzów wykuty w granitowym kamieniu. Herb z szachownicą.

- Zajrzymy do wnętrza, prawda? - zapytał mnie

Tell i nie czekając na przyzwolenie zabrał się do otwierania kłódki, co nie było sprawą łatwą.

A my staliśmy przed mauzoleum z zadartymi do góry głowami i w milczeniu, każdy po swojemu, próbowaliśmy wyjaśnić sobie zagadkę tego znaku. Nasz malutki prezes, pan Kuryłło, musiał bardziej niż inni zadrzeć głowę. Surowy mars na jego czole świadczył o większym niż u innych namyśle, a jego spuchnięta z jednej strony twarz, w zestawieniu z tym srogim marsem, sprawiała komiczne wrażenie. Musiałem się wstrzymać, aby nie 60

parsknąć śmiechem. Lecz uśmiech wymknął się zapewne spod mojej kontroli. Kuryłło łypnął na mnie swoim jednym okiem jak straszliwy cyklop i powiedział surowo:

- Z czego się pan śmieje, he?

- Uśmiecham się do swoich myśli - odrzekłem wykrętnie.

- Trzeba poważnie myśleć, mój panie. Żadne śmichy chichy tutaj nie pomogą. Inaczej figa z

wyjaśnieniem zagadki.

Doktor rzekł otwarcie:

- Patrzę i patrzę na tę szachownicę, aż oczy mnie bolą. Ale ani na jotę nie robię się mądrzejszy.

Fryderyk wzruszył ramionami.

- Stawiam tysiąc dolarów przeciw jednemu, że nie tę szachownicę miał na myśli stary Haubitz.

Zenobia szepnęła do Fryderyka:

- Gdybyśmy byli w Jasieniu, dziś wieczorem moglibyśmy pójść na tańce do pałacu. Tam mają magnetofon i nowe nagrania. Czy pan tańczy hully-gully?

- Nie.

Wtrąciłem się i zapytałem:

- A less-kiss pan tańczy?

- Też nie - pokręcił głową Fryderyk.

Zrobiłem zchmiioną minę. Zenobia odstepiła od Fryderyka, podeszła do mnie i szepnęła:

- Pan Fryderyk na pewno znakomicie tańczy, a zaprzecza tylko przez skromność.

- Dżudo również nie zna - - rozłożyłem ręce.

Zenobia wruszyła ramionami.

- I pan w to wierzy? Pan sądzi, że taki mężczyzna, jak Fryderyk, naprawdę nie zna dżudo?

- Dlaczego pani go nie wypróbuje? Niechże pani zastosuje wobec niego któryś ze swoich Straszliwych chwytów.

- Po co? Przecież sam mi pan powiedział, że mię -wychodzi się za mąż przy pomocy chwytów dżudo.

- Ach tak? - nareszcie zrozumiałem.. - Więc pani nosi się z poważnymi zamiarami.

- Nie jestem wariatką, żeby jeździć z wami i dokonywać bezsensownych poszukiwań. Nie znajdziecie pamiątka. Ale ja znajdę to, czego szukam.

- Wiem. Męża. Fabrykanta zapalniczek.

Zenobia już chciała podstawić mi nogę i przewrócić na ziemię, lecz dostrzegła moje pełne współczucia spojrzenie skierowane na Fryderyka.

- Co się panu stało? Dlaczego pan tak na niego, patrzy? - zapytała z niepokojem.

- Żal mi go. To chyba okropne i-nieć za żonę kobietę, która zna dzudo - powiedziałem i czmychnąłem do mauzoleum.

Tell właśnie uporał się z kłódką i otworzył żelazne drzwi.

Zobaczyliśmy tonące w półmroku duże pomieszczenie, przypominające celę więzienną z dwoma zakratowanymi okienkami. Posadzkę ułożoną z kwadratów szarych i czarnych zaścielały zeschnięte liście i sterta nagrabionego w lesie mchu: zapewne nocowała tu kiedyś wycieczka autostopowiczów, którzy nie posiadając namiotów, schronili się w grobowcu przed deszczem lub nocnym chłodem. Na brudnych i poczerniałych od starości ścianach widniały zielonkawoszare zacieki, układające się w fantastyczne wzory i kompozycje, które mogły stać się natchnieniem dla nowoczesnego malarza, oraz napisy w rodzaju: „Byłem tutaj - Karol”, „Kocham Basie”, „Józek z Kielc 1952”, „Frania i Jaś”. Na środku grobowca znajdował się jednolity, kamienny Sarkofag z herbem Haubitzów, a więc znowu z szachownicą. W ścianach znajdowały się głębokie nisze, przeznaczone zapewne na to, aby wstawić w nie figury świętych.

Teraz jednak były one puste, wypełniał je tylko mrok.

I to było już wszystko, jeśli nie liczyć kilkunastu puszek po konserwach, walających się po kątach, i czterech dziur na ścianie, zapewne pozostałości po śrubach, przytrzymujących płytę nagrobka. Takie płyty są łakomym kąskiem dla różnego, rodzaju złodziejasków.

Kradną je nawet ze współczesnych cmentarzy i odsprzedają nieuczciwym kamieniarzom, którzy robią z nich nowe płyty nagrobkowe.

Uwagę naszą skupiła szachownica na sarkofagu.

- Jeszcze jedna - stwierdził doktor i ciężko westchnął. Stało się oczywiste, że również i ta szachownica nie zawiera tajemnicy.

Trzej chłopcy, ruchliwi jak myszki, zagłądali w każdy kąt, opukali kamienny sarkofag.

- Grobowiec to świetne miejsce na ukrycie pamiątki - odezwał się Sokole Oko. - A najlepszym miejscem w grobowcu byłby sarkofag. Może stary Haubitz schował pamiątkę do trumny swojego prapradziada?

Chłopiec mówił po polsku, ale Fryderyk chyba myślał podobnie. Obejrzał sarkofag i potrząsnąwszy przecząco głową, powiedział po niemiecku:

- Do sarkofagu nie włożył pamiątki. To jednolita bryła kamienna. Pięciu ludzi z łomami potrzeba by było, aby ją unieść i przesunąć. A on prawdopodobnie chował pamiątkę sam, nikogo nie dopuszczając do tajemnicy.

Zgodziłem się z Fryderykiem.

- Niedawno, wespół z łódzkimi archeologami, uczestniczyłem w otwarciu płyty grobowej Fritza von Raweneck, który zginął w bitwie polsko-krzyżackiej pod Swieciem i pochowany został w kościele w Żarnowcu w województwie gdańskim. Dla podniesienia i przesunięcia płyty nagrobkowej w posadzce kościoła wezwano kilkusobową grupę specjalistów, kamieniarzy z Gdańska. I bardzo się namozolili przy tej czynności.

A ten sarkofag jest przynajmniej trzy razy cięższy niż płyta nagrobkowa Rawenecka.

Hilda pokiwała głową.

- A mówiłam, że nie ma żadnej nadziei odnalezienia pamiątki? Byliśmy już tu z Weberem, Klausem i polską ekipą śledczą. Wyszliśmy stąd z niczym.

- Chodzimy więc - zaproponował doktor, spoglądając na zegarek. - Już zapada zmrok, a do Morynia, gdzie zaplanowaliśmy nocleg, pozostał jeszcze kawał drogi.

- A może zanocujemy gdzieś tutaj? - rzekła Zenobia.

- W Moryniu czeka na nas wspaniałe jezioro. A tu nie ma wody, ani do umycia się, ani do zagotowania herbaty - odrzekł doktor.

Pojedynczo opuszczaliśmy mauzoleum i pogoniam przez doktora, znikaliśmy w bukowym lesie.

- A jednak mauzoleum to świetne miejsce na ukrycie pamiątnika - powiedziałem do Hildy, po raz ostatni oglądając się na brzydki budynek grobowca. Tell właśnie zamykał drzwi i zawieszał na nich kłódkę.

W lesie rozszczękał się Sebastian, bo Sokole Oko i Wiewiórka skryli się za drzewami i pohukiwali na siebie jak sowy. Kasia piszczała udając ogromny przestach, pies gonił

chłopców. Po chwili Tell przyłączył się do nich i biegł po stromym zboczu, klucząc między drzewami.

Zejście do samochodów zajęło nam tylko kwadrans, gdy na wzgórzu drapaliśmy się chyba z pół godziny.

- Mam dosyć tej wycieczki - buntowniczo oświadczyła Zenobia. - Jestem głodna i marzę o kolacji.

- W Moryniu przyrządzimy kolację - zapewnił ją doktor.

- I napoczniemy puszkę-niespodziankę! - zawołał Tell.

- Puskę-niespodziankę? - zaciekała się Kasia.

Ja również ciekaw byłem, co to za dziwna puszka.

Ale nie było nam dane zaspokoić ciekawości. Doktor zlustrował nasze towarzystwo zgrupowane przy samochodach i oświadczył z trwogą:

- Proszę państwa, znowu nie ma pana Kuryłły.
- Co takiego? Znowu go nie ma? - oburzył się Fryderyk.
- A tak, nie ma wśród nas prezesa - przytaknąłem.

Zenobia załamała ręce.

- Będziemy go szukać, kolacja się odwlecze...

Hilda wyraziła niepokój: - Co się z nim stało? Może spadł do kamieniołomu? Było już mroczno, gdy powracaliśmy...

Chłopcy zachęcali Sebastiana:

- Piesku, pieseczku, szukaj prezesa. Szukaj prezesa...

Sebastian nie chciał szukać, a może nie rozumiał, bo zamiast wziąć się do szukania prezesa, zaczął obszcze kiwać chłopców, przekonany że rozpoczęła się jakaś nowa, świetna zabawa.

Stuknąłem się palcem w czoło.

- Tellu! Czy przed zamknięciem drzwi grobowca upewniłeś się, że tam nikt nie pozostał?

Chłopiec zaczerwienił się.

- Nie, panie Tomaszu. Sądziłem, że wszyscy wyszli.
- Więc on tam siedzi nieboraczek. I znowu pomyśli, że zrobiliśmy to specjalnie, aby mu utrudnić rozwiązanie zagadki,

Zenobia ze złością tupnęła nogą.

- Uważam, że pana Kuryłłę należy zdjąć ze stanowiska prezesa. Zdegradujemy go do funkcji wiceprezesa, a na jego miejsce wybierzemy pana Fryderyka.
- O nie, me! W żadnym razie. Nie zasługuję na takie wyróżnienie! - bronił się Fryderyk.

Doktor wznosił ręce do góry, jak gdyby z nieba oczekiwał pomocy.

- I co teraz pocniemy? My tu gadu-gadu, a ten nieborak siedzi w ciemnym grobowcu.



Trzeba będzie pójść po niego, choć to straszny kawał drogi.

- Niech siedzi do jutra - burknęła Zenobia.

- To moja wina i ja pójdę uwolnić pana Kuryłkę - ofiarował się Tell. Dwaj pozostali chłopcy natychmiast solidarnie oświadczyli się z gotowością towarzyszenia przyjacielowi.

- Teraz? Kiedy już zrobiło się ciemno? - zaniepokoił się doktor. - Nie puszczę was samych, bo jeszcze wpadniecie do kamieniołomu. Idę z wami.

I poszli w czwórkę. Fryderyk roześmiał się:

- To już trzeci raz nasz prezes znajduje się w opałach. W rumach młyna wpadł do dołu, na wieży kościoła pogryzły go osy, a teraz grozi mu nocleg w grobowcu. Dużo bym dał za to; aby zobaczyć jego minę, gdy zostanie uwolniony - machnął ręką"- nic ,za to nie muszę dawać. Wystarczy, że pójdę z nimi.

I pobiegł za chłopcami.

- Ja też! Ja też! - krzyknęła Zenobia i puściła się za Fryderykiem.

Pozostałem na dole z Hilda, Kasią i Sebastianem.

Wieczór był wyjątkowo ciepły, położyłem "się na trawie obok wjazdu do kamieniołomu i w milczeniu obserwowałem, jak skrada się noc. Hilda usiadła obok mnie i zapaliła papierosa.

Kasia goniła Sebastiana wokół samochodów, a w końcu zmęczyła się i ukucnęła przy nas.

Pies położył się na jej kolanach.

- Mamy do obejrzenia jeszcze tylko jedną szachownicę - przerwała milczenie Hilda. - Jutro pojedziemy do Lubiechowa Górnego. I co dalej?

- W dalszą drogę poprowadzi nas Klaus- odrzekłem.

- Podziwiam pańską pewność siebie. Boję się jednak, że te rachuby mogą zawieść. A jeśli okaże się, że Klaus jednak nie wróci?

- Przecież musi być jakaś logika wydarzeń. Klaus powinien powrócić do Jasienia, bo w przeciwnym razie nie miałby w ogóle sensu jego przyjazd do Polski.

- Przybył tu z nami jako obserwator z ramienia gazety, w której pracuje.

- Bardzo wątpię, czy tę gazetę stać na tak kosztowne wyjazdy korespondentów. Ktoś inny musiał opłacić misję pana Klause. Oczywiście, Haubitz. Opłacił jednak przyjazd wcale nie po to, aby Klaus był tu obserwatorem. Wyznaczył mu zadanie odnalezienia i przywiezienia pamiętnika.

- Może Klaus wypełnił misję i odjechał z pamiętnikiem?

- Mam prawo sądzić, że jego cała uwaga skupiła się na ruinach obserwatorium. Jeszcze w noc poprzedzającą jego wyjazd krążył po ruinach z elektryczną latarką i szukał

szachownicy. Widziałem go przecież, śledziłem.

- Może tonie był Klaus?

- A któż inny posługiwałby się chloroformem? Czy zauważyła pani, aby Klaus oddalał się od was, przepadał na dzień lub dwa w tym czasie, gdy jeździliście po okolicy, szukając znaków szachownicy?

- Nawet na godzinę nie oddalił się od nas. Dopiero wówczas, gdy zapadła decyzja powrotu do Niemiec, pojechał samotnie do Topielca. I to dwukrotnie, jak pan wie.

- Właśnie na tym opieram swoje przekonanie, że Klaus tu powróci.

- Chciałabym bardzo, aby spełniły się pana przewidywania.

Znowu nastąpiło między nami milczenie, które przerwałem pytaniem:

- Klaus dobrze mówi po polsku. Czy nie opowiadał, gdzie tak dobrze nauczył się polskiego języka?

- Klaus jest volksdeutschem z Łodzi. W czasie wojny pracował w niemieckiej policji kryminalnej na terenie Polski. Nie krył się z tym przed nami, twierdził, że wojnę spędził w sposób, który mu nie przynosi wstydu: ścigał bandytów, złodziei, morderców.

- A więc Klaus był detektywem? - ucieszyłem się. - Pani nawet nie wyobraża sobie, jak bardzo ta informacja potwierdza moje domysły. Właśnie takiemu człowiekowi Haubitz mógł

powierzyć zadanie odnalezienia pamiętnika,

Zamyśliłem się. W głowie aż roiło mi się od różnego rodzaju hipotez i podejrzeń.

Tymczasem ze wzgórza zeszedł milczący pochód. Na przedzie kroczył pan Kuryłło. Minę miał

ponurą, głęboka zmarszczka przecinała mu czoło, jego oko łypała wrogością.

Zapewne podczas otwarcia drzwi mauzoleum straszliwie zwymyślał chłopców, bo trójka moich przyjaciół czym prędzej umknęła do Wartburga doktora. Fryderyk również stracił swój pogodny nastrój, a Zenobia przypominała rozgniewaną osę.

- A pan? Nie raczył pan nawet przyjść mnie uwolnić! - huknął na mnie prezes.

Bezceremonialnie usadowił się w wehikule na miejscu zajmowanym dotąd przez Hildę.

Niemka usiadła więc na tylnym miejscu, razem z Kasią i Sebastianem.

Nie otrzymał ode mnie odpowiedzi, co jeszcze bardziej go rozsierdziło.

- Mam już dosyć tej podróży - powiedział z gniewem. - Zrzekam się funkcji prezesa. Jutro wracam do Jasienia i na własną rękę zajmę się poszukiwaniami. Nie tylko że nie okazujecie mi pomocy, lecz jeszcze rzucacie mi kłody pod nogi.

- To przecież nie nasza wina, że pan ciągle gdzieś przepada - usiłowałem ułagodzić jego gniew.

- Bzdura! - krzyczał na mnie Kuryłło. - Chcecie rozwiązać zagadkę szachownicy, ale do każdego z tych miejsc, gdzie są szachownice, wpadacie jak na piwo. Ja tę sprawę traktuję serio. Muszę każde takie miejsce dokładnie spenetrować. A wy, zamiast czekać na mnie cierpliwie, odstawiacie drabinę albo zamykacie drzwi i odchodzicie w najlepsze.

- Należało uprzedzić chłopców, że pan pozostaje w grobowcu jeszcze przez chwilę...

- Przeszukiwałem dokładnie wszystkie nisze, a wy tylko w tę i z powrotem wchodziliście i wychodziliście z grobowca. Nawet nie zauważyłem, kiedy zamknęliście drzwi. A powinniście byli obserwować mnie z szacunkiem. I uczyć się.

- I co dało przeszukanie nisz?

- Nic nie dało. Ale mogło. I dlatego należało to zrobić; Ale mam dosyć współpracy z wami, zrzekam się prezesostwa. Szukajcie dalej sami - srożył się „postrach gastronomii”.

Wtrąciła się Hilda:

- Nie ma powodu do gniewu, skoro mauzoleum nie kryje tajemnicy. Wydaje mi się, że jedynym miejscem, które nadawało się do ukrycia pamiątki, są ruiny obserwatorium.

- Bzdura! - wciąż gniewał się Kuryłło. - Obserwatorium należy wyeliminować z poszukiwań, ponieważ stary Haubitz ukrył tam skarby, które potem usiłował wykraść Platzek. Nie wierzę, aby kładł dwa grzyby w barszcz. Powiadam wam, że drugim dogodnym miejscem na ukrycie „rzeczy najcenniejszej” było mauzoleum. I to przyszło mi natychmiast do głowy, gdy zobaczyłem grobowiec.

- Ale przecież skrytki pan nie odkrył.

- No to co? Mój tok rozumowania był jednak logiczny. Was zaś nie było stać nawet na logiczne rozumowanie. Ot, co - zakończył dyskusję Kuryłło.

A dla mnie było oczywiste, że Kuryłło chciał pozostać sam w grobowcu. Pomyślałem: „Jest nieuczciwy, zawarł z nami spółkę, ale szuka na własną rękę. A ponadto odgrywa jeszcze komedię”.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

W MORYNIU • LEGENDA O WIELKIM RAKU • CO BĘDZIE JADŁ SEBASTIAN? •

KONDUKT ŻAŁOBNY \* NOCNA WYPRAWA NA GÓRĘ ZAMKOWĄ • KTO STRZELAŁ?

Moryń jest miasteczkiem, które do dziś zachowało swój średniowieczny charakter. Niewielki ten gród otaczają zbudowane na przełomie XIII i XIV wieku mury miejskie. W najbliższym sąsiedztwie miasteczka rozlewa się głębokie, największe w tej okolicy jezioro, Morzycko.

Ta głębia działała zawsze na wyobraźnię ludzką, stąd zapewne powstały liczne legendy o potworach zamieszkujących na dnie jeziora, a między innymi legenda o wielkim raku.

Podobno w księżycową noc z wieży starej bazyliki w Moryniu można dostrzec wędrującego po dnie raka potwornej wielkości, długiego na kilkanaście metrów, ze szczypcami wielkimi jak ramiona buldożera.

Przed wieloma wiekami na górzystym półwyspie wrzynającym się w Morzycko znajdował

się słowiański gród obronny, a na miejscu dzisiejszego Morynia rozciągała się wioska rybacka i stała świątynia Światowida. Nie były to spokojne tereny, słowiańskich gospodarzy tych ziem nieustannie atakowały nadciągające z nad pobliskiej Odry oddziały niemieckich najeźdźców. W krytycznych dla Słowian chwilach - jak mówi legenda - posąg Światowida w chrampie moryńskim wzywał na pomoc ogromnego raka z jeziora. Posłuszny wezwaniu bożka rak wypełzał z głębin i w swym grubym pancerzu uderzał na zakutych w stal rycerzy niemieckich, siejąc popłoch i spustoszenie.

W X wieku obszary te włączył do Polski Mieszko I.

Na miejscu pogańskiego chramu zbudowano wtedy kościółek, a później wzniesiono pozostałą aż do czasów współczesnych późnoromańską bazylikę z granitu, o potężnej bramie przejazdowej. A tam, gdzie ongiś był gród słowiański, stanął zamek obronny - i do dziś, na wzgórzu zamkowym na półwyspie, w cieniu starych drzew widać resztki murów i dawnych budowli.

Dopiero w XIII wieku ziemie te opanowali Niemcy.

W pierwszej połowie XV wieku rządili tu przejściowo nawet Krzyżacy. Ale ślady polskości przetrwały przez wiele stuleci, wraz ze słowiańskimi nazwami miejscowości, rzek i jezior, wraz z pozostałościami dawnych budowli, z legendami, które mówią o prawych dziedzicach 65

- Polakach. Tu i ówdzie zresztą, a szczególnie na pobliskiej Ziemi Lubuskiej, doczekali powrotu do macierzy i autochtoni - stara polska rdzenna ludność.

Niestety, przyjechaliśmy nad jezioro Morzycko już w nocy i zwiedzanie Morynia trzeba było odłożyć na dzień następny. Postanowiliśmy rozłożyć się obozem po drugiej stronie góry zamkowej, na łączce nad jeziorem, w odległości około dwu kilometrów od miasteczka.

Miejsce to wydawało nam się ustronne, a zarazem malownicze, gdyż z jednej strony znajdowały się wody Morzycka, a z drugiej - w kępie drzew na wzgórzu- kryły się ruiny starego zamku, i.

Wyjęliśmy z samochodów namioty, śpiwory,- koce, materace, - kuchnie gazowe, turystyczne puszki z żywnością. Oczywiście nie wszyscy dysponowali odpowiednim sprzętem campingowym, więc zgodnie z ustalonym rano porządkiem, ja miałem spać w wehikule, Fryderyk w swym fordzie, a doktor w Wartburgu. Swój namiot oddałem Hildzie, w namiocie Fryderyka zamieszkać miała Zenobia z Kasią i Sebastianem, pan Kuryłło w namiocie doktora, chłopcy w swym starym harcerskim namiociku.

Wszedł księżyc i zrobiło się prawie tak jasno, jak w pochmurny dzień. Noc była ciepła, nikomu nie chciało się spać. Męska część wycieczki zajęła się ustawianiem namiotów, kobieca zaś przyrządzała kolację. Pracowaliśmy szybko i sprawnie, wkrótce nad brzegiem jeziora stał rząd namiotów i w tym samym ; czasie przygotowana została kolacja. Najdłużej trwało rozstawianie namiotu Fryderyka, był to bowiem prawdziwy pałac o dwóch skrzydłach, połączonych czymś w rodzaju werandy. Nasze namiociki były kopciuszkarni w porównaniu z tym „królem namiotów", jak go

nazwali chłopcy.

Wreszcie zasiedliśmy do kolacji.

- Uważam, że jutro warto zwiedzić Moryń, a potem na krótko można by wpaść do Cedyni -

powiedział doktor, gdy zebraliśmy się przy składanym stoliku, który woził ze sobą Fryderyk.

- Wyczytałem w przewodniku, że za Cedynią można wyjść na wzgórze, z którego brat Mieszka I, Czibor, zaatakował zwycięsko wojska margrabiego Hodona.

- A ja proponuję przy okazji odwiedzić Siekierki - wtrąciłem. - W Siekierkach wojsko polskie forsowało Odrę w drodze na Berlin. Obejrzeć tam można przepiękny cmentarz wojskowy.

- A szachownice? - burknął nasz prezes. - Zachowujecie się jak na krajoznawczej wycieczce, a tu chodzi o poważną sprawę. Zdaję na się, że najlepiej zrobię, jeżeli odłączę się od was i będę poszukiwał na własną rękę.

- Z Siekierk jest niedaleko do Lubiechowa, do szachownicy - zauważył doktor, rozkładając atlas samochodowy. - Zdążymy zwiedzić Cedynię i Siekierki, skoczymy do Lubiechowa, a zanocujemy nad Jeziorem Żabim. Zgadzacie się ze mną?

- Zgadzamy się - przytaknęliśmy mu spieszenie, bo oto Zenobia i Hilda podały na stół kolację.

Jedliśmy chleb z masłem, jajecznicę, pomidory, popijaliśmy herbatę.

- Znakomita kolacja - nieustannie chwalił Fryderyk, który zachowywał się zawsze jak prawdziwy dżentelmen.

Tylko Sebastian był innego zdania. Obwąchał miseczkę z jajecznicą i odszedł od niej z miną wielce wzdąrdliwą.

- Ten pies doprowadza mnie do szału - rozzłościła się Zenobia, grożąc Sebastianowi próżną patelnią.  
- Na urlopie ciągle mamy z nim kłopoty. Jest strasznie wybredny.

- W domu je tylko surową wołowinę - skarżyła się Kasia. - A jak mu się jej nie da, to potrafi głodować przez kilka dni. Trzeba mu będzie dać trochę wędzonego boczku - otworzyła swoją puszkę z zapasami i odkrajała Sebastianowi kawałek boczku.

- Ja wiem, na co Sebastian ma wielki apetyt - stwierdził Tell. - Na niespodziankę Wiewiórki.

- Co to za niespodzianka? - zaciekała się Kasia.

- Tajemnica... - odpowiedział Wiewiórka.

- Czy nie za dużo tajemnic? - powątpiewał doktor.

- Wiewiórka nie chce otworzyć swojej puszkę turystycznej - zdradził jego tajemnicę Sokole Oko. -

Trzyma w niej jakieś smakołyki. Mówi, że gdy przeżyjemy najbardziej fantastyczną przygodę, to on wtedy wyda ucztę Lukullusa.

- A co kryje się w tej puszcze?- zainteresowałem się.

- Właśnie nie wiadomo - rzekł Tell. - Dlatego nazwaliśmy ją puszką-niespodzianką. Mnie się wydaje, że Sebastian chciałby zajrzeć do tej puszkę. Widzisz, Wiewiórka, on poszedł w stronę naszego namiotu.

Jeszcze przez dłuższą chwilę żartowaliśmy z puszkę niespodzianki, a potem chłopcy wzięli się do mycia naczyń w jeziorze. Pozostali członkowie naszego Związku zajęli się swoimi sprawami. Noc była niezwykle ciepła i bardzo widna. Kasia zaproponowała chłopcom nocną wycieczkę na wieżę kościoła w Moryniu, z której podobno zobaczyć można legendarnego raka. Ale doktor i Zenobia zabronili im tego. Doktor zalecał chłopcom wypoczynek, oni jednak woleli bawić się w Indian atakujących nasz obóz. Kasia odgrywała rolę białej squaw, a jej jedynym obrońcą stał się Sebastian. Wkrótce jednak ta zabawa znudziła się im i pobiegli gdzieś, pozostawiając w obozie tylko Kasię.

Ja i Hilda poszliśmy się kąpać w jeziorze, a gdy wyszliśmy na brzeg, w naszym obozie nie było nikogo.?

Nawet Kasi i Sebastiana. Mimo że minęła już jedenasta w nocy, całe towarzystwo poszło gdzieś na spacer, zapewne w stronę góry zamkowej, która w świetle księżycy malowniczo rysowała się w granatowym tle nocnego nieba.

Przebrałem się w pidżamę i wzięłem się do rozkładania siedzeń w wehikule. Hilda narzuciła na siebie szlafrok i paląc papierosa obserwowała, jak blask księżycy igra na ledwo dostrzegalnych falach ogromnego jeziora.

Raptem usłyszałem tupot kroków i do obozu wpadł zdyszany Tell. Dojrzał mnie i zatrzymał się. Z trudem opowiadał gwałtownie łapiąc oddech.

- Stało się nieszczęście, panie Tomaszu.. Niech pan weźmie latarkę i biegnie na górę zamkową.

Chwyciłem z tylnego siedzenia elektryczną latarkę. Tell skoczył do mego namiotu i także wybiegł z latarką.

- Mów, proszę cię, mów - chwyciłem go za ramiona, bo tak był przejęty tym, co się tam gdzieś stało, że nawet nie wyjaśnił mi niczego.

- Sebastian - wykrztusił Tell. - Sebastian... zdechł!

- Co?

- A tak. Zdechł. Pewnie przez ten przeklęty boczek.

- Rany boskie! - złapałem się za głowę. - Biedna Kasia!

I co sił w nogach pobiegłem za Tellem, który wielkimi susami sadił w. stronę góry zamkowej.

Biegnać natknęliśmy się na powracającą ze spaceru Zenobię.

- Czy nie widzieliście Fryderyka? - zapytała, zanim zdołaliśmy wyjaśnić, dokąd i dlaczego biegniemy. - Wydawało mi się, że Fryderyk poszedł na górę zamkową, ale go nie spotkałam.

- Sebastian zdechł! - wrzasnął w odpowiedzi Tell i pobiegł dalej.

Po kilkunastu krokach wpadliśmy na pana Kuryłłę.

To było już w kępie drzew porastających górę zamkową.

Wbiegliśmy na ścieżkę między drzewa i wtedy zza krzaków wyłonił się nasz prezes.

Rozpędzony Tell uderzył go głową w pierś i razem z panem Kuryłłą fiknął wielkiego kozła.

- - Jezus Maria, biją! - krzyknął prezes. - Ratunku, biją!

Podniosłem go z ziemi, przeprosiłem w imieniu Tella i własnym.



- Stało się nieszczęście, Sebastian zdechł -- tłumaczyłem nasze nieostrożne postępowanie.

- Zdechł? Otruty? Czyżby ktoś otruł go jajecznicą? - w jedynym oku prezesa dojrzałem przerażenie.

Dotknął ręką swojego brzucha i powiedział ze strachem:

- Tak jest. Ta jajecznica była trująca. Odczuwam w żołądku jakiś ciężar.

- Pies nie jadł jajecznicy, lecz boczek! - zawołał chłopiec.

Oko Kuryłły błysnęło radośnie.

- A więc on jadł boczek? To dobrze. To bardzo dobrze. Bo już mi się zdawało...

Nie mieliśmy czasu słuchać jego wynurzeń. Tell ruszył ścieżką, a ja podreptałem za nim, nasz prezes zaś skierował się do obozu.

Nie uszliśmy daleko. Z nieprzeniknionego cienia drzew wyłonił się żałobny kondukt. Na przedzie kroczył Sokole Oko, na wyciągniętych rękach niosąc martwego Sebastiana, a za nim szła płacząca Kasia. Zamyleał kondukt pochlipujący Wiewiórka, który ronił łzy nie bacząc, że powinien zachować się jak dorosły mężczyzna.

Objąłem dziewczynkę ramieniem, starając się dodać jej otuchy. I tak powróciliśmy do obozu, w ciszy i smutku. Dogonił nas doktor, bo - jak się okazało - i on odbył spacer na górę zamkową. Chciał obejrzeć Sebastiana, ale Kasia nie pozwoliła, histerycznie piszcząc:

„Nie ruszajcie mojego Sebastiana! Nie ruszajcie mojego pieska”, i odebrała zwłoki psa od Sokolego Oka. Rycząc wniebogłosy zaniósła je sama do obozu i położyła ostrożnie przed swoim namiotem. Chłopcy nakryli Sebastiana kocem.

W obozie był już Fryderyk, zapalił lampkę campingową i postawił ją w sąsiedztwie okrytego kocem pieska. Usiedliśmy wianuszkami dookoła. Kasia wciąż płakała i ten jej płacz ścisnął nas za gardło.

Chłopcy skryli się poza zasięgiem światła lampy, żeby nie widać było ich oczu.

Podejrzewałem, że i oni mieli wielką ochotę do płaczu. Nawet Zenobia pociągnęła parę razy nosem.

Byłem ciekawy, jak wyglądały okoliczności śmierci Sebastiana, bo przecież jeśli pies struł się boczkiem, to dziwne było, że zdechł tak nagle.

Chciałem tymi wątpliwościami podzielić się z Kasią, ale ona ciągle płakała i nie śmiałem drażnić jej pytaniami.

- To była bardzo sympatyczna psina - odezwał się doktor.

- Tak jest - podchwycił Fryderyk. - Nie tylko miła, ale i bardzo piękna psina.

Kuryłło westchnął i rzekł filozoficznie:

- Nikt, ani człowiek, ani pies, nie zna swego dnia i swej godziny. Ot, biega po świecie takie stworzenie, skacze, szczeka, raduje się życiem, i raptem, jak nożem uciął. Marność, marność wszystko.

- Ach, jaki to był odważny pies - stwierdził Sokole Oko.

- I jak pilnie węszył - dorzucił Wiewiórka.

Zenobia dodała:

- Wybredny był. Byle czego nie chciał zjeść. Jajecznicą wzgardził, a boczek zapewne mu zaszkodził.

Kasia zachlipała:

- Po co ja mu dałam ten boczek? Gdybym wiedziała, że to się tak skończy, nigdy bym tego nie zrobiła...

- Niestety, nie jestem weterynarzem -- usprawiedliwiał się doktor - i trudno mi wyjaśnić to smutne wydarzenie...

- Bardzo lubiłam Sebastiana - szepnęła Hilda.

Tak rozmawialiśmy, a przed nami nakryty kocem leżał na trawie biedny piesek. Pod kocem rysowało się jego długie ciało i wystawał ogon podobny do kijanki. Kasia ciągle popłakiwała, raz ciszej, to znów głośniej. I przez ten jej płacz czuliśmy się jeszcze gorzej.

- A może jednak pozwolisz, Kasiu, że ja obejrzę twego pieska? - nieśmiało rzekł doktor.

- Och, nie, nie ruszajcie go! - krzyknęła rozpaczliwie Kasia.

- Tak, tak, niech spoczywa w spokoju - przytaknął Kuryłło.

Wtem wystający spod koca ogon - poruszył się.

W lewo, a później w prawo. Sebastian zamerdał ogonem, drgnął pod kocem i po chwili zaczął spod niego wypełzać jak długa liszka. .

Byliśmy tak zdumieni, że nikt z nas> nie powiedział ani słowa.

W napięciu i ciszy oglądaliśmy to zmartwychwstanie.

Pies wylazł spod koca, przeciągnął się, ziewnął, wysunął z pyska czerwony język i oblizał nim swój czarny nos.

- Przecież ten pies żyje! - wykrzyknął wreszcie doktor.

Tell z dezaprobatą pokiwał głową.

- Oj, tato, tato. Przecież widać, że on żyje. Sądziłem, że jako lekarz powinieneś stwierdzić to wcześniej od nas...

- Nie jestem weterynarzem - oburzył się doktor. - A zresztą wszyscy mnie zasugerowaliście.

Powiedzieliście: pies zdechł, i to na amen .Nawet go dotknąć nie pozwoliliście.

To było jasne, że daliśmy sobie wmówić śmierć psa.

Żaden z nas nawet go dobrze nie obejrzał. Było ciemno, Sokole Oko niósł psa, Kasia płakała tak rozpaczliwie, że śmierć Sebastiana wydawała się stwierdzona.

Potem chłopcy nakryli psa kocem... ;

- To wszystko przez Kasię - burknął gniewnie Wiewiórka. - Zobaczycie, że ta dziewczyna napyta nam kiedyś okropnej biedy.

- Trą la la, mam cię w nosie - Kasia chwyciła Sebastiana w objęcia i skakała z nim po obozie.

- A to ci historia - roześmiał się Fryderyk.

Hilda powiedziała rozsądnie:

- No dobrze, ale co mu było? Zemdlął? A może to była zapaść?

- Nie jestem weterynarzem - zaczął doktor. - Wydaje mi się jednak, że psy, podobnie jak ludzie, również mogą dostać ataku serca i ulec chwilowemu zamroczeniu...

Doktor rozpoczął wykład o chorobach serca. Podniosłem się z trawy i podszedłem do Kasi.

Poprosiłem ją, żeby przerwała swoje radosne skoki z Sebastianem w objęciach.

- Zaprowadź mnie na miejsce, gdzie znalazłaś psa - szepnąłem do niej.

Niepostrzeżenie wymknęliśmy się z obozu i szybkim krokiem poszliśmy w kierunku góry zamkowej.

Po chwili jak spod ziemi wyrosli obok nas trzech chłopcy.

- Panie Tomaszu - rzekł Sokole Oko - przyrzekł nam pan współpracę, a tymczasem próbuje pan działać na własną rękę. Myśli pan, że nie domyślaliśmy się, co pan zamierza zrobić?

- A co pan zamierza zrobić? - napytała Kasia,

- Ech, ty nic nie rozumiesz - pogardliwie machnął ręką Wiewiórka.

- Przecież chyba nie uwierzysz, że twój pies jest chory na serce? - zachichotał Tell.

- Oj, Tellu, czyżbyś drwił ze swego ojca? - udałem oburzenie.

- Nie. Ojciec jest dobrym lekarzem - tłumaczył Tell. - Ale niestety nie jest dobrym detektywem.

A w tej sprawie nie lekarza, tylko detektywa potrzeba.

Zatrzymaliśmy się na skraju gęstwiny drzew i krzaków porastających górę zamkową.

- Opowiedz nam dokładnie całą historię -- poprosiłem Kasię. - Poszłaś na spacer z Sebastianem. Tak było?

- Tak, proszę pana - zaczęła opowiadać dziewczynka. - Było ciemno, więc nie chciałam się zbytnio oddalać od obozu. Znalazłam jednak ścieżkę przez krzaki, którą doszłam do wąwozu otaczającego ruiny zamkowe.

- To nie wąwóz/tylko stara fosa - sprostował Sokole Oko.
- Wszystko jedno, nie wtrącaj .się. Dnem wąwozu...
- Fosy!
- Niech będzie: fosy. Więc jej dnem biegła również ścieżka. Pomyślałam, że pójde nią kilka krokówi zaraz wrócę.
- I nie bałaś się? - powątpiewał Wiewiórka. - Tam jest ogromna gęstwa krzaków. Jest noc...
- Trochę się bałam. Ale Sebastian tak wesoło biegł ścieżką, że pomyślałam: tu nie ma nikogo, a on w porę zwietrzy niebezpieczeństwo...
- Owszem - zgodził się Sokole Oko - zwietrzy niebezpieczeństwo. Tylko że podkuliwszy ogon pod siebie, pierwszy da drapaka. To straszny tchórz,
- A niedawno mówiłaś co innego - przypomniała mu Kasia. - Wszyscy się zachwycaliście, jaki to mądry, odważny piesek.
- Bo on wtedy nie żył - stwierdził Tell. - A o umarłych należy mówić albo dobrze, albo wcale.
- Do rzeczy, do rzeczy, proszę państwa - wtrąciłem się.
- Bo oni myślą, że i ja jestem bardzo bojaźliwa - poskarżyła się Kasia.
- Jesteś umiarkowanie odważna - powiedziałem, żeby załagodzić sprawę. - Powiedzmy szczerze, nie bałaś się iść tam o zmroku, ponieważ wiedziałaś, że przed chwilą na górę zamkową poszła na spacer ciocia Zenobia, szukając pana Fryderyka. A także pobiegli tam chłopcy.
- Tak - przyznała Kasia. - Wiedziałałam, że oni są gdzieś w pobliżu. Spodziewałam się, że Sebastian zaraz ich zwęszy i spotkam się z nimi. Szłam więc tą ścieżką, szłam, i wcale się nie bałam. W pewnej chwili usłyszałam, że ktoś mówi po niemiecku...
- Nie rozpoznałaś głosu?
- To był głos męski. Sebastian zaraz zaczął szczekać i rzucił się w tamtą stronę. Głos dobiegał z góry, zza resztek muru. Pies szybciotko pomknął przez krzaki, a ja przedzierałam się znacznie wolniej. Jeszcze przez chwilę dobiegało mnie szczekanie psa. I raptem ono urwało się. Gdy weszłam na górę, Sebastian leżał bezwładnie obok muru zamkowego. Jeśli chcecie, mogę was tam zaprowadzić...
- A mężczyzny nie dostrzegłaś?
- Zniknął. Zresztą jak ujrzałam martwego Sebastiana, rozplakałam się. Wzięłam psa na ręce i zesłam na ścieżkę. A tutaj spotkali mnie chłopcy...

Na górze zamkowej odezwał się puchacz. Aż drgnęliśmy, tak nas zaskoczył ten złowróżbny głos. Puchacz zahuczał głucho raz i drugi. W krzakach coś załomotało, rozległ się cichy pisk. Jakieś wielkie ptaszysko, może ów ponuro skrzeczący puchacz, złapało mysz lub inne stworzonko.

I znowu nastąpiła cisza.

- Prowadź nas, Kasiu - zdecydowałem.

Zagłębiliśmy się w krzaki. Ścieżyna zawiodła nas na dno stromego wąwozu, który kiedyś na pewno był fosą łączącą się z jeziorem.

- To chyba tutaj było - Kasia zatrzymała się.

Strumień światła mojej latarki powędrował na lewo, tam gdzie nad stromą skarpą sterczały resztki muru zamkowego.

- Niech pan spojrz na Sebastiana - szepnęła zdławionym głosem.

Do tej pory pies kręcił się koło naszych nóg, dwa razy o mało nie przewróciłem się przez niego. A teraz stał na ścieżce z podkulonym ogonem, ze zjeżoną na karku sierścią i warcząc spoglądał na skarpe.

- Tam pewnie ktoś jest - półgłosem rzekł Sokole Oko.

- Wątpię. Sebastian przypomniał sobie, że na górze przydarzyło mu się coś nieprzyjemnego.

Uwolniłem się od ręki dziewczynki i wlałem w krzaki. Skarpa była stroma, kilkakrotnie ześliznąłem się po trawie wilgotnej od nocnej rosy. Wreszcie złapałem się wystającego z ziemi korzenia i znalazłem się na górze. Poniżej mnie szeleściły krzaki, to Kasia i chłopcy wspinali się moim śladem.

Na górze mniej rosło krzaków i rzadziej stały drzewa. Tuż przy resztkach muru znajdowała się nieduża trawiasta polanka. Oświetliłem to miejsce rozproszonym światłem. Pochyliłem się i zacząłem oglądać ziemię.

- Ja wiem; czego pan tu szuka - odezwał się Tell.

Chłopcy również pochylili się ku ziemi. Metr po metrze, nie śpiesząc się, uważnie badaliśmy trawę w pobliżu resztek muru.

- Jest! - krzyknął nagle Sokole Oko. Niemal jednocześnie zauważyliśmy leżący w trawie mały przedmiot, który zabłysnął w świetle latarki.

Przyklęknałem i podniosłem z trawy metalową tulejkę.

- Tak - powiedziałem.. - Właśnie to spodziewałem się tutaj znaleźć.

- My także domyślaliśmy się, co się tu stało - pochwalił się przed Kasią Wilhelm Tell.

Metalowa tulejka przechodziła z rąk do rąk i wreszcie trafiła do Kasi.

- Co to jest? - dziwiła się. - Nic z tego nie rozumiem. Skąd wiedzieliście, że to będzie tu leżało?

Wiewiórka wyprężył się dumnie i powiedział z pogardliwą wyrozumiałością:

- To jasne, że ty tego nie możesz zrozumieć. Ale nic się nie martw: ja ci wyjaśnię. Do twojego Sebastiana ktoś strzelał z pistoletu gazowego. Do mnie też strzelano. Nie tutaj. W

ruinach obserwatorium.

- Dlaczego? Czy istnieją gazowe pistolety? - nie dowierzała dziewczynka.

Opowiedziałem Kasi, jak wygląda taki pistolet i na czym polega jego działanie.

- Nie wiemy, kto strzelał - tłumaczyłem jej cierpliwie. - Wydaje mi się jednak, że wiemy, dlaczego strzelano. Sebastian okazał za daleko posuniętą ciekawość. Ci, co tu rozmawiali, nie chcieli mieć świadków, obawiali się, że za psem nadejdiesz ty, Kasiu.

Wiedzieli, że zatrzyma cię widok martwego pieska, a oni będą mogli oddalić się spokojnie.

Schowałem do kieszeni metalową tulejkę.

- Myślę, że dobrze zrobimy, jeśli tę sprawę pozostawimy na razie w tajemnicy. Proszę cię, Kasiu, nie mów o tej historii nawet swojej cioci Zenobii.

- Dlaczego? - zdumiała się dziewczynka. - Przecież tego chyba nie zrobił nikt z nas. Z naszego obozu - poprawiła się.

- A czy możesz być tego pewna? - rzekł Sokole Oko.

Odpowiedzi nie było. Kasia kiwnęła głową.

- Dobrze. Nie pisnę ani słowa. Przysięgam.

Wracając do obozu rozmyślałem: „Kasia słyszała mówiący po niemiecku męski głos. Ten ktoś chyba nie rozmawiał ze sobą, a więc była tu i druga osoba. Mogła nią być zarówno kobieta, jak i mężczyzna. Biegając na górę zamkową napotkaliśmy Zenobię i pana Kuryllę.

Ale na spacer poszedł Fryderyk, a także doktor”.

Tylko doktora wykreśliłem z listy podejrzanych.

Zanim położyłem się spać w wehikule, zajrzałem do namiotu Hildy i w milczeniu podałem jej metalową tulejkę.

- Co to jest? Dlaczego mi pan to daje? - zapytała.

Opowiedziałem jej o zdarzeniu na górze zamkowej.

- A więc moje przewidywania sprawdziły się wcześniej, niż przypuszczałem - powiedziałem z triumfem. - Klaus powrócił i strzelił do psa ze swojego pistoletu, bo nie chciał, aby go Kasia zobaczyła. Jednego tylko nie przewidziałem: że on ma wśród nas współnika, który go poinformował o naszych dotychczasowych poczynaniach.

- Kogo pan podejrzewa?



- Na liście podejrzanych mam trzy osoby: Fryderyka, Kuryłłę i Zenobię. Tym trzem osobom musimy odtąd poświęcić nieco więcej uwagi.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

CO DZIEŃ RYZYKUJESZ ŻYCIEM • POGOŃ NA JEZIORZE • PAN KURYŁŁO BŁAGA O

POMOC • DZENTELMEN CZY GANGSTER? •

OŚWIADCZENIE PREZESA • ILOŚĆ PODEJRZANYCH NIE PRZECHODZI W JAKOŚĆ \*

### PODEJRZENIA I HIPOTEZY

Ranek nad jeziorem Morzycko wstał zimny, ale pogodny. Najwcześniej chyba obudziła się Hilda, bo gdy poziewując i przeciągając się wylażłem o siódmej ze swego wehikułu, ona już kąpała się w jeziorze. Zamierzałem iść w jej ślady, lecz najpierw postanowiłem się ogolić.

Wyjąłem z neseseru brzytwę, skórzany pasek do ostrzenia, lusterko i mydło.

- Ranny z pani ptaszek - powitałem nadchodzącą od jeziora Hildę.

- O, pan Kuryłło wstał jeszcze wcześniej - odpowiedziała i zniknęła w namiocie, aby mokry kostium zmienić na sukienkę Z „pałacu” wyrzała rozczochrana głowa Zenobii.

Chwilę obserwowała, jak ostrzę brzytwę na pasku, potem w pidżamie podeszła do wehikułu i usiadła na masce.

- Już od rana lubi pan mocne wrażenia - rzekła spoglądając na błyszczące ostrze brzytwy. -

Podobno tylko prawdziwi mężczyźni golą się brzytwą. Inni używają żyłek i maszynek elektrycznych. Ale jeśli?

chodzi o pana, to zasada się nie sprawdza. Pan nie jest prawdziwym mężczyzną, nie zna pan dżudo.

Podsunałem Zenobii lusterko.

- Niech się pani przejrzy i zapala chęcią uczesania się. Bardzo będę rad, gdy pani pójdzie gdzieś dalej.

Potrzebuję odróbmy spokoju. Ta brzytwa nazywa się: „Co dzień ryzykujesz życiem”.

- A ja właśnie chciałam zobaczyć, jak pan się zatnie. W obozie jest lekarz. Ja też umiem robić opatrunki.

O, Fryderyk się obudził! - zawołała radośnie.

Z forda wyszedł Fryderyk. Miał w ręku piękną elektryczną maszynkę do golenia i włączył ją do specjalnego gniazdką w samochodzie. Maszynka zawarczała jak mucha.

- Wprawdzie Fryderyk nie goli się brzytwą - stwierdziłem - ale jest cudzoziemcem i fabrykantem zapalniczek.

Zenobia wzruszyła ramionami. Zeskoczyła z maski mego wozu i poszła się uczesać.

Przestałem zwracać uwagę na to, co się dzieje w obozie. Pochłonęło mnie golenie. Była to czynność wymagająca silnych nerwów i stanowiła dla mnie coś w rodzaju porannej przygody, pełnej niebezpieczeństw.

I już niemal dobrnąłem do szczęśliwego końca, kiedy usłyszałem przenikliwy okrzyk Fryderyka:

- O, tam, tam!... Ucieka! Ucieka! Łajdak!

Drgnąłem i ostrze brzytwy ciachnęło mnie w policzek.

- Ukradł łódkę i ucieka! - wołał Fryderyk, wskazując palcem kogoś na jeziorze.

Spojrzałem w tym kierunku i zobaczyłem, że ku drugiemu brzegowi zmierzała łódka, w której wiosłował człowiek objuczony plecakiem. Często oglądał się za siebie, jak gdyby obawiał się pogoni. Jeszcze raz się obejrzał na nasz obóz i wtedy go rozpoznałem. Był to pan Kuryłło.

- Uciekł... Uciekł... - powtarzał z wściekłością Fryderyk. - Uciekł ten łajdak...

Nigdy dotąd nie widziałem Fryderyka tak rozwścieczonego. Powiedziałbym: nigdy dotąd nie widziałem go nawet rozgniewanego. Zawsze zachowywał się jak dżentelmen, był miły, uprzejmy, przyjazny, często uśmiechał się. A teraz - w tym jednym momencie - ukazał mi

się zupełnie odmienny. W stronę odpływającego Kuryłły rzucał wściekłe słowa, zaciskał pięści w bezsilnej złości.

Raptem skoczył do swojego samochodu. Gwałtownym ruchem szarpnął drzwiczki.

Usłyszeliśmy szum silnika i ford potoczył się wzdłuż brzegu.

- Panie Fryderyku! Panie Fryderyku! - zawołała Zenobia i pobiegła za autem. Ale Fryderyk nie słyszał czy też nie chciał słyszeć jej wołania. Samochód jeszcze przyśpieszył.

Zdumiony stałem obok swego wehikułu. W jednej ręce trzymałem brzytwę, w drugiej miałem ręcznik.

Nie zdawałem sobie sprawy, że po zranionym policzku leci krew i ścieka mi na szyję.

Wyglądałem, jakby mi ktoś gardło poderznął.

- Boże drogi - jęknęła na mój widok Hilda.

- Bandaże! Bandaże! Dajcie bandaże! - krzyknął doktor i zniknął w namiocie, gdzie znajdowała się apteczka.

Tymczasem pan Kuryłło podpływał już do drugiego brzegu. Od skraju lasu dzieliło go najwyżej dwadzieścia metrów. Nagle ogromny ford Fryderyka, wzięwszy rozpęd, stoczył się ze skarpy wprost do wody. Ciężka maszyna z wielką siłą upadła w jezioro i niemal całkowicie skryła się pod wodą, robryzgując wokół wysokie fale.

- Jezus Maria! - rozpaczliwie pisnęła Zenobia.

Ale ford już wynurzył się jak piłka gumowa. Ukryta w nim turbina zaczęła pracować i samochód płynął przez jezioro, pozostawiając za sobą białą smugę piany.

Zenobia skakała cna brzegu i klaskała w ręce.

Odrzuciłem ręcznik i brzytwę. I tak jak stałem, w pidżamie, w pantoflach rannych, z zakrwawioną szyją - skoczyłem na siedzenie swego wehikułu. Zapaściłem silnik i skierowałem się w stronę jeziora. Gdy mijalem Zenobię, ta przestała klaskać i szarpnęła drzwiczki z drugiej strony auta. Jechałem wolno, więc zdołała wskoczyć na miejsce obok kierowcy.

- Proszę jechać wzdłuż brzegu. Tam dalej jest droga - rozkazywała. - Ominiemy jezioro i dogonimy ich w lesie.

Nic nie odpowiedziałem, tylko przyśpieszyłem biegu.

Zbliżaliśmy się do skarpy i wtedy Zenobia zorientowała się, że zamierzam zrobić to samo, co Fryderyk.

- Niech się pan nie wygłupia! - wrzasnęła z przerażeniem.

Nie zdążyła nic więcej powiedzieć. Wehikuł runął na taflę jeziora. Podobnie jak samochód Fryderyka, na krótką chwilę (niemal całkowicie zniknął pod wodą).

Wzburzone jezioro nakryło nas, wewnątrz auta zrobiło się ciemno. Błyskawicznie puściłem w ruch turbinę.

Jeszcze kilka sekund i wokół nas pojaśniało, wzburzone fale kołysały się poniżej okien.

Wehikuł wypłynął na jezioro.

Zenobia ochłoneła z przerażenia.

- To z pana taki numer? - powiedziała z trudem łapiąc oddech.

Puściłem w ruch wycieraczki i oczyściłem szybę z wody. Zobaczyliśmy, że Kuryłło już wyszedł na

brzeg.

Obejrzał się, dostrzegł płynącego forda i mój wehikuł.

Wtedy natychmiast dał nura w krzaki nadbrzeżne i zniknął nam z oczu.

Fryderyk był już na środku jeziora i zapewne robił wszystko, żeby jak najszybciej znaleźć się na drugim brzegu. Ale jego samochód był szeroki i ciężki, przód stawiał duży opór fali.

Inaczej przedstawiała się sprawa z moim wehikułem, który miał kształt czółna. Gdy jeździł na kołach, wydawał się przez to śmieszny i brzydki, na wodzie jednak rozwijał większą szybkość.

Przycisnąłem pedał gazu, turbina zaczęła obracać się z taką prędkością, że rozbita woda tworzyła za samochodem mgiełkę maleńkich kropelek. I mój pokraczny wehikuł powoli doganiał ogromnego forda.

Fryderyk obrócił głowę w naszą stronę. Nie widziałem jego twarzy, ale wyobrażam sobie, jak bardzo był zdumiony. Zdumienie znajdowałem także na twarzy Zenobii. .

- Skąd ma pan ten samochód?- zapytała.

- Ze składnicy złomu - odparłem bez namysłu.

Wzruszyła ramionami.

- Pański samochód potrafi to samo, co ford Fryderyka, ale nie jest nowoczesny - stwierdziła.

- Nie zamieniłbym się z Fryderykiem. Widzi pani, doganiamy go...

Z wyraźnym oburzeniem obserwowała, jak mój pojazd dopędza forda.

Prawie równocześnie dobiliśmy do brzegu i wyjechaliśmy na piaszczystą łąkę.

Ford wpadł w nadbrzeżne krzaki łamiąc je jak potężny czołg. Przedarł się przez nie i stanął na piaszczystej drodze, która zbliżała się w tym miejscu do jeziora i znowu ginęła w lesie.

Pojechałem śladem forda przez połamane krzaki i stanąłem na drodze obok niego.

Fryderyk uchylił okna, rozkazująco zawołał do mnie:

- Niech pan jedzie w lewo, a ja w prawo! Nie wiadomo przecież, w którą stronę uciekł ten łajdak!

Nawet nie zdążyłem zapytać: „A właściwie, dlaczego my go ścigamy?” Zenobia otworzyła drzwiczki wehikułu i w biegu wskoczyła do forda. Odjechali drogą w prawo i zniknęli między drzewami.

Zrobiłem obrót kierownicą i pojechałem w lewo, rozglądając się na wszystkie strony.

Znajdowałem się w rzadkim sosnowym lesie, nikt nie mógł się tu skryć przed moim wzrokiem. Nie upłynęło kilka minut, gdy zobaczyłem przed sobą idącego z plecakiem pana Kuryłkę. Zdawał sobie sprawę, że nie schowa się przede mną. W każdej chwili mogłem go dopędzić wehikułem.

Ja na jego miejscu potrafiłbym chyba uciec. O czterdzieści metrów dalej przecinał las tor kolejowy, na którym grupa robotników zmieniała podkłady. Właśnie przejeżdżał tamtędy pociąg, zwolnił biegu i ostrożnie przebywał miejsce robót. Gdyby pan Kuryłko wskoczył na stopień wagonu, nie zdołałbym

go schwytać. Ale Kuryłło zapewne bał się ryzykować.

Zresztą może nie potrzebował uciekać?

Przystanął na drodze, a ja podjechałem do niego i wysiadłem z wehikułu.

- Panie Kuryłło - odezwałem się - co się stało?

Popatrzył na mnie z przerażeniem.

- Właśnie, co się stało? Czy ktoś pana zranił?

Uświadomiłem sobie, że widzi mnie w pidżamie z zakrwawioną szyją. To nie on, ale ja wyglądałem, jakbym uciekał po straszliwej bójce.

- Golilem się brzytwą. Nagle Fryderyk krzyknął, że pan ucieka, i zaczął pana gonić po jeziorze. Chciałem wyjaśnić tę sprawę i popłynąłem za nim. Co się stało, panie prezesie?

Dlaczego pan ucieka?

Kuryłło otarł pot z czoła. Twarz miał czerwoną ze zmęczenia, spuchlizna nieco zmaląła i w maleńkiej szparze ukazało się drugie oko.

- Nie uciekam - stwierdził. - To znaczy w pewnym sensie uciekam.

- W jakim sensie pan ucieka? - zapytałem uprzejmie. -

- W jakim sensie? W żadnym sensie. Po prostu wracam do Jasienia.

- Ale dlaczego pan uciekał?

- Czy ja uciekałem? - nagle oburzył się Kuryłło i przybrał swoją dumną postawę. Zadarł do góry głowę i wyprężył pierś. - Jestem wolnym człowiekiem. -

Nie brałem z wami ślubu. Mogę od was odejść, kiedy mi się żywnie podoba. Przez was pogryzły mnie osy, zamknęliście mnie w grobowcu, mam was dosyć.

- Pan Fryderyk sądził... - zacząłem. I raptem dostrzegłem, że w panu Kuryłle nastąpiła gwałtowna przemiana. Opuścił głowę, zgarbił się, zmałał, skurczył.

- Właśnie przez niego uciekam. To straszny człowiek. On nas wszystkich zamierza wystrychnąć na dudków.

- Co takiego? Ma pan jakieś podstawy, aby tak mówić?

- Czy pan jest ślepy? Czy pan nie widzi, że to nie żaden fabrykant zapalniczek, tylko najzwyklejszy gangster? Ubzdurał sobie, że ja jeden odkryłem klucz do zagadki starego Haubitza. I wczoraj wieczorem przyłożył mi pistolet do głowy. Tak, proszę pana. Prawdziwy pistolet. Powiedział mi: „Ta banda idiotów nic nie rozumie z tej zagadki, ale pan mi wygląda na człowieka, co już tę zagadkę rozszyfrował. I pan mi tę tajemnicę wyjawia”.

- „Ta banda idiotów”, tak powiedział? - poczułem się dotknięty.

- Tak rzekł, a nie inaczej - potwierdził Kuryłło. - Dumny jestem, że mnie właściwie ocenił.

Ale z drugiej strony boję się go, bo zagadki nie rozszyfrowałem, a on mnie gotów zastrzelić.

Więc wolę zniknąć z jego pola widzenia

Wzruszyłem ramionami. Wypowiedź Kuryłły wydawała mi się bezsensowna i pełna sprzeczności. Ale jedno było pewne: Kuryłło z jakiegoś powodu bał się Fryderyka i uciekał

przed nim. Moje przewidywania sprawdziły się. Kuryłło okazał się straszliwym tchórzem.

Nie wyjaśniło to jednak w niczym kwestii, dlaczego Fryderyk straszył Kuryłłę.

Zobaczyliśmy między pniami drzew nadjeżdżającego forda. Kuryłło zbladł, potem niewiele myśląc otworzył drzwiczki wehikułu, schował się za przednie siedzenie i nakrył kocem.

- Niech mu pan powie, że uciekłem - szepnął, wysuwając głowę spod koca. - Niech mu pan powie, że wskoczyłem do pociągu, który przejeżdżał przez las.

Znowu wzruszyłem ramionami. Nie miałem pojęcia, jak powinienem postąpić. Ale żal mi się zrobiło Kuryłły. Jego przerażenie wydawało się szczere.

Nadjechał Fryderyk i zatrzymał wóz tuż za wehikułem.

- Gdzie jest Kuryłło? - zawołał, wyskakując z samochodu.

Drugimi drzwiami wyszła również Zenobia.

Pokazałem palcem pociąg, który minął remontowany odcinek toru i gwizdząc przeraźliwie, przyśpieszył biegu. Jeszcze chwila i zniknął nam z oczu. W lesie łomotało ciężkie i zamierające dudnienie jego kół.

Fryderyk zacisnął pięści.

- I pozwolił mu pan uciec?

Rozłożyłem ręce.

- To wolny człowiek, proszę pana. Powiedział, że ma dość naszego towarzystwa, zdecydował się nas opuścić i pojechał pociągiem do Jasienia.

- Tak bez pożegnania? - idiotyczną uwagę zrobiła Zenobia.

- Zapewne nie przywiązuje wagi do konwenansów- odrzekłem.

- Więc pan z nim rozmawiał? - wybuchnął gniewem Fryderyk.-- Pan z nim rozmawiał, miał go pan w ręku i pozwolił mu pan odjechać? Jest pan głupcem.

Słyszysz pan? Jest pan głupcem. Czy pan nie rozumie, że ten człowiek kryje jakąś tajemnicę? Podśluchiwał i obserwował nas w Topielcu, pozwolił się pozostawić na wieży kościoła, dał się specjalnie zamknąć w grobowcu. Należało go zmusić do pozostania i powiedzenia nam prawdy.

- Nie, mój panie - przecząco pokręciłem głową. - Być może zachowanie pana Kuryłły było dziwne. Być może posiada on jakąś tajemnicę. Ale skoro nie chciał jej nam wyjawić, nie mamy prawa zatrzymywać go siłą. To wszystko, co mam panu do powiedzenia.

To mówiąc otworzyłem drzwi wehikułu, dając mu wyraźnie do zrozumienia, że mam dosyć tej rozmowy i zamierzam wracać do obozu.



- A ja go dogonię i- warknął Fryderyk.

Zacisnął usta i zasiadł za kierownicą forda.

- Pani Zenobio - rzekł uprzejmie - proszę o zaopiekowanie się moim namiotem. Podała mi pani swój adres. Wracając z Jugosławii odwiedzę panią w Warszawie i odbiorę namiot. Ja także mam dosyć towarzystwa ludzi, którzy wykazują tak wielką tępotę. Myślałem, że rozwiążemy ciekawą zagadkę kryminalną.

Ale skoro nie chcecie mi dopomóc w tej sprawie, nie mam tu już nic do roboty.

Zenobia patrzyła na niego oczami pełnymi rozpacz.

- Więc pan... pan już wyjeżdża? - zająknęła się.

- Jestem szczęśliwy, że mogłem panią poznać. Na pewno odwiedzę panią w Warszawie. A tymczasem do zobaczenia.

Dwa razy pocałował ją w rękę. Znowu był układny.

Ale zdążyłem się przekonać, że gdy jest zły i coś się dzieje nie po jego myśli, wtedy opada z niego maska dobrego wychowania.

Po minucie ford przejechał tor kolejowy. Wreszcie zasłoniły go drzewa. Wtedy otworzyłem drzwi swojego samochodu. Spod koca wylazł pan Kuryłło.

Zenobia aż jęknęła na ten widok.

- Więc... to tak? Oszukaliście Fryderyka?

- Tak jest - odrzekłem bezczelnie. - Oszukałem Fryderyka. Świadomie wprowadziłem go w błąd.

- To tak? To tak? - powtarzała Zenobia. - Jest pan współprzestępcą! - krzyknęła na mnie.

Pan Kuryłło wysiadł z samochodu i odpowiedział Zenobii z wielką godnością:

- Pragnę pani zwrócić uwagę, że nie jestem przestępcą. Bo nie jest przestępstwem mieć dosyć czyjegoś towarzystwa i odejść bez pożegnania. A ja, proszę pani, nie chciałem dłużej przebywać w towarzystwie tego farbowanego Szwajcara, który, nie wiadomo dlaczego, upatrywał we mnie jakiegoś podejrzanego osobnika.

Odpowiada mi towarzystwo pana Tomasza i dlatego zwróciłem się do niego z prośbą o udzielenie mi azylu w jego samochodzie. Jestem mu za to niezwykle zobowiązany.

- Dlaczego pan powiedział: farbowany Szwajcar? - oburzyła się Zenobia. - Pan obraził

Fryderyka. Ja na to nie pozwolę.

Wydawało mi się, że za chwilę jeden z jej straszliwych chwytów dżudo położy na ziemię pana Kuryłę.

Zenobia nie ośmieliła się jednak na taki czyn wobec starszego pana.

- Szwajcarzy - stwierdził z godnością pan Kuryłło - słyną z tego, że cenią własną wolność i umieją uszanować czyjąś wolność. A on postępował jak gangster. Dlatego uważam, że jest farbowanym Szwajcarem. Chciał mnie zmusić do tego, abym wbrew woli przebywał w jego towarzystwie.

- Jesteście obydwaj w znowie - burknęła Zenobia.

Lekceważąco machnąłem ręką.

- Jedziemy do obozu. Proszę wsiadać, drzwi zamykać.

- Z panem gotów jestem pojechać choćby na koniec świata - odpowiedział Kuryłło i wsunął się na tylne siedzenie.

Rada nierada, również i Zenobia weszła do wehikułu.

Fryderyk był już daleko, a ona - w pidżamie - nie mogła paradować po lesie.

Przejrzałem się w lusterku wstecznym. Wyglądałem okropnie z tą zakrwawioną szyją.

Gdyby jakiś przechodzień zobaczył mnie w tej chwili, z pewnością pomyślałby, że brałem udział w straszliwej zbrodni.

- Tak jest - Zenobia przytaknęła moim myślom. - Wygląda pan jak kurczak, który uciekł spod noża kucharki. Zaczynam rozumieć dziwną decyzję Fryderyka.

Po prostu rzuca się w oczy, że pan należy do jakiejś okropnej szajki. Razem z panem Kuryłłą.

- O, za pozwoleniem - rozgniewał się Kuryłło. - Czy pani chce zasiąść na ławie oskarżonych pod zarzutem zniesławienia?

- Pani Zenobio - odezwałem się uprzejmie - przyznaję się do wszystkiego. Jestem przygwożdżony pani zdumiewającą przenikliwością. Przyznaję się do wielu przestępstw.

Polegają one na tym, że zaciałem się brzytwą, wsiadłem w pidżamie do własnego wehikułu, pozwoliłem w swoim samochodzie ukryć się panu Kuryłlle, a także okłamałem Fryderyka.

Zastanawia mnie jednak, że przenikliwość pani okazuje się zawodna wobec osoby Fryderyka.

- A cóż mu pan może zarzucić?

- Fryderyk, jak twierdzi, jest turystą, który w drodze do Jugosławii przyjechał do Jasienia.

Czy nie zastanawia pani, że ten turysta tak ochoczo zajął się sprawą tajemniczej szachownicy? Dla wyjaśnienia zagadki gotów był nieomal zrezygnować z podróży do Jugosławii, a przynajmniej znacznie tę podróż opóźnić.

- Nie widzę w tym nic podejrzanego. Chciał zabawić się w detektywa. Poza tym -  
zarumieniła się - pan zapomina, że mu się podobam.

Chrząknąłem ironicznie.

- Zdążyłem zauważyć, że to on się pani podoba.

Bo jeśli chodzi o niego, nie dostrzegłem, aby-rozstanie z panią sprawiło mu przykrość.

- Pan jest... pan jest... wstrętny!

- Pani pozwoli, że będę mówił dalej. Nie zastanawia pani, że ten zwykły turysta, fabrykant zapalniczek, posiada zadziwiający samochód?

- Pan ma taki sam wóz - odparła mój atak.

- Czy pamięta pani, jak on wyjechał z wody na brzeg i wpadł w krzaki? Przebył je swym wozem jak czołg. Przednie zderzaki jego forda to prawdziwe tarany na grubych sprężynach. Jestem przekonany, że z taką samą łatwością, jak łamał krzaki nadbrzeżne, potrafi swoim wozem rozbić nawet gruby mur. To nie wóz turysty, lecz gangstera.

- W takim razie pan również jest gangsterem.

- Zgoda. Ale proszę jednakową miarę przykładać i do mnie, i do niego. Jeśli ja wydaję się pani podejrzany, to Fryderyk powinien być podejrzany po stokroć.

Za naszymi plecami odezwał się Kuryłło:

- Pan Tomasz ma rację. Fryderyk jest gangsterem.

Powiem państwu całą prawdę. Wyznam, dlaczego uciekłem z obozu. Tak, powiem całą prawdę. Wczoraj wieczorem Fryderyk zaprosił mnie na spacer na górę zamkową.

Poprowadził mnie w najodleglejszy zakątek i nagle wyciągnął z kieszeni pistolet...

- Pistolet?- przeraziła się Zenobia.

- Powiedział do mnie: „Mów całą prawdę, mnie nie oszukasz. Innych możesz bujać, ale nie mnie. Mów, co wiesz o tajemniczej szachownicy”. Zacząłem mu wyjaśniać, że nic nie wiem o zagadce. Ale on był nieubłagany, groził pistoletem i wciąż powtarzał, że on zwykł prosto dążyć do celu, nie będzie się ze mną bawić w żadne ceregiele. Jeśli do jutra nie zdradzę mu tego, co wiem o zagadkowej szachownicy, to on się ze mną rozprawi.

- Nie wierzę panu - oświadczyła Zenobia. - Fryderyk jest dżentelmenem. Pan tę historię wymyślił teraz, na poczekaniu. Przy waszej rozmowie nie było świadków.

- Niewiele brakowało, a mielibyśmy świadków - powiedział Kuryłło. - Sebastian nas wywęszył, Fryderyk obawiał się, że pies sprowadzi na nas Kasię i inne osoby, co uniemożliwiłoby mu grożenie mi pistoletem. Mruknął: „Mam dosyć tego bydlaka. Niech pan patrzy. Z panem zrobię to samo”. I strzelił do Sebastiana.

- Strzelił? - ironicznie roześmiała się Zenobia. - Nie słyszeliśmy strzału. Pewnie spudłował, bo Sebastian żyje.

- Strzelał do niego z pistoletu gazowego, proszę pani. Sebastian padł jak martwy. Kasia go odnalazła i ryknęła płaczem, a my uciekliśmy. Rozstając się ze mną, Fryderyk zagroził mi:

„Do jutra, panie Kuryłło. Jutro pogadamy trochę inaczej”. Więc dziś rano wołałem cichaczem wymknąć się z obozu.

- I pan te bajki wmawia nam na serio? - szydziła Zenobia. - Nigdy nie słyszałam o pistoletach gazowych. Sebastian najadł się boczku albo miał atak serca.

Wyjąłem z kieszeni mosiężną tulejkę.

- Znalazłem ją na miejscu, gdzie padł Sebastian.

Jest to łuska naboju pistoletu gazowego.

- Powinienem chyba o tym wszystkim powiadomić milicję - powiedział pan Kuryłło.

- Milicję? - powątpiewałem. - Już chyba raczej Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami. Nie ma świadków, że Fryderyk groził panu pistoletem, a więc ona może bez trudu zaprzeczyć oskarżeniu. Po drugie: posiadanie pistoletu gazowego nie jest u nas zakazane. Jedyne, co zdołalibyśmy mu udowodnić, to fakt, że strzelił do Sebastiana. Ale tą kwestią, jak zaznaczyłem, winno się zająć Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami.

Jeszcze raz wyjąłem z kieszeni łuskę naboju gazowego.

- To już druga, którą w ostatnim czasie oglądam - rzekłem, zerkając uważnie na twarz Zenobii i pana Kuryłły. - Pierwszą znaleziono w ruinach starego obserwatorium. Było to przed niespełna dwoma tygodniami. Dużo bym dał za to, aby wiedzieć, kiedy Fryderyk naprawdę przyjechał do Polski. ;

- Wiem, o czym pan myśli. Mogę panu udzielić pełnej informacji - nieoczekiwanie odezwała się Zenobia. - Byłam ciekawa, jak wygląda szwajcarski paszport i Fryderyk mi go pokazał.

Zauważyłam w paszporcie datę i godzinę wjazdu Fryderyka do Polski. On przekroczył

granice w ten sam dzień, kiedy i pan przybył do Jasienia. Fryderyk jest człowiekiem uczciwym.

Tak kłócąc się dojechaliśmy do obozowiska, gdzie oczekiwano nas z niepokojem.

Uwielbienie Zenobii dla Fryderyka, które nie ustąpiło nawet wtedy, gdy okazał się on gangsterem, zirytowało mnie. Byłem tak zły, że nie chciałem nic nikomu wyjaśnić, pozostawiając tę sprawę Zenobii i panu Kuryłle. Wsiadłem z wehikułu, umyłem zakrwawioną szyję, dokończyłem golenia i przygotowałem się do podróży.

W tym czasie zwinięto namioty, a także „pałac” Fryderyka.

Ponieważ zabrakło forda i dalszą podróż mieliśmy odbywać tylko dwoma samochodami, doktor zdecydował, że jego Wartburgiem pojedzie pan Kuryłło, Kasia z Sebastianem i Zenobia. W moim zaś wehikule pomieścić się musiała Hilda i trzech chłopcy.

Przed opuszczeniem brzegów Morzyoka pan Kuryłło złożył nam oświadczenie następującej treści:

- Prawdą jest, że zamierzałem opuścić was bez pożegnania. Powodów do takiego postępuku miałem wiele.

Przez waszą nieuwagę pogryzły mnie osy, zamknęliście mnie w grobowcu Haubitza, gdzie byłbym zginął z głodu i wycieńczenia. Mimo tych wszystkich przykrości wciąż jednak chciałem być z wami i prezesować waszej organizacji. Zdaję sobie bowiem sprawę, że beze mnie nie wyjaśnicie zagadki tajemniczej szachownicy. Miarę złego przebrał jednak Fryderyk Braun, który okazał się najzwyklejszym gangsterem. Chciał przemocą wydobyć ode mnie tajemnicę, której nie posiadam. Nie wiem, może jest on wariatem. Dlatego zdecydowałem się na odejście bez pożegnania. Lecz tak się złożyło, że pan Tomasz zatrzymał mnie w drodze i uchronił przed zemstą Fryderyka, który obraził się i odjechał. W

tej sytuacji mogę pozostać razem z wami i prezesować w dalszym ciągu. Czy zgadzacie się na to?

- Tak! - zawołaliśmy chórem. Tylko Zenobia zaprotestowała:

- Proszę nie nazywać Fryderyka ani gangsterem, ani wariatem.

Potępiającym milczeniem skwitowaliśmy jej uwagę.

Zwiedziliśmy Moryń, a potem wyruszyliśmy do Cedyni. Po drodze opowiedziałem Hildzie o dziwnym zachowaniu się Fryderyka i niewiarygodnych wyjaśnieniach naszego prezesa.

- W tej historii - mówiłem do Hildy "- jedno zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości: na górze zamkowej padł strzał z pistoletu gazowego i świadkiem tego wydarzenia był pan Kuryłło.

Strzał z pistoletu gazowego wskazuje, że oprócz Kuryłły znajdował się tam również Klaus, ale nasz prezes mówił o Fryderyku. Niewykluczone, że byli tam w trójkę: Kuryłło, Fryderyk i Klaus. Może po swym powrocie Klaus postawił Kuryłłemu jakieś stanowcze żądanie, które wyegzekwować miał Fryderyk? Kuryłło nie czuł się na siłach sprostać żądaniom i stąd ta jego ucieczka. :

- Nieustannie zakłada pan jako pewnik, że Klaus musi wrócić, ba, że już wrócił. A jeśli zadzwonię jutro do Frankfurtu, połączę się z Weberem i usłyszę od niego, że Klaus jest w Niemczech? Do tej jednej hipotezy dołącza pan teraz drugą: Fryderyk jest współnikiem Klausea i jednocześnie Kuryłły. A przecież Fryderyk przybył do Jasienia w dniu, w którym postanowiliśmy wracać do Niemiec.

- Klaus zawiadomił Haubitza, że nie potrafi odnaleźć pamiętnika, i Haubitz przysłał tu kogoś sprytniejszego, właśnie Fryderyka, wytrawnego gangstera - odpowiedziałem.

- A Kuryłło? - zapytała Hilda. - Jaka jest jego rola? A Zenobia? Nie powiedział pan o niej, ale domyślam się, że i ją podejrzewa pan o zмовę z Fryderykiem. Wydaje mi się, że w tej sprawie widzi pan zbyt wielu podejrzanych. Ich ilość nie przechodzi w jakość, bo wciąż nie jesteśmy bliżej wyjaśnienia zagadki. Przyznaję, że Kuryłło opowiada dziwne historie.

Ale to nie powód, aby zrobić z niego tajnego współnika Zenobii i Fryderyka, wiązać ich z osobą Klausea.

- Zapomina pani o pistolecie gazowym. Strzelano z niego w obserwatorium i na górze zamkowej.

- Czy to znaczy, że strzelała jedna i ta sama osoba?

W Niemczech Zachodnich w setkach sklepów można nabyć pistolet z nabojami gazowymi.

Dlaczego wyklucza pan możliwość, że Kuryłło powiedział prawdę: na górze zamkowej strzelał Fryderyk. Nazywa go pan gangsterem. Jeśli rzeczywiście jest gangsterem, to prawdopodobnie posiada taki pistolet i mógł z niego strzelić.

Dlaczego sądzi pan, że Fryderyk chciał pana okłamać i jest w zмовie z Kuryłłą i Klausem?

Być może, podobnie jak każdy z nas, wyczuł w postępowaniu Kuryłły coś niejasnego i spróbował wyświecić tę sprawę. Postąpił jak gangster, ale to już zupełnie inna historia.

Należy potępić jego postępowanie, lecz nie widzę powodu, aby tak daleko posuwać się w swych podejrzeniach.

Argumentacja Hildy była bardzo przekonująca. Rozbiła w proch i w pył wszystkie moje hipotezy.

Do Cedyni przyjechałem w ponurym nastroju.

## R Q Z D Z I A Ł T R Z Y N A S T Y

GRÓD NAD WĄWOZEM • ZNOWU FRYDERYK • NA CO PRZYDAJE SIĘ ZNAJOMOŚĆ

DŻUDO • NIEPOKÓJ NAD JEZIOREM ŻABIM •

CZY BOICIE SIĘ STRASZLIWEJ ŻABY? \* NARADA WOJENNA » KURYŁŁO WYJAWIA  
TAJEMNICĘ

W okolicach Pojezierza Myśliborskiego rozciągają się rozległe na kilka kilometrów soczyste łąki, ongiś potężne bagniska. Są tu Żuławy Cedyńskie.

Wielką misę Żuław zamyka łańcuch wzniesień, tak zwane Karpaty Cedyńskie. Jest to wysoki taras o bardzo stromych brzegach tu i ówdzie opadający ostro w dół ku łąkom.

W kilku miejscach Karpaty Cedyńskie przecięte są wąwozami, które stanowią jedyną dogodną drogę ku Odrze. Kto zamknąłby taki wąwóz lub zabroniłby przejazdu, uniemożliwiłby tym samym dostęp w głąb Polski. Zdawali sobie chyba z tego sprawę 79

pradawni mieszkańcy tych ziem, gdy w VII lub w VI wieku przed naszą erą wykorzystali naturalne wzniesienie nad jednym z wąwozów dla zbudowania obronnego grodziska.

W tysiąc pięćset lat później na to samo miejsce zwrócił uwagę książę Mieszko I.

Ten przemyślny budowniczy polskiego państwa, świeżo pokonawszy Wieletoń i Wolinian, a przede wszystkim uporawszy się z największym awanturnikiem owych czasów, grafem saskim, Wichmanem - jak potężnym rygłem postanowił grodem obronnym nad wąwozem zamknąć wrogom drogę do swego kraju. I tak powstał gród, który zwał się ongiś Cedzyną.

Przy jego budowie wykorzystano naturalne wzniesienie - usytuowano gród na trójkątnym cyplu wznoszącym się nad skarpą pradoliny Odry. Ten trójkąt ucięto u nasady głębokim przekopem, a ponadto wykopano głęboką fosę. Otaczał gród wał o konstrukcji drewniane-ziemne j. Koronę wału wzmocniono dodatkowo grubymi polanami drewna i głazami, a dopiero na samym szczycie ustawiono drewniane blanki obronne.

Naukowcy stwierdzają, że gród cedyński świadczy o niezwykłej znajomości sztuki inżynieryjno-wojskowej Polaków z czasów Mieszka I i o niezwykłym rozumie politycznym tego władcy. Gród ten bowiem odegrał ważną rolę w historii Polski, dopomógł Mieszkowi w jego walce o utrwalenie polskiego panowania na Pomorzu i nad Odrą.



Cedzyną nosi teraz nazwę Cedynia. Jest to nadgraniczne miasteczko, liczące ponad tysiąc mieszkańców.

Miejscowe regionalne muzeum prezentuje liczne zabytki znalezione na miejscu dawnego grodu. Oprócz śladów grodziska zobaczyć można w Cedyni ruiny klasztoru cysterek i kościół z wieku XIII oraz XIX-wieczny ratusz. Na wyniosłość, gdzie ongiś stał gród obronny, pną się malutkie, wąskie uliczki starego miasta. Niektóre z nich są przeurocze, stanowią długie, nie kończące się schody.

O historii i urokach Cedyni rozmawiałem z Hildą, schodząc w dół po schodach wąskiej uliczki, ozdobionej starymi latarniami uczepionymi wysoko na murach domów. Obok nas zwartą gromadką szli pozostali uczestnicy naszej wycieczki, nie wyłączając Sebastiana, który wesoło zeskakiwał ze stopnia na stopień.

W dole, na malutkim rynku, otoczyliśmy budkę z lodami. Było upalne popołudnie, więc choć cedyńskie lody nie odznaczały się nadzwyczajnym smakiem, to przecież każdy z nas poprosił o dużą porcję.

Sebastian, który bardzo lubił lody, usiadł przed Kasią na tylnych łapkach, przednie podniósł do góry i, przekrzywiwszy łebek, dopominał się o swoją część.

Przyglądaliśmy się potem, jak pies liże lody, i dlatego nie zauważyliśmy, że główną ulicą nadjechał znany nam ford.

Fryderyk nie zatrzymał się, nawet głową nie poruszył. Minął nas i skręcił w uliczkę prowadzącą na szosę do Siekierok. Pan Kuryłło dopiero w ostatniej chwili uskoczył za budkę z lodami, ale było oczywiste, że jeśli Fryderyk nas dostrzegł, to musiał zauważyć również i Kuryłłę.

- Mówił, że wraca do Jasienia - stwierdziłem głośno. - A tymczasem zjawiał się w Cedyni. W ślad za nami.

- O, wcale nie w ślad za nami - gorąco zaprzeczyła Zenobia. - Nie pamiętam, aby mówił coś o Jasieniu. On zwiedza okolicę, tak jak i my.

- Trzeba go, było zatrzymać i oddać mu namiot - powiedziała Kasia.

- Przypuszczam, że nas widział. Czuje się chyba obrażony i dlatego nie przystanął - rzekła Hilda.

Zakończył dyskusję doktor:

- Proszę wsiadać, odjeżdżamy - zarządził. - Nie zaprzatajcie sobie głowy Fryderykiem. Ma prawo podróżować, gdzie mu się podoba.

Wyjechaliśmy z Cedyni. W wehikule chłopcy zaśpiewali naszą piosenkę z refrenem: Przygodo, gdzie jesteś?

O sobie daj znać.

Przygodo, gdzie jesteś?

Przyjdź, imię swe zdradź.

Przywoływali przygodę, ale ja, choć lubiłem tę piosenkę, nie przyłączyłem do śpiewu.

Wbrew radom doktora zaprzątałem sobie głowę Fryderykiem. Pewien byłem, że wtedy powiedział o powrocie do Jasienia.

Dlaczego więc zjawił się w Cedyni i dokąd teraz pojechał?

Miałem przecucie, że nasze drogi skrzyżują się jeszcze. Fryderyk nie wyglądał na człowieka, który szybko rezygnuje z osiągnięcia swego celu. Wiedziałem, że czeka nas jeszcze wiele przygód. Nie zdawałem sobie tylko sprawy, że będą aż tak niebezpieczne.

Ale na razie nic ich nie zapowiadało. Byliśmy na krajoznawczej wycieczce, asfaltowa szosa biegła u stóp Karpat Cedyńskich, które w tym miejscu zaczynały zbliżać się do Odry. Po lewej ręce mieliśmy stoki wzgórz porośniętych trawą i wrzosem, po prawej zaś rozciągały się łąki. W dali wiła się srebrzysta nitka Odry...

Wartburg zjechał na prawą stronę drogi i stanął. Ja także zatrzymałem się. Tuż przy szosie wznosiła się góra ze stożkowatym kamieniem na szczycie.

- To tam! - doktor wysiadł z wozu i pokazywał ręką na szczyt. - Z tej góry brat Mieszka, Czcibor, uderzył na wojska Hodona. Niemcy przeszli Odrę przez bród w Osinowie i maszerowali do Cedyni. W zasadzkę wciągnął ich Mieszko, który upozorował ucieczkę i schronił się za wałami Cedyni. Rycerze Hodona śpieszyli, aby zdobyć cedyński gród, gdy właśnie z tej góry spadła na nich nawała ukrytych na wzgórzu wojowników Czcibora.

- A więc na górę! Na szczyt! - zakrzyknął Wilhelm Tell.

Góra była stroma, buty chłopców ześlizgiwały się po ścieżce. Ale po paru minutach już wspięli się wysoko i z dołu wyglądali jak to małe muchy wędrujące po pochyłej ścianie.

- My też chyba wejdziemy na górę- rzekł doktor. - Na pewno piękny widok roztacza się ze szczytu.

Pan Kuryłło rzekł z obawą:

- A jeśli ktoś z was dostanie ataku serca? To przecież bardzo wysoko. Nie jesteśmy przyzwyczajeni do wspinaczki.

Zenobia westchnęła:

- Och, gdyby tu był Fryderyk...

- Pani sądzi, że on zaniósłby tam panią na rękach?- zakpiła Hilda.

A mnie nagle ułożył się w głowie żartobliwy wierszyk. Coś mnie podkusiło, żeby go wyrecytować:

Zachciało się raz Zenobii Rzucić swoje stare hobby.

Bo to chyba pachnie nudą Ciągle się zajmować dżudo..

Na tym kończy się limeryk - Jej hobby stał się Fryderyk.

Doktor roześmiał się, pan Kuryłło raczył się uśmiechnąć. Tylko Zenobia nie okazała poczucia humoru. Zacisnęła usta i z groźną miną zbliżyła się do mnie.

- Pan naprawdę myśli, że ja przestałam się zajmować dżudo? - powiedziała, zachodząc mnie od tyłu.

Spodziewałem się ataku. Jak nakazywał podręcznik, starałem się zachować dobrą postawę. Tułów miałem wyprostowany, a nogi znajdowały się w lekkim rozkroku.

Udawałem jednak, że nie zauważam manewru Zenobii. Raptem ona chwyciła mnie z tyłu, próbując zrobić tak zwany „tylny pas”, który miał mnie przewrócić na ziemię.

Zenobia nosiła spodnie. Lewą ręką chwyciłem ją za nogawki na wysokości kolana i zrobiłem obrót w lewo, jednocześnie postawiłem lewą nogę za jej lewą nogą.

Potem już tylko wystarczyło nacisnąć kolanem na jej nogę i ramieniem na ramię...

Nie spodziewała się kontrataku. Do tej pory tak łatwo przychodziło jej przewracać mnie na ziemię.

A teraz tylko chwila i.... jak długa leżała na miękkiej łączce.

- A jednak porzuciła pani swoje stare hobby - stwierdziłem.

Chciałem jeszcze dodać coś złośliwego, lecz zauważyłem, że w czasie upadku jakiś czarny przedmiot wysunął się z kieszeni Zenobii. Był to pistolet, tak zwana „tetetka”, który poznałem po charakterystycznym kształcie.

Zenobia także spostrzegła zgubę. Przekręciła się na trawie w taki sposób, że zakryła sobą pistolet i wsunęła go do kieszeni.

- Pan mnie oszukał - powiedziała aż blada ze złości, podnosząc się z łąki. - Pan zna dzudo.

Nienawidzę pana - syknęła.

Załamam rękę w udanej rozpacz.

- Jakże to tak? Okazałem się stuprocentowym mężczyzną, lecz zamiast zachwyków budzę nienawiść?

- Bo nie wolno mnie oszukiwać! - zawołała. Na -twarz jej wrócił rumieniec. Zauważyłem, że dotknęła ręką kieszeni, jakby upewniając się, czy ma w niej pistolet.

Z góry dobiegł nas radosny wrzask chłopców, ze szczytu wzgórką widzieli oni moje zwycięstwo nad Zenobia. Ich triumfujący wrzask sprawił mi dużą przyjemność. A więc nie poszły na marne ćwiczenia w krzakach nad jeziorem.

Doktor usiłował załagodzić moją kłótnię z Zenobia:

- Proponuję zdobycie góry Czcibora. Pokażemy młodemu pokoleniu, że nie jesteśmy gorsi.

Za mną, do boju!

I pierwszy zaczął się wdrapywać na stromiznę. Poszliśmy za jego przykładem. Gdy wchodziliśmy na górę, łowiłem ukradkiem spojrzenia Zenobii.

Obserwowała mnie, zapewne chcąc z mej twarzy wyczytać, czy zauważyłem zgubienie pistoletu.

Starałem się zachować obojętny wyraz twarzy, lecz wciąż jeszcze nie mogłem ochłonąć ze zdumienia. Pistolet. Prawdziwy pistolet w kieszeni Zenobii?

Drapiąc się na górę, rozmyślałem:

„Fryderyk okazał się gangsterem. Zenobia zachowuje się jak najgłupsza na świecie dziewczyna, której imponują bogaci cudzoziemcy ze wspaniałymi samochodami. Ale ta sama dziewczyna nosi w kieszeni pistolet...”

Doktor stanął na szczycie, obok kamienia z wyrytym na nim napisem pamiątkowym o zwycięstwie nad Hodonem. Ostatni wszedł na wzgórze pan Kuryłło. Sapał głośno, jakby lada chwila miał ducha wyzionąć.

Co chwila łapał się ręką za serce, ale gdy nikt na niego nie patrzył, odejmował rękę od serca i zapominał sapać.

„On też udaje kogoś innego - pomyślałem. - Jest silny i zdrowy”.

Tylko Hilda, doktor, chłopcy i Kasia byli na pewno sobą.

Doktor opowiadał z ogromnym zapalem:

- Widzicie tę wieś nad brzegiem rzeki? To jest Osinów. Tamtędy, przez bród na Odrze, nadeszli niemieccy najeźdźcy, którym nie podobała się wzrastająca potęga polskiego księcia. Prawdopodobnie u przeprawy przez Odrę zaatakowali Mieszka. Ten rzucił się do ucieczki i zamknął się w grodzie w Cedyni. Upojeni zwycięstwem Niemcy ruszyli śmiało drogą, która wije się u stóp tego wzgórza. A tutaj znajdowały się ukryte wojska Czcibora.

One to w pewnej chwili spadły z góry na karki wojsk Hodona, a wówczas z Cedyni pośpieszył na pomoc także i Mieszko. Wciągnięci w zasadzkę Niemcy zostali wybici.

Polska utrwaliła swoje panowanie nad Odrą. Stało się to w roku 972.

Zeszliśmy do pozostawionych na szosie samochodów.

Pojechaliśmy teraz o kilka kilometrów dalej i zatrzymaliśmy się obok wielkiego czołgu stojącego na skrzyżowaniu dróg. Czołg ten przeszedł z polską armią szlak bojowy od 82

Lenino aż do Berlina, teraz zaś jako pomnik-pamiątka strzegł drogi na cmentarz wojenny żołnierzy polskich, którzy polegli na wiosnę 1945 roku, forsując Odrę.

Długo zwiedzaliśmy cmentarz wojskowy w Siekierkach. Odczytywaliśmy nazwiska wyryte na nagrobkach.

Nad cmentarzem wznosił się pomnik, bardzo nowoczesny w kształcie. Przypominał

wielkiego orła, zrywającego się do lotu. Dla każdego z nas było coś symbolicznego w fakcie, że w najbliższym sąsiedztwie miejsca, gdzie Mieszko I pokonał margrabiego Hodona, w tysiąc lat później żołnierz polski znowu w zwycięskiej bitwie sforsował Odrę i ruszył na Berlin, aby wziąć udział w ostatecznym rozgromieniu hitlerowskich Niemiec.

Gdy opuszczaliśmy cmentarz wojskowy, odezwała się Hilda:

- A Konradowi von Haubitz marzy się nowa wojna, nowy marsz za Odrę. Mój ojciec zginął przez niego, ponieważ czymś wstrętnym wydawała mu się myśl o milionach ofiar, które pochłaniała

wojna. I stał się jeszcze jedną ofiarą minionej wojny. Nie należę do żadnej partii, ale przecież choćby przez pamięć na mego ojca musiałam wyciągnąć Haubitzowi brudne sprawy z jego przeszłości. Gdyby odnalazł się pamiętnik, kariera polityczna Haubitzów byłaby skończona. Jego zbrodnica przeszłość odstraszyłaby od niego ludzi uczciwych, których teraz okłamuje. Lecz jeśli wygra ten proces, jeszcze bardziej umocni swoją pozycję.

- Będziemy szukać tak długo, aż pamiętnik znajdziemy- powiedziałem.

Przyjęła moje słowa skinieniem głowy. Domyślałem się jednak, że ona już straciła nadzieję...

Po południu, około godziny czwartej, kamienista droga zawiodła nas do Lubiechowa Górnego. W otoczeniu starych drzew stał tam kościół romański z XIII wieku. Na jego portalu, po lewej stronie - znak Szachownicy widniał wyraźnie, jak nigdzie dotąd.

Obejrzelismy go, a potem wróciliśmy do samochodu. Okazało się, że wszyscy jesteśmy już zniechęceni rozwiązywaniem zagadki, która zdawała się nie mieć żadnego rozwiązania.

Spodziewałem się, że w Lubiechowie Górnym, przy trzecim znaku szachownicy, pan Kuryłło może zdecydować się uchylić rąbka swej tajemnicy. Lecz, podobnie jak i my, spojrzął

na szachownicę bez większego zainteresowania i nie powiedziawszy ani słowa, odszedł do samochodu.

Zauważyłem, że chłopcy ani na krok nie odstępują prezesa. On to również dostrzegł i rozgniewał się:

- Dlaczego chodzicie za mną jak cień? - zapytał.

- Boimy się, żeby pan znowu gdzieś nie zniknął, bo potem cała wina spada na nas.

Kuryłło udobruchał się. Przejrzał się w lusterku i stwierdziwszy, że opuchlizny niemal wcale nie widać, rzekł łaskawie:

- Nie noszę już do was urazy. Myślałem, że mnie pilnujecie, bo podejrzewacie mnie o coś złego, jak ten farbowany Szwajcar. Teraz jednak już wiem, że robicie: to przez troskliwość- i rozsiadł się w samochodzie.

Odprowadziłem Hildę na boki powiedziałem:

- Obejrzelismy ostatnią szachownicę. Czy jest pani pewna, że nigdzie więcej w- tych okolicach nie ma już żadnych innych szachownic?

Wzruszyła ramionami.

- Nie mogę mieć tej pewności. I nie mieli jej również panowie z pomagającej mi ekipy śledczej. Zjeździli oni wzdłuż i wszerz całą okolicę, odwiedzili wszystkie miejscowości związane z Haubitzami, przeprowadzili mnóstwo rozmów i wywiadów na ten temat. Ale trzeba wziąć pod uwagę, że w większości mieszka tutaj ludność napływowa, która nie zna historii rodu Haubitzów i

jakieś tam znaki na starych murach czy kamieniach zapewne uchodzą jej uwagi. Jediną osobą, która z całą pewnością wie o wszystkich szachownicach, jest sam Konrad von Haubitz.

- A więc znowu nie pozostaje nam nic innego, jak czekać, aby Klaus bezwiednie zaprowadził nas na właściwy trop. Lecz jak trafić na ślad Klausea?

Pojechaliśmy nad jezioro Żabie, w Puszcze Piaskową nad Odrą. Droga była tam ciężka, w każdej chwili ryzykowaliśmy połamanie resorów i urwanie tłumika na wystających z ziemi korzeniach. A jednak co jakiś czas na piaszczystych odcinkach drogi znajdowałem ślady jakiegoś Samochodu, który chyba niedawno jechał tędy przed nami.

Gdy stanęliśmy nad jeziorem, u nasady wrzynającego się w wodę półwyspu obrośniętego trzcinami, zaproponowałem doktorowi, żeby zmienił postanowienie i skierował nas na nocleg zupełnie gdzie indziej.

- Dlaczego? - zdumiał się doktor. - To jest piękne i spokojne miejsce.

Chłopcy, Kasia, Hilda i Zenobia również patrzyli na mnie ze zdumieniem. Tylko pan Kuryłło potakująco pokiwał głową.

- Tak, tak. Może lepiej zanocować gdzie indziej. Tu jest bardzo ponuro.

Nie miał racji. Okolice nie wyglądała ponuro. Otaczał jezioro las mieszany, tu i ówdzie złościł się piasek nad wodą. Na ciemnej toni pływały stadka dzikich kaczek, dookoła ani człowieka.

Półwysep świetnie nadawał się na biwak, bo rosła na nim wysoka trawa, a ściana trzcin osłaniała od wiatru. Wystarczyło dwoma samochodami zamknąć nasadę półwyspu, a tworzyło się odosobnione obozowisko.

- Nie podoba się panu tutaj? - wciąż dopytywał się doktor.

Nie bardzo umiałem wyjaśnić, dlaczego chciałem jechać gdzie indziej. Może po prostu - zaniepokoił mnie widok śladów kół samochodowych?

Spróbowałem w żart obrócić swój niepokój.

- Prawdziwy westman - mówiłem- stara się zawsze gubić swój trop. Rozgłosiliśmy, że będziemy nocować nad Jeziorem Żabim. Więc należałoby pojechać gdzie indziej.

- Pan Samochodzik czytał dużo. książek Karola Maya- roześmiał się Wiewiórka.

- Powiedział pan: rozgłosiliśmy. Kogo pan ma na myśli? - zastanawiał się doktor.- Oprócz nas o miejscu naszego noclegu wie tylko Fryderyk. Chyba pan nie przypuszcza, że on zechce tu przyjechać? A zresztą od niego chyba nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo?

- Tu nie jest preria - dodała wzgardliwie Zenobia- a pan niestety nie jest westmanem, tylko...



- Tylko? - spytałem.

- Tylko... panem Samochodzikiem- nie zdołała wymyślić innego przezwiska.

- Tak, tak, tu jest bardzo pięknie! - zawołali chłopcy.

Ich zdanie przeważyło. Wzięliśmy się do pracy. Zaczęliśmy organizować/obozowisko, rozstawiać namioty, szykować posiłek.

Zapadał zmrok. Hilda rzuciła projekt rozpalenia ogniska na półwyspie, co chłopcy podchwycili z wielkim entuzjazmem, i zaraz rozbiegli się w poszukiwaniu suchych gałęzi.

Kasia, .Wiewiórka i Sokole Oko poszli po chrust do lasu, a Tell zbierał na półwyspie suche badyle trzciny, doskonale jako podpałka.

W pewnej chwili przybiegł do nas z twarzą, która wyrażała wielki niepokój.

- Na tym półwyspie ktoś był. Jakiś człowiek - opowiadał. - Siedział ukryty w trzcinach i zapewne obserwował nasz obóz. Gdy zbierając suche badyle, zacząłem zbliżać się w jego stronę, nagle zerwał się i skoczył do jeziora.

- Popłynął na drugi brzeg? - zapytałem.

- Przepadł w jeziorze - odrzekł Tell.

- Jakże to: przepadł? Myślisz, że się utopił? - zdumiał się doktor.

- Zniknął w wodzie. Dał nurka i przepadł - wyjaśnił Tell.

.Zenobia wzruszyła ramionami.

- Zapewne wypłynął gdzieś dalej, ale ty tego nie zauważyłeś. Jest już ciemno.

- Może - zgodził się chłopiec. - Nie widziałem go dokładnie z powodu zmroku. On zresztą znajdował się w dość dużej odległości ode mnie. Dostrzegłem tylko, że coś ogromnego skoczyło nagle do wody i zniknęło mi z oczu. Jestem jednak pewien, że to był człowiek.

Nadszedł Wiewiórka z Sokolim Okiem. Dźwigali suche gałęzie. Usłyszeli opowiadanie Tella i mrugając ku sobie znacząco, trącili się łokciami.

- To jest Jezioro Żabie - powiedział Sokole Oko. - W przewodniku pana doktora wyczytałem, że z tym jeziorem związana jest legenda o ogromnej, straszliwej żabie.

- I Tell zobaczył właśnie tę straszliwą żabę - dokończył Wiewiórka, robiąc w kierunku Kasi bardzo groźną minę.

- O, nieprawda - zaprotestował doktor. - W moim przewodniku nic takiego nie ma.

- Wyczytałem to pewnie w przewodniku pana Tomasza - wykręcił się Sokole Oko.

- W moim przewodniku także nie ma podobnej legendy - stwierdziłem.

- Nie ma? - udał zdumienie Sokole Oko. - W takim razie czytałem o tym zupełnie gdzie indziej.

Tell był oburzony na swoich przyjaciół.

- Przestańcie się wygłupiać. Ja naprawdę widziałem jakiegoś człowieka, który skoczył do jeziora.

- My również widzieliśmy - przytaknął Wiewiórka. - Tylko że to nie był człowiek, a wielka straszliwa żaba. I ona zaraz wyjdzie z jeziora i pożre Sebastiana.

To mówiąc Wiewiórka skoczył jak żaba w stronę niczego niespodziewającego się pieska, który natychmiast pojął, że zaczyna się zabawa, i zaczął uciekać wokół mojego samochodu.

- Proszę pana, oni żartują, prawda? - zapytała mnie Kasia.

- Żartują - przytaknąłem.

Chłopcy przestali gonić Sebastiana. Otoczyli Kasię i chodząc wokół niej, skandowali wierszyk, który ułożyli na poczekaniu:

W tym jeziorze mieszka żaba, Wielka żaba jak pół draba.

Postać ludzka, głowa żabia, Wyjdzie z wody, narozrabia.

Zanim minie noc, do rana, Porwie Kasię, Sebastiana.

Kto się oprze? Każdy słaby.

Czy boisz się takiej żaby?

Tymczasem zapadła noc. Zapaliliśmy lampę campingową i poszliśmy do jeziora myć ręce, bo Zenobia i Hilda już przygotowały kolację. Gdy odnosiłem ręcznik do samochodu, natknąłem się na Wiewiórkę, obciążającego plastrem puszkę niespodziankę.

- Co robisz? - spytałem. - Przygotowujesz przynętę na straszliwą żabę. Szewczyk Dratewka wypchał barana smołą i w ten sposób pokonał smoka. A ty?

- Pan Kuryłło też ma puszkę turystyczną oklejoną plastrem. Wziąłem z naszej apteczki trochę plastra i w ten sposób zabezpieczam puszkę przed ciekawością Sokolego Oka. Bo on, proszę pana, ciągle opukuje ją, obwąchuje. Korci go moja niespodzianka. Jestem pewien, że nie wytrzyma i dobierze się do niej. Teraz już nie będzie mógł zajrzeć do środka.

Zasiedliśmy do kolacji. Noc była mroczna, parna.

Lecz po chwili zerwał się lekki wiaterek i przyniósł chłodny zapach jeziora. Zaszleściły przybrzeżne trzciny. Sebastian od czasu do czasu wybiegał na koniec półwyspu i głośno ujadł. Niepokojące zachowanie się psa chłopcy wykorzystywali, aby straszyc Kasię.

- Słyszysz? On coś czuje, ten twój Sebastian.

W trzcinach czyha wielka żaba.

Straszliwa żaba.

Żaba jak pół draba.

My również przyłączyliśmy się do tych żarcików i kolacja mijiała w wesołej .atmosferze, którą zepsuł pan Kuryłło.

Prezes oświadczył ponurym głosem;

- Żarty żartami, ale przecież jakiś człowiek siedział w trzcinach na końcu półwyspu i obserwował nasz obóz. Pan Tomasz miał rację. Należało rozłożyć obóz w innym miejscu.

Doktor wzruszył ramionami.

- Siedział ktoś w trzcinach? No, to Bóg z nim. Nie jesteśmy przecież na bezludnej wyspie.

Zapewne jakiś miejscowy chłopak był ciekawy, kto tu przyjechał, i ukrył się w trzcinach, aby nas podglądać.

- A jednak to jest niepokojąca sprawa - upierał się Kuryłło. - Uważam, że należało zanoćować gdzie indziej.

Dyskusja na ten temat wydawała mi się jałowa, skoro było oczywiste, że teraz już nie przeniesiemy się

-w inne miejsce. Zabrałem więc głos i zaproponowałem:

- Rozpalmy ognisko. W książkach o Indianach czytałem, że przy ognisku najlepiej się gwarzy i roztrząsa różne problemy. Wydaje mi się, że najwyższy czas odbyć naradę wojenną. Zrobiliśmy długą wycieczkę, obejrzeliliśmy wszystkie szachownice i, jak dotąd, nie staliśmy się ani odrobinę bliżsi rozwiązania zagadki tajemniczej szachownicy. Należy podjąć decyzję: co dalej?

Wiewiórka podłożył zapałkę pod zgromadzony chrust. Ognisko buchnęło wysokim, jasnym płomieniem.

Hilda powiedziała:

- Nie wiem, co powinniśmy robić dalej. Straciłam już wszelką nadzieję na odnalezienie pamiętnika Haubitza.

Zenobia:

- A mówiłam, że niepotrzebnie obraziliście Fryderyka? On wiedziałby, co robić dalej...

Doktor:

- U mnie rady nie szukajcie. Nigdy w życiu nie rozwiązywałem zagadek kryminalnych, nie mam w tej dziedzinie wprawy. Ale przecież wybraliśmy prezesa.

On powinien podjąć decyzję.

Kuryłło chrząknął z powagą i rzekł:

- Pozwólcie państwo, że zabiorę głos na samym końcu. Najpierw chciałbym wysłuchać zdania wszystkich członków naszego Związku.

Jak wszystkich, to wszystkich. Udzieliliśmy głosu Kasi.

- Mnie się to szukanie bardzo podoba. Wolę jeździć z wami niż siedzieć w Jasieniu. Lecz zrobię, jak mi ciocia każe.

Tell:

- Powiem prawdę: żaden mądry pomysł nie przychodzi .mi do głowy.

- I mnie również - powiedział Wiewiórka.

- I mnie też - dorzucił Sokole Oko.

I cała trójka spojrzała na mnie z takim napięciem, jak gdyby oczekiwali, że wyskoczę z pomysłem, który zabłyśnie jak raca w mrocznej nocy.

- Wydaje .mi się - stwierdziłem - że popełniliśmy pewien błąd. A mianowicie zbyt dosłownie traktowaliśmy słowa starego Haubitza o tym, że szachownica strzeże rzeczy najcenniejszej.

Gapiliśmy się na szachownice, szukając w nich skrytki, a przecież słowa starego Haubitza można zrozumieć ogólniej. Szachownica strzeże skrytki, ale to nie znaczy, że sama jest skrytką. Po prostu może być w pobliżu miejsca, gdzie znajduje się skrytka. Moim zdaniem należy powtórzyć naszą podróż od początku, przestać zwracać uwagę na same szachownice, a przyglądać się otoczeniu, w jakim się one znajdują. Szukać skrytki nie w samej szachownicy, ale w pobliżu miejsca, gdzie ona jest. A są dwa takie miejsca, w 86

których Haubitz miał największą możliwość ukrycia pamiętnika. Ruiny obserwatorium i mauzoleum.

- Bzdura! Bzdura! - przerwał mi gwałtownie Kuryłło. - Mówiłem panu, że w obserwatorium nie warto szukać. Haubitz nie ukrył tam wszystkich swoich skarbów. Byłby ostatnim głupcem, gdyby kładł dwa grzyby w barszcz.

- Pan się lęka wracać do Jasienia ze względu na Fryderyka - domyślił się doktor.

- Nie, .nie! - zaprotestował prezes. - Chcę uniknąć spotkania z tym gangsterem, ale przecież on mnie chyba inie zamorduje?

- Proszę nie .nazywać. Fryderyka gangsterem - burknęła Zenobia.

- Wszystko jedno, jak go nazwiemy. On tak się zachowuje, że lepiej śnie wchodzić mu w drogę -

rozgniewał się Kuryłło.- Nie widzę zresztą potrzeby powrotu do Jasienia.

- W takim razie należy jeszcze raz pojechać do mauzoleum na Polanę - powiedziałem.

- Nie ,nie, nie! - prezes zamachał gwałtownie rękami. - To także mię ma sensu. Na próżno tracimy czas. Przebywałem w grobowcu prawie godzinę i opukałem jego ściany. Nie ma tam żadnej skrytki.

- Więc co pan proponuje?

Kuryłło rozejrzał się po naszych twarzach. Na jego ustach pojawił się triumfujący uśmiech.

Dumnie się wyprostował i oświadczył:

- Wyjawię wam pewną tajemnicę...

Zrobił pauzę dla lepszego efektu. Wiedział, że z największą uwagą czekamy na jego słowa.

I nie mógł się powstrzymać, aby nie okazać się pyszałkiem.

- Zrozumieliście nareszcie, że bez Kuryłły nie dacie sobie rady. Bez Kuryłły cię odnajdziecie

„rzeczy najcenniejszej”. Bez Kuryłły przepadną wasze nadzieje - .przemawiał patetycznie, a my przętkaliśmy w milczeniu jego przechwałki, ciekawi, do czego zmierza. - Fryderyk jest gangsterem - ciągnął dalej nasz prezes. - Ale jedno przemawia na jego korzyść. Zrozumiał, że Kuryłło znajduje się na tropie rozwiązania zagadki, i dlatego chciał ode mnie wydrzeć tajemnicę.

Albowiem ja... - Kuryłło zawiesił głos - wiem o jeszcze jednej szachownicy.

- To niemożliwe! - zawołała Hilda. - Przeszukano całą okolicę, wszystkie majątki Haubitzów.

- A jednak to prawda. Polubiłem was i dlatego zaprowadzę was na trop zagadki. Jeszcze jedna szachownica znajduje się w lasach za Myślborzem, na terenie leśniczówki Czarne.

Szachownica podobno widnieje tam na kamieniu granicznym, podobnie jak w Topielcu.

- Ależ lasy za Myślborzem nie był własnością Haubitzów - zaoponowała Hilda.

- Właśnie, że były. Jeszcze przed pierwszą wojną światową należały do Haubitzów i stąd szachownica na kamieniu oznaczającym granicę ich własności. Po pierwszej wojnie sprzedali je jednak, i dlatego zapewne mało kto o niej wie.

- Skąd ma pan tak dokładne informacje? - podejrzliwie zapytała Hilda.

Kuryłło stuknął się palcem w czoło.

- Głowa pracuje. Cierpliwie wypytywałem o to różnych ludzi.

Doktor sceptycznie odniósł się do tej sprawy.

- Skoro lasy wokół leśniczówki Czarne tak dawno zostały sprzedane, wątpliwe, czy stary Johann zdecydował się ukryć tam rzecz, którą uważał za najcenniejszą.

- Jeśli miał trochę oleju w głowie, to" ukrył tam, a nie gdzie indziej- - oświadczył Kuryłło. -

Musiał zdawać sobie sprawę, że jeśli jego słowa dotrą do uszu osób niepowołanych, przede wszystkim zaczną się poszukiwania szachownic w jego majątkach, w najbliższym sąsiedztwie pałacu. A tymczasem on ukrył „rzecz najcenniejszą" w jakiejś skrytce w lasach koło leśniczówki Czarne. Było to mądre posunięcie, choćby dlatego, że mało kto poza ludźmi z rodu Haubitzów wiedział o szachownicy w lasach za Myśliborzem.

- Lecz pan się dowiedział - stwierdziła Hilda.

- Nie każdy jest Kuryllą - odparł dumnie prezes. - Najlepszy dowód, że ani pani, ani Weber i Klaus, ani też specjaliści z polskiej ekipy nie wpadli na trop jeszcze jednej szachownicy.

- No cóż - Hilda skinieniem głowy podziękowała Kury Ile za informację. - Wypada mi wyrazić panu słowa uznania. Wydaje mi się, że już jutro będziemy tam musieli pojechać, prawda? - zwróciła się do mnie.

A ja przytaknąłem. Lecz pełen byłem dziwnych myśli, niepokoju i obaw.

Ognisko dogorywało. Sebastian znowu pobiegł na koniec półwyspu i zaczął gwałtownie ujadać w stronę jeziora.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

„ROZKOSZE" BIWAKU \* KTO JEST KTO? • PRZED LUFA PISTOLETU • WALKA O ŻYCIE • NIEOCZEKIWANY LIST \* KIM JEST „CZŁOWIEK-ŻABA"? « WYRUSZAMY ZOBACZYĆ DODATKOWĄ - SZACHOWNICĘ

W powieściach przygodowych czyta się o biwakach w lasach i nad jeziorami, o rozkoszach wieczornego rozpalania ogniska. Prawda jest jednak taka, że do większości naszych lasów turyści mają wstęp zakazany lub bardzo ograniczony, rozpalanie ogniska jest przestępstwem surowo ściganym przez prawo, biwakować wolno tylko w miejscach wyznaczonych, a jest ich bardzo niewiele.

Na szczęście drogi do Jeziora Żabiego nie strzegł żaden znak zabraniający wjazdu, półwysep głęboko wrzynał się w wodę, a więc ponad sto metrów dzieliło nasze obozowisko od ściany lasu. Można było pozwolić sobie na biwak i na rozpalenie ogniska, które buchnęło wysokim, czerwonożółtym płomieniem.

Współcześni turyści rzadko już dziś rozpalają ognisko, co najwyżej czynią to dla uzyskania nastroju lub opędzenia się przed plagą komarów. Gazowa kuchnia, turystyczna kuchenka benzynowa lub spirytusowa - zastępują z powodzeniem ognisko, przy którym kiedyś gotowano strawę.

Kłopoty z komarami nie zmieniły się jednak od najdawniejszych czasów. Za ich przyczyną ginie urok

biwaku nad jeziorem czy leśną rzeczulką. Zapomina się o tym, gdy o turystycznych eskapadach opowiada się po powrocie do domu, w gronie kolegów lub przyjaciół. Lecz wiadomo przecież, że pod wieczór ma turystę, który chce się rozkoszować widokiem zachodzącego słońca, napadają miliony bzykających, złośliwych i krwiożerczych owadów.

Biada mu, jeśli ma skórę wrażliwą na ukąszenia. Nazajutrz jest spuchnięty jak bania. Biada mu również, jeśli przed wieczorem nie zamknął szczelnie namiotu.



W nocy usłyszysz wokół swojej twarzy nieustanne brzęczenie i zamiast spać, będzie się oganiać od komarów, aż wreszcie zmęczony bezskutecznym polowaniem schowa głowę pod koc lub do śpiwora.

A mrówki? Czy nie należy się im słów kilka? Źle z wami, jeśli upatrzycie sobie na miejsce pod namiot:

piaszczystą górkę nad wodą. Z całą pewnością jest ona zasiedlona przez .małe, czarne mrówki, które mają swoje gniazda wydrążone w piasku. Tam zaś, gdzie rośnie ładna soczysta trawa, spacerują hordy dużych,

czerwonych mrówek. Wkrótce przybędą do ciebie zwabione kilkoma okruszynami chleba, które upadły w trawę podczas obiadu lub kolacji. Ach, jak boleśnie gryzą te małe potwory.

Jak chytrze wciskają się do namiotu, do śpiwora, pod koc... Podobno mrówki w nocy też śpią. Wierzę przyrodnikom, gdyż oni się na tym znają. Co do mnie nieraz bywałem budzony w nocy straszliwym ukąszeniem mrówki, która wpełzła mi do śpiwora.

Słyszałem, że ognisko, dym z papierosa lub fajki - odstrasza komary. Stwierdziłem, że jest odwrotnie.

Dym rozdrażnia je, atakują z większą wściekłością. Piszę o tym, aby wytłumaczyć, dlaczego w pewnej chwili nagle wstałem od ogniska i poszedłem w las. Zmęczyło mnie już 88

oganianie się .od komarów, pomyślałem, że nieco dalej od Jeziora, w-suchym sosnowym lesie, może dadzą mi one chwilę wytchnienia. Poza tym trawił mnie niepokój. Postanowiłem obejrzeć najbliższe otoczenie naszego biwaku;

W lesie napotkałem nieprzeniknioną noc. Wkrótce jednak wzrok mój przyzwyczył się do ciemności i zacząłem rozróżniać pnie drzew oraz ścieżkę wijącą się równoległe do brzegu jeziora. Poszedłem nią kilkaset kroków i zawróciłem. Nie zauważyłem niczego podejrzanego.

„Mam rozstrojone nerwy - rozmyślałem. - Wszystkie zdarzenia, które przeżyłem od przyjazdu do Jasienia, są dla mnie niezrozumiałe, tajemnicze, nieuchwytnie. Nie wiem, kto jest przeciwnikiem, nie potrafię przewidzieć, z której strony on zaatakuje, nie jestem w stanie przewidzieć biegu przyszłych wypadków, a tym samym im przeciwdziałać”.

Pomyślałem o Kuryllie:

„Dlaczego prezes zapałał do nas raptem tak wielką sympatią, że wyjawiał informację o jeszcze jednej szachownicy? Czemu dotąd milczał o tej sprawie? Nie zdradził jej nawet Fryderykowi pod groźbą pistoletu, choć, jak to miałem możliwość zaobserwować, jest straszliwym tchórzem. Co się więc kryje za jego niespodziewaną zmianą postawy? Czyżby rzeczywiście chciał, abyśmy znaleźli pamiątnik?”

I rodziła się we mnie ogromna nieufność, bo prezes wyglądał mi na człowieka, który uważał

nas za durniów i chyba tylko pod groźbą pistoletu gotów byłby podzielić się z nami owocami swych poszukiwań. Jego szlachetność była co najmniej podejrzana.

„Kuryłło zdecydował się powiedzieć nam o jeszcze jednej szachownicy - rozważałem - gdy ja radziłem, aby znowu zająć się ruinami obserwatorium i mauzoleum- Jeśli więc wysyła nas do leśniczówki, „-to znaczy, że tam nie ma »rzeczy najcenniejszej«. Innymi słowy: albo już tam był, albo wie, gdzie jest skrytka”.

Oczywiście, można było nie posłuchać rady Kuryłły i zamiast jechać do leśniczówki Czarne, wrócić do Jasienia lub na Polanę. Lecz w sprawie obserwatorium, podobnie jak Kuryłło, byłem zdania, że Haubitz „nie wrzucił dwóch grzybków do barszczu”, czyli nie ukrył

pamiętnika w tym samym miejscu, gdzie ukrył skarby.

Pozostawało więc tylko mauzoleum...

I znowu obudziła się we mnie podejrzliwość. Informacje o jeszcze jednej szachownicy wyjawiał nam Kuryłło z tak lekkim sercem, że nieprawdopodobnie się wydawało, aby wzbraniał się zrobić to pod groźbą pistoletu Fryderyka.

„Do licha, czego naprawdę chciał Fryderyk od Kuryłły? - rozmyślałem. - I kim jest Fryderyk, właściciel gangsterskiego samochodu, którym zdolny jest rozbić nawet gruby mur?”

- A Zenobia? Jaką rolę odgrywa Zenobia? - zapytałem siebie półgłosem.

Jakby w odpowiedzi ;na (moje słowa oślepił mnie błysk latarki elektrycznej. Znajomy głos; rzekł ironicznie:

- No tak, Zenobia. Ze też dopiero w tej chwili przyszła panu na myśl Zenobia!

To Zenobia oślepiła mnie latarką.

- Niech pani zgasi latarkę! - zawołałem. - Przecież nic nie widzę.

- Właśnie to chodzi - odpowiedziała.

Opuściła jednak z mej twarzy promień elektrycznego światła. Ale w dalszym ciągu pozostawałem w ostrym błysku jej latarki.

- Ręce do góry! - krzyknęła groźnie.

W lewej dłoni trzymała latarkę, a w prawej... pistolet wymierzony w moją pierś,

- Ręce do góry! - powtórzyła rozkaz.

Nie wiedziałem - żartuje czy też rozkazuje poważnie. Nie pozostawało mi jednak nic innego, jak podnieść ręce do góry. Twardy głos Zenobii przekonywał mnie raczej, że z 89

pistoletu gotowa zrobić użytek, jeśli nie zastosuję się do rozkazu. Nie jestem tchórzem, ale przecież

sam widziałem, jak z jej kieszeni wypadł pistolet „TT”.

- O tak, właśnie tak, panie Samochodzik. Ręce proszę trzymać nad głową. Jedno ich drgnienie i nigdy już nie zobaczy pan światła żadnej latarki. Jesteśmy dość daleko od naszego obozu. Strzał ten usłyszą, ale gdy przybiegną tutaj, znajdą tylko pańskie martwe ciało. A ja przez las zdołam niezauważenie powrócić do obozu, gdzie myślę, że już śpię w swoim namiocie. Przyłączę się do nich i będę wraz z innymi zastanawiała się, kto pana zastrzelił.

- Pani chyba żartuje...

- To mógłby być żart, dopóki nie zauważył pan pistoletu, który wysunął się z mojej kieszeni.

A poza tym pan już mi przeszkadza. Utrudnił pan Fryderykowi rozprawienie się z Kuryłłą i to zdecydowało, że postanowiłam wyeliminować pana z gry. Ma pan przed sobą jeszcze

.minutę życia. Niech pan robi rachunek sumienia.

- Proszę pani - odezwałem się, aby zyskać na czasie i przemyśleć sposób ratunku. - Może jednak obejdzie się bez strzelaniny? Może jakoś się dogadamy?

- Co? Mam z panem wchodzić w spółki? Wystarczy, że Fryderyka dopuściłam do swoich interesów. On okazał się sprytniejszy od pana.

„Muszę zyskać na czasie - myślałem rozpaczliwie. - Muszę zmusić ją do dłuższej rozmowy.

Nagle dam nura w las, może uda mi się zniknąć w mroku, zanim dosięgnie mnie kula.

- Pani Zenobio - rzekłem błagalnie : - zdaję sobie sprawę, że przegrałem. Zostałem przez panią skazany na śmierć...

- Tak jest, pozostaje panu jeszcze pół minuty życia.

- Skazaniec ma zawsze prawo do wyrażenia jednej prośby...

- Jaką pan .ma prośbę? - zapytała nieufnie.

- Zanim zginę, chciałbym poznać prawdę. Proszę, aby mi pani wyjaśniła, kim jest Fryderyk?

I czego on naprawdę chciał od Kuryłły?

Zenobia zaśmiała się .cicho.

- Niestety, nie mogę spełnić pańskiej prośby. Za chwilę przycisnę cyngiel i stanie się pan martwy. Nie spełnię zaś prośby dlatego, że... - znowu zaśmiała się - sama .nie wiem, o co chodzi w tej dziwnej sprawie.

To mówiąc przycisnęła cyngiel pistoletu. Błysnął niebieski płomyk, od którego zapaliła papierosa.

Pistolet okazał się zapalniczką.

Opuściłem ręce i dotknąłem dłonią czoła. Było mokre od potu. Naprawdę wierzyłem, że ona mnie zastrzeli.

- Dał się pan nabrać, co? - triumfowała Zenobia. - Najadł się pan strachu. Miałam nie lada frajdę, gdy przed lufą zapalniczki drżał pan jak osika.

Zemściłam się na panu za tę chwilę na łąkach. Upokorzył mnie pan, ale teraz odpłaciłam panu z nawiązką.

Podszedłem bliżej i zerknąłem na zapalniczkę.

- To podarunek od Fryderyka - wyjaśniła. - Sterroryzowałam pana Samochodzika, detektywa-amatora, poszukiwacza przygód. Mam błogą nadzieję, że od dziś odechce się panu szukać mocnych wrażeń.

- A pani? Czy będzie pani nadal szukała przygód?

- Dlaczego pań myśli, że i ja poszukuję przygód?

Wzruszyłem ramionami. Na końcu języka miałem słowa: „Pani pistolet-zapalniczka nie jest tym samym pistoletem, który wypadł z kieszeni na łąkach. Tylko ciemność inoena i oślepienie latarką spowodowało, że zapalniczka wydała mi się prawdziwym pistoletem. Tę scenę w lesie odegrała pani nie po to, aby się na mnie zemścić. Chciała pani przekonać mnie, że tamten pistolet nie był prawdziwy”.

. Lecz nic nie powiedziałem. W milczeniu wróciliśmy do obozowiska, gdzie układano się już do snu.

Zenobia, o dziwo, nie pochwaliła się przed nikim tym sterroryzowaniem mnie zapalniczką.

Poszła prosto do namiotu i położyła się spać.

W obozie Tell zalewał dogorywające ognisko wodą przyniesioną z jeziora w brezentowym wiadrze.

- A co z żabą? Nie dała znaku życia? - zapytałem go żartobliwie.

Z powagą pokręcił głową. :

- Nie. Na razie panował tu zupełny spokój.

Nadbiegł Sokole Oko.

- Odniosłem. Podłożyłem mu puszkę tak ostrożnie, że nic nie zauważył.

- To bardzo dobrze - stwierdził Tell. - Bo, proszę pana - zaczął mi wyjaśniać - Sokolemu Oku zachciało się .nagle robić porządki w naszych zapasach żywnościowych. Postanowił

wszystkie zapasy zgromadzić razem. Pana żywność też zabrał z wehikułu, a także puszkę żywnościową pana Kuryły. Ale pan wie, jaki podejrzliwy jest nasz prezes. Znowu powie, że chcemy mu coś zmalować. Więc kazałem mu ją odnieść.

- Słusznie, bardzo słusznie - przytaknąłem.

Powiedziałem chłopcom „dobranoc” i zacząłem w wehikule rozkładać. siedzenia do spania.

Noc była ciemna, księżyc skrył się za chmurami. Pomyślałem, że w taką noc -łatwo byłoby komuś obcemu wejść w złych zamiarach do naszego obozu. Porzuciłem jednak tę myśl, odnajdując w niej resztki swego dawnego niepokoju. Okolica wyglądała przecież bardzo spokojnie i bezludnie.

Wkrótce cały obóz już spał. Odsunąłem okna w wehikule i leżąc pod kocem, spoglądałem przez panoramiczną szybę na pogrążone w mroku jezioro. Sen do mnie nie przychodził, zapaliłem więc papierosa. Gasilem go w popielniczce uczeplonej na przysawce do szyby, gdy zerwał się wiatr, głośno zaszeleściły trzciny na półwyspie i zaczęła pluskać woda. I te szmery - szum wiatru, szelest trzciny i plusk wody - sprowadziły wreszcie sen.

Zbudziłem się w środku nocy. Nie wiem, co spowodowało przebudzenie. Może jakiś podejrzany szmer?

A może szczeknięcie Sebastiana w namiocie Zenobii?

Usiadłem i wyjrzałem przez uchylone okno. Dookoła wciąż zalegała ciemność i tylko jasne dachy

namiotów białeły w ciemnościach. Od strony jeziora dochodził plusk wody i szelest rozkołysanych wiatrem trzcin.

Już chciałem znowu wygodnie wyciągnąć się na siedzeniach wehikułu, lecz raptem wydało mi się, że- dostrzegam niewyraźny ruch między namiotami. ..Jak gdyby jakiś cień przesuwał

się tamtędy. Cień zbliżał się do mnie i wkrótce obok wehikułu stanęła Kasia.

Zauważyła imożą twarz w oknie samochodu, podeszła bliżej i szepnęła mi do ucha:

- Pan też słyszał?

- Nie, nic nie słyszałem...

- To dlaczego pan nie śpi?

- Sam nie wiem, czemu się obudziłem.

- A mnie zbudziło szczeknięcie Sebastiana. A potem usłyszałam zduszony krzyk. Ciotka spała jak kamień, nie chciałam jej budzić. Rozsznurowałam drzwi namiotu, myśląc, że może Sebastian pobiegnie zobaczyć, co go zaniepokoiło. Ale pan wie, jaki jest Sebastian.

Skorzystał z okazji i czym prędzej wcisnął się na moje miejsce do śpiwora. On bardzo lubi ciepło. Więc przyszedł tu, żeby pana zbudzić. Wiem, że na biwaku trzeba być czujnym.

- Ech, nie należy przesadzać z tą czujnością - ziewnąłem. - To przecież spokojna okolica.

W tym momencie usłyszeliśmy głośny plusk, jak gdyby rzuciła się w wodzie jakaś ogromna ryba.

- Słyszał pan? - jęknęła przerażona dziewczynka.

Chwyciłem latarkę elektryczną i wyskoczyłem z samochodu. Skinąłem ręką na Kasię, aby pozostała na miejscu, a isam pobiegłem na koniec półwyspu. Kasia nie dostrzegła mego gestu i co sił pędziła za mną.

Oto i koniec półwyspu. Dostępu do wody broniła ściana trzcin. To tutaj Tell napotkał wczoraj jakiegoś człowieka.

Przesunąłem guziczek w latarce. Na połamane trzciny padł szeroki promień światła.

- O, Boże! - piskliwie wrzasnęła Kasia.

Tuż przy brzegu przykucnął jakiś straszliwy stwór.

Siedział jak żaba na tylnych nogach, wspierając się przednimi. Jego zielonkawe, śliskie ciało lśniło w blasku latarki, ogromne oczy na szkaradnym pysku patrzyły na mnie groźnie.

Miałem przed sobą człowieka w stroju płetwonurka.

- Ratunku! Ratunku! - wrzeszcząc przeraźliwie Kasia uciekała co sił.

W jednym mgnieniu oka dostrzegłem jakiś podłużny kształt w trzcinach. Była to gumowa łódeczka, w której leżał bezwładnie ludzki kształt.

Zrobiłem krok w kierunku łódeczki i wtedy człowiek-żaba skoczył na mnie. Jego ręce objęły mnie w silnym uścisku, usiłując przewrócić na ziemię.

Świetnie znał dzudo. Nie wiem nawet, jakiego chwytu użył, aby mnie obalić. Raptem znalazłem się na ziemi, a nade mną pochyliła się przerażająca maska ze szklami, przez które patrzyły na mnie czyjeś wrogie oczy. Przycisnął mnie do ziemi całym swym ciężarem, lewą dłonią chwycił za gardło, usiłując dusić. Prawą pięść podniósł do ciosu, aby uderzeniem w głowę spowodować moje zamroczenie.

W ostatniej chwili zdołałem chwycić go lewą ręką za prawy nadgarstek, przez co osłabiłem uderzenie.

Wytężyłem wszystkie siły i zdołałem odrzucić go na bok. Znowu jednak znalazł się na mnie i kolanami przygniótł mój brzuch. Jego palce zaciskały się na mojej krtani, zaczynało mi brakować tchu.

Jak przez grubą ścianę usłyszałem czyjeś głosy. To chyba od strony obozu nadbiegała pomoc, zwabiona przeraźliwymi wrzaskami Kasi.

Ustąpiło duszenie. Człowiek-żaba zrozumiał, że nie poradzi sobie z nadbiegającymi.

Skoczył z brzegu w trzciny i z pluskiem zniknął w jeziorze. Łódeczka z ludzkim kształtem pozostała przy brzegu.

Zerwałem się z ziemi i podbiegłem do łódki. Jednocześnie nad brzegiem jeziora zjawił się doktor, trzech chłopcy, Kasia, Zenobia i Hilda. W oświetlonej latarkami łódeczce znaleźliśmy pana Kuryłłę. Leżał w niej z małym tamponikiem waty na ustach i nosie.

- Uśpiono go - stwierdził doktor. - To taki sam tamponik, jakim obezwładniono pana w Jasieniu.

- A więc człowiek-żaba jest chyba tym samym, którego wtedy śledziłem. Dziwne, że aż tutaj przyjechał, w ślad za nami. I dlaczego uśpił pana Kuryłłę?

- Nie tylko uśpił, ale zdaje się, zamierzał go również porwać- zauważyła Hilda.

- Trzeba go gonić, ścigać i złapać! - wołała Zenobia. - Powinien pan wskoczyć w swój samochód i do pędzić go na jeziorze.

Uważałem, że pościg za człowiekiem-żabą jest bezsensowny.

- Panują ciemności. On płynie pod wodą, nie odnajdę go, choćbym krążył po jeziorze aż do rana. Nie zdołam wyjechać z wody, bo drugi brzeg jest za stromy i zarośnięty drzewami.

Łądem droga jest bardzo okrężna. A może i on ma samochód? Dopadnie go i ucieknie.

Zajęliśmy się nieprzytomnym panem Kuryłłą. Wynieśliśmy go z łódki, doktor zastosował sztuczne oddychanie.

Dość długo cuciliśmy nieszczęśnika. Środek zastosowany przez człowieka-żabę fatalnie na niego podziałał.

Po ocuceniu wymiotował kilkakrotnie i rozboleła go głowa.



Te dolegliwości sprawiły, że niewiele zdołaliśmy uzyskać wyjaśnień.

- Przysięgam, że nie wiem, dlaczego ten potwór chciał mnie porwać - jęczał Kuryłło. - Może i on, podobnie jak Fryderyk, myśli, że kryję jakąś tajemnicę? Może chce się dowiedzieć, gdzie jest jeszcze jedna szachownica?

Oczywiście nikt z nas nie wierzył tym wyjaśnieniom. Było dla nas jasne, że Kuryłło posiada jednak jakąś tajemnicę.

- A jeśli to Fryderyk jest człowiekiem-żabą? - zapytałem głośno. - Nikt oprócz niego nie wiedział, że wybieramy się na nocleg nad Jezioro Żabie.

- Pan zawsze chce oczernić Fryderyka - burknęła Zenobia.

Po jej ; słowach wpadłem w taką złość, że niemal krzyczałem na nią.

- Niechże pani przelanie udawać głupią gęś! Robi to pani nieudolnie! Przecież nikt nie wierzy w pani miłość do Fryderyka. Tak samo dobrze, jak i my, wie pani, że to zwykły gangster.

Dziwnie zareagowała Zenobia na mój wybuch gniewu. Zamiast obrazić się, wzruszyła ramionami i odrzekła potulnie:

- Czemu pan tak na mnie krzyczy?

- Bo źle pani odgrywa swoją rolę - odrzekłem tłumiąc gniew. Doktor był szczerze zdumiony.

- Przepraszam, ale jaką rolę odgrywa pani Zenobia?

- Jaką? Udaje gęś zakochaną w gangsterze.

- Ciociu, och, ciociu - z dezaprobatą szepnęła Kasia.

Tym razem Zenobia zareagowała inaczej. Tupnęła nogą - Cicho, smarkata! I ty też się w to wtrącasz?

A potem niespodziewanie dla nas wszystkich wykręciła się na pięcie i pobiegła do namiotu.

- Nieładnie pan postępuje, panie Tomaszu - pokręcił głową doktor. - To taka piękna kobieta, a pan jej dokucza...

Machnąłem bezradnie ręką i poszedłem do wehikułu. Położyłem się na rozłożonych siedzeniach. Przecież był to dopiero środek nocy, należało się wyspać.

Inni też poszli w moje ślady. Pan Kuryłło, który poczuł się już zupełnie dobrze, zażył

proszek od bólu głowy i zaszył się w .namiocie. Po kilkunastu minutach obóz ogarnęła cisza nocna.

Nie wydawało się prawdopodobne, aby człowiek-żaba jeszcze raz próbował

napaści. Zapewne szukał teraz drogi ucieczki z tej okolicy.

Po wydarzeniach, a które zabrały nam dobry kawałek nocy, obudziliśmy się bardzo późno.

Doktor poszedł do namiotu pana Kuryły, aby sprawdzić, jak cię czuje po przykrej przygodzie, i stwierdził, że pacjent... zniknął.

To znaczy nie tyle zniknął, ile po prostu zabrał swoje rzeczy i odszedł pozostawiając w namiocie list następującej treści:

Moi Drodzy!

Wybaczcie mi, że odszedłem bez pożegnania, ale musiałem tak zrobić, ponieważ jestem pewien, że potwór, który na mnie napadł, siedzi nasz obóz i obserwuje każdy nasz krok.

Zdecydowałem się czmychnąć po cichu, korzystając z nocnych ciemności. Uciekłem zaś dlatego, że po tym, co on zrobił dzisiejszej nocy,- zdolny jest do tego, aby następnej mnie zamordować, a żyć cię mi jeszcze miłe. Nie wiem, czego on chce ode mnie, jego postępowanie jest dla mnie równie tajemnicze, jak i dla was. Ale jedno wiem: muszę uciekać przed nim. Dlatego rezygnuję z rozwiązania zagadki i wracam do domu. Z tą dodatkową szachownicą nie okłamałem was, jedźcie tam, a przekonacie się, że mówiłem prawdę. Błagam was, nie dajcie poznać po sobie, że mnie już nie ma wśród was, bo ten wariat zapewne wciąż was obserwuje. Jedyne moje nadzieje, że on pojedzie do Czarnego w siad za wami i dzięki temu będę mógł spokojnie odjechać do domu, bo on zgubi mój trop. Życzę wam wszystkiego najlepszego, zrzekam się stanowiska prezesa.

JAN KURYŁŁO

- I co teraz zrobimy? - kpiąco zapytała Zenobia.

- Bóg z nim - rzekł doktor - niech sobie idzie w spokoju. Obawiam się jednak, że człowiek-żaba nie da się wyprowadzić w pole. Zdoła odnaleźć Kuryłkę, a wówczas kto wie, czy nasz były prezes nie pożałuje, że nie jest razem z nami.

- Zgadzam się z panem - powiedziałem przeglądając atlas samochodowy i szukając na nim leśniczówki o nazwie Czarne. - Nam zaś nie pozostaje nic innego, jak obejrzyć jednak dodatkową szachownicę.

Przewiduję, że zajmie to czas do południa. Potem ruszamy na Polanę, do mauzoleum.

- Ja chcę wracać do Jasienia - oświadczyła Zenobia; - Mam wyżej uszu tych bezsensownych podróży. Pojechałam na wycieczkę tylko ze względu na Fryderyka, a teraz pragnę wrócić do swego domku nad jeziorem.

Zastanowiłem się chwilę.

- Jeśli pan doktor wyrazi zgodę, moglibyśmy spełnić pani życzenie. Panie doktorze -

zwróciłem się do ojca Tella. - Czy nie zechciałby pan odwiedzić do Jasienia panią Zenobię, Kasię oraz panią Hildę?

- A ja tam po co? - zdziwiła się Hilda. - Ja chcę zobaczyć tę szachownicę w Czarnem.

Odprowadziłem ją na bok i zacząłem tłumaczyć:

- Muszę wiedzieć, kto jest człowiekiem-żabą: Fryderyk czy Klaus. Doktor odwiedzi panią do pałacu w Jasieniu, zamówi pani rozmowę telefoniczną z redakcją, w której pracuje Klaus, i uda pani, że chce z nim rozmawiać. Jeśli Klaus podejdzie do telefonu, zrezygnuje pani z rozmowy. Ale my będziemy wiedzieli, że on przebywa w Niemczech, a więc człowiekiem-

żabą jest Fryderyk. Doktor zaczeka na panią, a następnie przywiezie na Polanę, gdzie my będziemy na was czekać. Chyba ma pani do mnie na tyle zaufania, aby powierzyć mi obejrzenie tej szachownicy.

- Mam do pana całkowite zaufanie i zrobię to, co pan uważa za słuszne - powiedziała Hilda.

Doktor zgodził się odwiedzić Zenobię, Kasię i Hildę, chłopcy zaś mieli wraz ze mną jechać wehikułem do Kuryłkowej szachownicy. Lecz raptem wyłoniła się trudność: Kasia ryknęła płaczem i oświadczyła Zenobii, że jest zachwycona naszą wycieczką, bo przeżywamy ciągle jakieś nowe przygody, a w Jasieniu czekają ją nudy. Ciocia jeździ wciąż do kawiarni, a ona pozostaje sama z Sebastianem.

Poruszeni płaczem dziewczynki poprosiliśmy Zenobię, aby pozostawiła nam Kasię i Sebastiana. Chłopcy okazali się wielkimi dżentelmenami i przyrzekli Zenobii swoją opiekę nad Kasią. Rzecz jasna opiekę zagwarantowałem również i ja.

Poinformowałem Zenobię, że następną noc spędzimy na Polanie w pobliżu mauzoleum, a jeśli nasze badania grobowca nie przyniosą rezultatu, powrócimy do Jasienia. W każdym razie Zenobia wiedziała, gdzie nas szukać, i gdyby zaszła potrzeba, mogła przyjechać do nas swoim motocyklem.

Umówiliśmy się z doktorem i Hildą, że spotkamy się o piątej po południu na drodze w sąsiedztwie kamieniołomu. Pożegnaliśmy się i rozjechaliśmy w różne strony.

Jeśli - jak napisał w swym liście pan Kuryłło - tajemniczy osobnik śledził każdy nasz krok, to narobiliśmy mu teraz wielkiego kłopotu. Musiał wybrać, czy udać się w ślad za wehikułem, czy też za Wartburgiem, bo przecież nie mógł wiedzieć, że pan Kuryłło zniknął przed świtem i nie odjechał żadnym z tych samochodów.

Przyszłość miała pokazać, co wybrał tajemniczy prześladowca.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

JESZCZE JEDNA SZACHOWNICA • POWTÓRNA WIZYTA W GROBOWCU • ZAGADKA ROZWIĄZANA • KTO UKRADŁ PAMIĘTNIK? „BŁYSKAWICZNA” Z WARSZAWĄ \* NOC

### NA POLANIE

Była druga po południu, gdy dotarliśmy wreszcie do znajdujących się w głębi lasu zabudowań leśniczówki Czarne. Uprzejmy leśniczy pozwolił pozostawić wehikuł na 94

podwórku pod opieką dwóch ogromnych psów i wskazał nam leśną drożynę, która prowadziła do kamienia z szachownicą. Po przejściu około siedmiuset metrów mieliśmy trafić na starą porębę i tam właśnie, na jej skraju, stał wielki głaz granitowy, a na nim wyryta była szachownica.

- Jestem tu leśniczym od dwudziestu lat - zwierzał się nam - ale jak dotąd nikt nie interesował się tą szachownicą. Tylko ja zastanawiałem się czasem, po co wyryto ów znak na kamieniu. Nie pytałem o to jednak nikogo, bo w okolicznych wsiach za lasem mieszka ludność, która przybyła zza Bugu i z Rzeszowszczyzny, nikt więc i tak nie umiałby mi wytłumaczyć tej sprawy.

- Więc oprócz pana nikt właściwie nie wie o tej szachownicy - stwierdziłem.

- Ano, tak wychodzi - przytaknął leśniczy. - Wprawdzie ludzie z okolicznych wsi chodzą do lasu po chrust i na grzyby, ale nie słyszałem, żeby ktoś zainteresował się tym znakiem. Bo przecież przede wszystkim zapytałby mnie o tę szachownicę. Jestem tu gospodarzem i odpowiadam za teren.

- Wyjaśnię panu, skąd się wziął ów znak na kamieniu - powiedziałem. - Przed pierwszą wojną światową część tego lasu należała do Haubitzów, którzy swój największy majątek i pałac mieli w Jasieniu nad jeziorem. Na krańcach swoich posiadłości ustawiali kamienie z szachownicami, ponieważ szachownicę mieli w herbie. Po pierwszej wojnie światowej sprzedali te lasy, ale nikomu

z nich ani też nowemu właścicielowi zapewne nie przyszło na myśl zetrzeć szachownicę z kamienia granicznego. I tak pozostało do dziś.

Pożegnawszy leśniczego, pomaszerowaliśmy ścieżką przez las.

- Nie dziwię się - odezwałem się do swoich młodych towarzyszy - że ani do pani Hildy, ani też do nikogo z polskiej ekipy śledczej nie dotarła wiadomość o tej szachownicy. Czarne leży o szmat drogi od Jasienia, a te lasy Haubitzowie sprzedali prawie pięćdziesiąt lat temu.

- A jednak pan Kuryłło wpadł na jego trop - rzekł Sokole Oko.

- I to go moim zdaniem demaskuje. Pan Kuryłło, który na krok nie opuszczał Jasienia, uzyskał wiadomość, jakiej nie potrafiła zdobyć specjalna ekipa poszukiwawcza, ruchliwa i mająca wielkie możliwości.

Nie wierzę w tego rodzaju przypadki. Nie wierzę, aby pan Kuryłło, idąc na spacer do Topielca albo na piwo do gospody w Jasieniu, otrzymał informację o szachownicy odległej o prawie sześćdziesiąt kilometrów, gdy jednocześnie w Jasieniu działała ekspedycja poszukująca informacji w tej sprawie.

- A kto mógł mu powiedzieć o szachownicy?

- Haubitz - odparłem bez namysłu - lub raczej jego wysłannik, czyli Klaus. Tylko Haubitz mógł posiadać aż tak doskonałe informacje o wszystkich dawnych i obecnych majątnościach rodowych, a także o wszystkich szachownicach. Jest więcej niż pewne, że wysyłając tu swego przedstawiciela powiedział mu:

„Nie wiem, gdzie mój ojciec schował pamiętnik. Jeśli jednak chodzi o szachownice, to są one w następujących miejscach, i tam niech pan szuka skrytki z pamiętnikiem". Wysłannik Haubitza, a wszystko wskazuje na to, że był nim Klaus, sam szukać nie mógł, bo był ciągle obserwowany przez Hildę, Webera i ludzi z polskiej ekipy. Związał się więc z kimś, kogo być może poznał dopiero tutaj albo znał nieco wcześniej, z okresu swej okupacyjnej działalności w policji kryminalnej.

Przez chwilę szliśmy w milczeniu.

- Już wiem! - krzyknąłem radośnie. - Wiem, po co Klaus jeździł do Topielca. Spotykał się tam ze swoim współpracownikiem, omawiał z nim sytuację, udzielał rad i wskazówek. Stało się to szczególnie ważne, gdy zdecydowano o powrocie do Niemiec, i Klaus, dla zmylenia podejrzeń, postanowił wracać z Weberem. A z kim się spotykał w Topielcu?

- Z panem Kuryłłą - powiedziała Kasia. - Przecież Sebastian odnalazł go ukrytego w ruinach młyna.

- Tak, Kasiu. Kuryłło twierdził, że ukrył się w ruinach, aby nas śledzić, bo obawiał się, że jesteśmy niemieckimi szpiegami. Prawda jest taka, że on tam schował się przed nami, aby

.nikt nie domyślił się, że spotykał się w Topielcu z Klausem.

- Lecz dlaczego przystał do naszego Związku? - zapytał Tell. - Dlaczego nie szukał na własną rękę?

- Ach, robił i to. Współ z Klausem penetrował nocą ruiny obserwatorium, zniszczył płytki na kominie, obejrzał kamień graniczny w Topielcu. Lecz pamiętnika nie znalazł. Dalsze jednak poszukiwania były o wiele trudniejsze, mogły bowiem wzbudzić podejrzenia.

Pamiętacie, jakie są na przykład trudności z otrzymaniem klucza do grobowca Haubitza?

Przewodniczący gromadzkiej rady narodowej zażądałby od Kuryłły dowodu osobistego, zapisałby imię, nazwisko, adres, a kto wie, czy w ogóle dałby mu ten klucz.

Oczywiście Kuryłło mógłby się włamać do grobowca, ale to straszny tchórz. Takie włamanie zresztą wzbudziłoby podejrzenie władz. Jednym słowem, nasz prezesunio przewidywał

szereg trudności związanych z poszukiwaniami. A tu nagle wyłoniła się sprawa naszego Związku i wyniknęła decyzja Hildy kontynuowania poszukiwań. Kuryłło ochoczo przyłączył

się do nas, został naszym prezesem, gdyż dawało mu to dwie możliwości: obserwowania swoich przeciwników nie budząc ich podejrzeń oraz udziału w oficjalnych poszukiwaniach wspólnie z Hildą. Wyobrażam sobie, jak radośnie zacierał ręce Klaus, gdy dowiedział się od Kuryłły o naszym Związku. Odjechał do Niemiec ze spokojnym sercem. A Kuryłło? Warto pamiętać, że nasz prezes to wielki pyszałek, a to ma pewne znaczenie w tej sprawie. On uważa siebie za najsprytniejszego człowieka na świecie. Był pewien, że gdy trafi na trop zagadki, potrafi nas wykiwać. Go też chyba się i stało.

- Więc pan sądzi, że on już znalazł pamiętnik? - przeraził się Tell.

- Tego nie powiedziałem. Lecz przypuszczam, że wie, gdzie jest pamiętnik. W przeciwnym razie nie powiedziałaby nam o szachownicy w Czamem. On wie, że tu nie ma pamiętnika.

Bo wie, że pamiętnik jest gdzie indziej. Nas wysłał tutaj, a sam poszedł po pamiętnik.

- To dlaczego my idziemy tutaj, a nie za nim? - zawołała naiwnie Kasia.

- Dokąd, Kasiu, mamy pójść? Czy wiesz, dokąd poszedł Kuryłło? - zapytałem.

- Na pocieszenie - dodałem po chwili - pozostaje nam jeszcze Fryderyk i tajemniczy prześladowca Kuryłły. Wszystko wskazuje, że to jedna i ta sama osoba. Teraz możemy się już domyślać, dlaczego Kuryłło był prześladowany. Tajemniczy napastnik chciał od niego wydrzeć nie informacje o jeszcze

jednej szachownicy, ale zapragnął wiedzieć, gdzie jest pamiętnik. Wzwiązku z tym jedno mnie jeszcze zastanawia: jeśli Fryderyk jest tajemniczym prześladowcą, to w jakiej chwili i kiedy zdobył pewność, że Kuryłło wie o miejscu ukrycia pamiętnika. Bo w przeciwnym razie nie groziłby mu pistoletem, nie usiłowałby go porwać.

Ale i na to pytanie nikt z nas nie znalazł odpowiedzi.

- Niewykluczone zresztą - rzekłem - że Kuryłło odszedł od nas nie po to, aby pójść po pamiętnik, ale aby, tak jak napisał w swym liście, uwolnić się od prześladowcy i skierować go na fałszywy trop, czyli puścić w ślad za nami.

Znaleźliśmy się na skraju poręby porośniętej krzakami jeżyn. Chłopcy rozbiegli się na wszystkie strony i po chwili Sokole Oko przywołał nas do siebie wskazując duży, zapadnięty w ziemię gład narzutowy. Na jego północnej stronie widniał, częściowo pokryty zielonym mchem, wyraźny znak szachownicy.

Stało się dla nas oczywiste, że tak nieduży przedmiot, jak pamiętnik, zabezpieczony w jakimś żelaznym lub drewnianym pudle, mógł zostać zakopany w najbliższym sąsiedztwie kamienia.

Należało więc starannie przekopać cały teren, lecz tego rodzaju czynność musiałaby nam zająć przynajmniej cały dzień lub nawet dwa dni.

Miałem niemal pewność, że Kuryłło działał w porozumieniu z wysłannikiem Konrada von Haubitz. Wskazując nam miejsce, gdzie znajdowała się jeszcze jedna szachownica, postąpił on jak gracz szachowy, który podstawiał figurę, aby znaleźć się w korzystniejszej pozycji. Traci, aby zyskać. I może chciał właśnie zyskać na czasie? Gdybyśmy zdecydowali się kopać wokół kamienia, korzystna dla niego ilość czasu zwiększałaby się wielokrotnie.

- Jedziemy do mauzoleum - powiedziałem do chłopców i Kasi.

Wróciliśmy do wehikułu i pomknęliśmy w stronę Myślborza. Tam zjedliśmy obiad, a za kwadrans piąta zatrzymałem wehikuł w umówionym miejscu u stóp Polany.

Doktor i Hilda przybyli z półgodzinnym opóźnieniem.

W krótkich słowach Hilda zdała mi relację ze swego pobytu w Jasieniu.

- Prawie pięć godzin czekałam na połączenie telefoniczne. Wreszcie jednak dodzwoniłam się do redakcji Klausa. Sekretarka oświadczyła mi, że pan Klaus właśnie przed chwilą wyjechał. Zapytałam, kiedy wróci, i otrzymałam odpowiedź, że wyjechał na kilka dni za granicę. Nie chciała powiedzieć dokąd.

- Herr Klaus jest w drodze do Polski - stwierdziłem. - Moje przewidywania, aczkolwiek z opóźnieniem, jednak sprawdzają się.

Doktor miał nieco więcej do opowiadania.

- Pani Hilda czekała na połączenie telefoniczne, a ja odwiozłem Zenobię do ośrodka campingowego. Od kierownika ośrodka dowiedziałem się, że Kuryłło jeszcze nie wrócił, ale musi wrócić, gdyż w domku pozostawił wiele swoich rzeczy. Następnie podjechałem pod kawiarnię pałacową. Na tarasie siedział Fryderyk i popijał napój cytrynowy. Ja się z nim nie pokłóciłem, mnie on nie wymyślał, tak jak panu, panie Tomaszu, więc jak gdyby nigdy nic dosiadłem się do niego i dłuższy czas rozmawialiśmy o różnych sprawach ogólnej natury, o cenach, kłopotach turystów w różnych krajach itp. Poinformowałem go, że jego namiot jest już w domku pani Zenobii i może go zaraz odebrać. Wkrótce nadeszła Zenobia. Bardzo się ucieszyła na widok Fryderyka i oczywiście dosiadła się do nas. Och, jak się do niego wdzięczyła, jak szczebiotała.

- Czy wyszczebiotała mu o ucieczce Kuryłły?

- Nie. Natomiast powiedziała o odkryciu jeszcze jednej szachownicy. Namawiała Fryderyka, aby nie chował w sercu urazy i przyłączył się do naszej wycieczki. Zachęcała go, żeby jeszcze dziś wieczór pojechał z nią na Polanę, gdzie zamierzamy nocować i gdzie ona powinna przyjechać, ponieważ tam będzie Kasia. Powiedziała mu również, że chcemy powtórnie przeszukać grobowiec.

- I co na to Fryderyk?



- Obojętnie przyjął te wiadomości. Odrzekł jej, że sprawa tajemniczej szachownicy przestała go obchodzić. Postanowił jutro wyjechać do Jugosławii. Zenobia zaproponowała mu wspólne spędzenie wieczoru na tańcach w świetlicy pałacowej, bo tam miał być tak zwany wieczorek zapoznawczy dla nowo przybyłych gości. Fryderyk odmówił, tłumacząc się zmęczeniem.

Zenobia wydawała się zrozpaczona.

- Zmęczeniem? - wzruszyłem ramionami. - To przecież mężczyzna silny jak tur. Jestem przekonany, że Fryderyk czeka w Jasieniu na Kuryłłę. Czyha tam na niego jak pajak w sieci na tłustą muchę. Zamierza wydusić z niego tajemnicę miejsca ukrycia pamiątnika. Tę tajemnicę jednak zachowuje Kuryłło dla Klausa, który już jest w drodze do Polski.

- Pan sądzi, że Kuryłło zna to miejsce? - zdziwiła się Hilda.

Wtedy opowiedziałem jej i doktorowi o swoich podejrzaniach co do roli i postępowania naszego byłego prezesa. Moje wywody wydały się im logiczne i słuszne.

- Więc co powinniśmy zrobić w tej sytuacji? - zastanawiała się Hilda.

- Nic - odrzekłem ku ich zdumieniu. - Przecież to są tylko przypuszczenia. Nie dysponujemy żadnymi dowodami przeciw Kuryłle. Nie pozostaje nam nic innego, jak zgodnie z planem 97

ponownie przeszukać mauzoleum. A jeśli to nie da pożądaných rezultatów, jutro pojedziemy do Jasienia i pani, panno Hildo, spróbuje skontaktować się telefonicznie z kimś z ekipy śledczej. Powiadomi ich pani o naszych podejrzaniach związanych z osobą Kuryłły, a także o powrocie Klausa.

Już oni będą wiedzieli, co dalej robić. A teraz - na górę, do grobowca.

Samochody, dobrze zamknięte, zdecydowaliśmy pozostawić na noc w kamieniołomie, a sami wraz z namiotami, śpiworami i kuchnią polową postanowiliśmy wdrapać się na Polanę i zanoćować w najbliższym sąsiedztwie grobowca, żeby mieć czas na staranne zbadanie jego wnętrza.

Objuczeni sprzętem campingowym pomaszzerowaliśmy wąską ścieżką, skrajem kamieniołomu, potem weszliśmy w las bukowy. Dotarliśmy do mauzoleum i tutaj rozdzieliliśmy między siebie zadania. Chłopcy, doktor i Kasia wzięli się do rozstawiania namiotów, a ja i Hilda podjęliśmy się przeszukania grobowca.

Długą chwilę mozoliłem się z zardzewiałą kłódką na drzwiach. Wreszcie udało mi się otworzyć mauzoleum.

Stałem na progu i mimo półmroku zalegającego wewnątrz grobowca natychmiast zobaczyłem coś, co wypełniło mnie gniewem, goryczą i złością.

- A niech to wszyscy diabli wezmą! - zawołałem głośno.

Nadbiegł doktor, chłopcy i Kasia.

- Co się stało? - zapytała Hilda.

- Pani się pyta, co się stało? - odparłem ze złością. - Zapaliłem latarkę elektryczną, aby usunąć półmrok z grobowca.

- Spójrzcie na tę ścianę - wyjaśniłem powód

swego wzburzenia. - Są tam cztery dziury po śrubach, które w tym miejscu kiedyś przytrzymały jakąś tablicę. Właśnie tu zapewne wisiała płyta nagrobkowa z imieniem i nazwiskiem, datą urodzenia i zgonu oraz... No, z czym jeszcze? - zapytałem.

- Z herbem - odpowiedział Tell.

- Tak, z herbem Haubitzów, a więc z szachownicą.

A teraz spójrzcie poniżej, na posadzkę. W tym miejscu brakuje czterech kafelków. Zamiast nich widać ślady gipsu. Przyjrzyjcie się. Niedawno ktoś wydlubał ten gips scyzorykiem. Czy widzicie odcisnięty w dolnej warstwie gipsu ślad? Tu był pamiętnik, moi kochani, w metalowej kasecie. Tu leżał pamiętnik Konrada von Haubitz, który zabrał nasz prezes, Kuryłło.

Hilda, doktor, Kasia i chłopcy słuchali mnie jak oniemiaли.

Zrobiłem kilka kroków po wnętrzu grobowca i rozgarnąłem nogą kupę starego mchu.

Ukazała się nam - biała od gipsu żelazna kasetka. Podniosłem ją i otworzyłem. Była pusta.

- Jak to się stało? Kiedy? - powtarzała zrozpaczona Hilda.

"Uderzyłem się dłonią w piersi.

- To moja wina. Byłem ślepy i miałem chyba otępiąły umysł, bo nie zwróciłem uwagi na te dziury po tablicy nagrobkowej. Och, czemu nie pomyślałem, że na tej tablicy musiał również widnieć herb Haubitzów, a w nim szachownica. Kuryłło miał jednak tę wyższość nad nami, że posiadał dodatkowe informacje od Klausa, czyli wprost od Haubitza. Powiedziano mu: w obserwatorium są dwie szachownice, po jednej - na kościele w Jasieniu, na kamieniu w Topielcu, na kamieniu w Czamem, na kościołach w Dolsku i w Lubiechowie Górnym. A trzy szachownice znajdują się w grobowcu Hermanna von Haubitz. I gdy Kuryłło wszedł tutaj razem z nami, natychmiast stwierdził, że W mauzoleum widzi tylko dwie, a nie trzy szachownice. Gdzie jest trzecia? Oczywiście, domyślił się, że była ona na płycie nagrobkowej, którą ktoś ukradł. Spojrzał na posadzkę pod miejscem, gdzie wisiała płyta, i zauważył, że zamiast czterech kafelków jest gips, który zszarzał i nie odbijał od tła posadzki. Johannowi von Haubitz łatwo było wyjąć kafelki, wydlubać pod nimi dziurę, 98

włożyć kasetkę z pamiętnikiem, a potem zalać ją gipsem. Wystarczyło, że przywiózł tutaj niedużą torbę z gipsem i trochę wody. W ciągu pół godziny mógł sporządzić całą skrytkę. I nie więcej niż kwadrans potrzebował Kuryłło, aby wydobyć pamiętnik. Przypomnijcie sobie, że przebywał tutaj prawie trzy kwadransy. Kasetkę ukrył pod mchem, a pamiętnik schował

za pazuchę i, gniewając się na nas za pozostawienie w grobowcu, zasiadł w moim samochodzie.

Kuryłło jest geniuszem! - zawołałem. - Ale nie gorszy od niego okazał się Fryderyk. Nabrał

on podejrzeń wobec Kuryłły już chyba po fakcie odnalezienia go w młynie Topielec i upewnił się w podejrzeniach gdy Kuryłło pozostał na wieży kościelnej. Potem Kuryłło zawieruszył się ponownie i wtedy Fryderyk zdecydował się sprawdzić przyczynę tego faktu.

Pamiętacie, on sam ofiarował się pójść do grobowca i uwolnić Kuryłłę. Poszliście jednak całą gromadką, chłopcy, doktor, Fryderyk i Zenobia...

- Tak było - podjął wątek doktor. - Tell otworzył drzwi, Kuryłło wyszedł z mauzoleum i zaczął

na nas krzyczeć, a my go przepraszaaliśmy. Jediną osobą, która jeszcze raz weszła do mauzoleum po opuszczeniu go przez Kuryłłę, był właśnie Fryderyk. Nie zwracaliśmy na to uwagi, zajęci prześlągiwaniem Kuryłły.

Teraz przypominam sobie, że Fryderyk zabawił w grobowcu nawet kilka minut, to ja wywołałem go stamtąd.

Tell zamknął kłódkę i wspólnie wracaliśmy do samochodu. Przypominam sobie, że Fryderyk szedł z nami milczący i zamyślony...

- Tak, ma pan rację - powiedziałem. - Zapewne Kuryłło zamaskował resztkami mchu wykruszony gips i ukrył w mchu pustą kasetę. Ale przecież Fryderykowi wystarczyło parę razy rozgarnąć nogą mech na posadzce, aby odkryć dziurę i znaleźć kasetę. Co mógł

jednak uczynić w tej sytuacji? Gdyby podniósł alarm, odebralibyśmy Kuryłlle pamiętnik i oddalibyśmy go pani Hildzie. Fryderyk postąpił inaczej i to jest koronnym dowodem, że nie był nigdy naszym sprzymierzeńcem, lecz szukał pamiętnika na własną rękę.

- Ciekawe, z czyjego polecenia? - zastanawiała się Hilda.

- Nie mam pojęcia - stwierdziłem. - Wiemy tylko, że przemilczał swoje spostrzeżenie i zdecydował się czekać na najbliższą okazję, aby zabrać Kuryłlle pamiętnik. Na górze zamkowej w Moryniu znalazł się nareszcie sam na sam z prezesem i pod groźbą pistoletu zażądał wydania pamiętnika. Może przerażony prezes zgodził się, lecz potem rozmyślił i rankiem uciekł z obozu? Z mojej winy pogoń za nim nie udała się Fryderykowi, który tym rozwścieczony popędził do Jasienia, aby tam rozprawić się z Kuryłłą. Wkrótce przekonał

się, że został oszukany, i wtedy spróbował porwać Kuryłłę z naszego obozu, aby zmusić go do wydania pamiętnika. Nie wiedział przecież, gdzie Kuryłło przechowuje pamiętnik. I tym razem nie udało się to Fryderykowi. Postanowił więc zaczekać na niego w Jasieniu. A Kuryłło? Czuł się wśród nas bezpieczny, dopóki nie usłyszał, że pragnę wrócić do mauzoleum i jeszcze raz je przeszukać. Domyślał się, że odkryjemy w grobowcu ślady jego działalności, odnajdziemy kasetę i dowiemy się o jego roli. Chciał odwlec tę chwilę i zdradził

nam informację o jeszcze jednej szachownicy. A sam wyniósł się cichaczem z obozu, zapewne także i w tym celu, aby zmylić prześladowającego go Fryderyka. Jestem pewien, że w tej chwili Kuryłło siedzi gdzieś w ukryciu i czeka na przyjazd Klausa, z którym był już uprzednio umówiony.

Doktor zaczął dreptać w miejscu, pełen niepokoju i niecierpliwości.

- Proszę państwa! - zawołał. - W takiej sytuacji każda minuta jest droga. Musimy schwytać Kuryłłę i odebrać mu pamiętnik. Każda minuta może być bezcenna. Róbmy coś, działajmy!

Klaus nadjedzie tu najdalej jutro rano. Kuryłło wręczy mu pamiętnik, a wtedy -wszystko przepadło.

- Pośpiech jest złym doradcą - zmitygowałem doktora. - Czy sądzi pan, doktorze, że Kuryłło nosi pamiętnik w kieszeni lub pod pachą? Co będzie, jeśli schwywany przez nas Kuryłło 99

wyprze się wszystkiego i stwierdzi, że nie znalazł pamiętnika? Co będzie, jeśli rewizja u Kuryłły nie da nam pamiętnika? Spłoszymy ptaszków i Klaus wróci z niczym do Niemiec.

Ale gdy sprawa przycichnie,, skontaktuje się znowu z Kuryłłą i przyjedzie do Polski po raz trzeci. Nasz prezes wydobędzie wówczas z ukrycia pamiętnik i dobije targu.

- Więc co pan radzi zrobić?

- Nic. To znaczy zupełnie nic. Przede wszystkim nie wolno nam dać poznać po sobie, że znamy prawdę. Doktor, chłopcy i Kasia pozostaną w obozie koło mauzoleum, a ja z panią Hildą pojedę natychmiast do Jasienia. Pani Hilda skontaktuje się telefonicznie z kierownikiem polskiej ekipy śledczej, przedstawi mu sytuację, a oni już będą wiedzieli, jak postąpić z Kuryłłą. Trzeba umożliwić Klausowi i Kuryłlle spotkanie i dopiero wtedy wkroczyć do akcji. Należy schwytać ich na gorącym uczynku przekazywania sobie pamiętnika, bo to jest jedyna szansa, aby ten pamiętnik dostał się w nasze ręce. Więc ja odwiozę do Jasienia panią Hildę, a potem wrócimy na Polanę. Zgoda?

- Tak jest - przytaknęła Hilda.

Po kilku minutach siedzieliśmy już w wozie.

Był wieczór, pora szarego zmierzchu. Zapaliłem światła reflektorów i na pełnym gazie ruszyłem szosą do Jasienia. Klaus wyjechał do Polski dopiero po południu i przebyć musiał

prawie całe Niemcy Zachodnie, a później Niemiecką Republikę Demokratyczną.

Było oczywiste, że po drodze zechce gdzieś nocować, a więc nie mógł przejechać polskiej granicy wcześniej niż jutro rano. Zdawałem sobie sprawę, że niewiele czasu pozostanie polskim władzom do zorganizowania pułapki, w którą wpadnie Klaus i Kuryłło. Dlatego miał

jednak rację doktor, gdy powiedział, że każda minuta jest cenna.

- Skąd była ta ekipa śledcza? Z Warszawy? - zapytałem.

- Tak. Kierownik tej ekipy pozostawił mi swój warszawski służbowy numer telefonu i powiedział, że gdyby nasunęły mi się jakieś nowe spostrzeżenia w związku ze sprawą pamiętnika, to mogę w każdej chwili telefonicznie skontaktować się z nim. Wyznaję, że mam trochę do nich pretensji: mogli i oni domyślić się, że Klaus nawiązał tu jakieś kontakty, znalazł pomocnika i zlecił mu dalsze poszukiwania. Dlaczego zgodzili się na naszą rezygnację z poszukiwań i wyjazd do Niemiec?

- Zapewne wpadli na ten sam co i ja pomysł, ale może właśnie na rękę była im wasza rezygnacja, wyjazd i spokój wokół tej sprawy, gdyż właśnie to mogło ośmielić wysłannika Haubitza do podjęcia działalności.

Jestem pewien, że wiedzą o każdym naszym kroku obserwują także naszych przeciwników i włączają się do akcji we właściwej chwili. Lecz mimo tej pewności trzeba ich poinformować o niebezpiecznej sytuacji.

- A Fryderyk? Jak pan sądzi, kim on jest?

- Proces we Frankfurcie wzbudził dość duże zainteresowanie w różnych środowiskach. Kto wie, czy sprawą pamiętnika nie zainteresował się wywiad któregoś z wielkich mocarstw.

Czytałem kiedyś wspomnienia jednego z funkcjonariuszy wywiadu brytyjskiego. Pisał on, że całymi latami skrupulatnie zbierali kompromitujące wiadomości o różnego rodzaju działaczach politycznych w różnych krajach, aby wyciągnąć je na stół w odpowiedniej chwili. I pod groźbą publicznego skandalu czynili z nich posłuszne sobie narzędzia. Może jakiś wywiad chce mieć Haubitza w swoim ręku i do tego potrzebny jest pamiętnik? Czy osoba Fryderyka nie wydaje się pani podejrzana? Ten jego pływający po wodzie, silny jak czołg samochód, strój do nurkowania, pistolet gazowy, chloroform, jego inteligencja, urok osobisty...

. Nie dokończyliśmy rozmowy. W świetle reflektorów zobaczyłem pierwsze domki wsi Jasień. Przejechałem obok kościoła i skręciłem pod pałac nad jeziorem. Hilda wyskoczyła z wehikułu i czym prędzej pobiegła do swego pokoju, skąd zamierzała zamówić błyskawiczną rozmowę z Warszawą.

A ja wstąpiłem do kawiarni pałacowej, ale mię zastałem tam ani Fryderyka, ani Zenobii.

Wśród wozów parkujących koło pałacu nie było także ogromnego forda ze szwajcarskimi numerami rejestracyjnymi.

W recepcji zapytałem o Fryderyka i otrzymałem zdumiewającą odpowiedź:

- Pan Fryderyk Braun zwolnił swój pokój i wyjechał przed wieczorem.

- Czy nie wiadomo dokąd?

- Nie pytaliśmy. Wspomniał coś o Jugosławii...

Wsiadłem do wehikułu i pojechałem do ośrodka wypoczynkowego po drugiej stronie jeziora. Zapukałem do domku Zenobii. Nikt jednak mi nie otworzył, w pobliżu domku nie znalazłem strasznego motocykla. Zapukałem do domku Kuryłły, ale i tu również nikt nie otworzył. Poszedłem więc do kierownika ośrodka.

- Pytał pan o pana Kuryłłę? Owszem, przed dwiema godzinami właśnie powrócił z wycieczki, zabrał swoje rzeczy i zwolnił domek. Spieszył się na autobus do Wrocławia.

Nie mogłem opanować wrastającego we mnie niepokoju. Zdarzenia rozwijały się w sposób dla mnie niezrozumiały. Wróciłem do pałacu i pobiegłem do pokoju Hildy. Właśnie skończyła rozmowę z Warszawą. Tak zwane połączenie błyskawiczne kosztuje dziesięć razy drożej niż normalne, lecz w tej sprawie nie należało być oszczędnym.

- I co? I co? - pytałem z niepokojem.

- Tak jak pan przewidywał, odpowiedziano mi, że wiedzą o moich dalszych poszukiwaniach pamiętnika.

Mają pełne informacje w tej sprawie i trzymają rękę na pulsie.

- Trzymają rękę na pulsie? Tak się wyrazili?- ucieszyłem się.

- Tak. I powiedziano mi jeszcze, że oni wiedzą również o zamierzonym przez Klausa powrocie do Polski. Otrzymali sygnał, że Klaus znowu poprosił o zezwolenie na wjazd do Polski i otrzymał je.

- Chwała Bogu - odetchnąłem z ulgą.

- Nakazali mi spokój i rozwagę. Poprosili, abym robiła to, co do tej pory. To znaczy: poszukiwała pamiętnika.

- W takim razie wracamy na Polanę - zdecydowałem. - Wkrótce będziemy znowu w kamieniołomie, a potem wśród przyjaciół, którzy tam chyba umierają !z niepokoju.

;. W godzinę później drapaliśmy się w ciemnościach na szczyt Polany, gdzie w najbliższym sąsiedztwie mauzoleum Haubitza białą w .mroku trzy namioty.

Doktor, chłopcy i Kasia jeszcze nie spali. Okazało się, że czekają na nas z przygotowaną kolacją. Jedząc powtórzyliśmy im treść rozmowy telefonicznej oraz podzieliliśmy się wszystkimi naszymi przypuszczeniami.

- A więc nasza rola już skończona - stwierdził doktor. - Zapewne będą obserwować Klausa od chwili, gdy przekroczy polską granicę. Umożliwią mu spotkanie z Kuryllą i aresztują ich w momencie, gdy będą sobie przekazywać pamiętnik.

Tell był oburzony.

- To tak?! - zawołał. - To my tyle się napracowaliśmy, naszukaliśmy, a oni teraz przyjdą na gotowe? I nawet nas nie zaproszą na najciekawszy moment w tej sprawie? Wiewiórka nałykał się gazu z pistoletu Klausa, a nie będzie świadkiem schwywania łobuzów?

- A Sebastian? On też nałykał się gazu - przypomniała Kasia.

- Przekonacie się - przepowiadał Sokole Oko - oni nawet nie podziękują nam za udział w tych wydarzeniach.

- Tak jest, nawet nam nie podziękują - przytaknął Wiewiórka. - Jeszcze powiedzą, że im utrudnialiśmy działalność.

Hilda zaprotestowała.

- Jeśli otrzymam pamiętnik, w największych niemieckich gazetach ogłoszę podziękowanie dla was.

- Naprawdę? Tak pani zrobi? - ucieszył się Tell.

- Ja wolałbym w polskich - rzekł beczelnie Wiewiórka. - - . Bo przynajmniej chłopaki w szkole dowiedzą się o moich przygodach. Nie uwierzą, jeśli im sam opowiem.

- Dobrze. Prześlę podziękowanie i do polskich gazet - zgodziła się Hilda.

Pozwoliłem .sobie zrobić nieśmiałą, lecz chyba rzeczową uwagę:

- A tymczasem pamiętnik jest jak przysłowiowy wróbel na dachu. Wydaje mi się,, że dzielicie skórę na niedźwiedziu, którego jeszcze nie upolowano.

Chłopcy zakłopotali się. Nastąpiło milczenie. Doktor spojrział na zegarek.

- Jedenasta. Czy nie sądzicie, że już należy iść spać?

Sokole Oko westchnął:

- A jednak to wielka szkoda, że nasza rola się skończyła... ,

- Spać, spać, spać - nawoływał doktor zaganiając chłopców do namiotu.

Wyznaję, że i mnie było nijako. Nie dlatego, że skończyła się jeszcze jedna •wspaniała przygoda. Przykra była mi świadomość, że kończyła się bez naszego udziału.

Wyobrażałem sobie, że to my odnajdziemy pamiętnik i z dumnymi minami wręczymy go Hildzie.

A tymczasem miało się to stać gdzieś poza nami w nieznaney nam sytuacji, w której nie będziemy nawet biernymi świadkami.

I tej nocy na Polanie kładliśmy się spać z ciężkimi sercami, sądząc, że ktoś inny napisze zakończenie historii rozpoczętej w harcerskiej Księdze strachów.

Och, jakże byliśmy naiwni...

ROZDZIAŁ

SZESNASTY

KOGO ZWĘSZYŁ SEBASTIAN? \* NOCNA WYPRAWA DO LASU •

GROŹNY NAPASTNIK\* W POGONI ZA ZŁODZIEJAMI » WIEWIÓRKA OKAZUJE SIĘ

GRYZONIEM \* ZENOBIA CORAZ BARDZIEJ PODEJRZANA • ROZMYŚLANIA Nadchodziła burza. Leżeliśmy już w namiotach (w jednym ja z doktorem, w drugim Hilda z Kasią, a w trzecim



chłopcy), gdy usłyszeliśmy jej głuchy pomruk. Był to odgłos podobny do usuwania się kamiennej lawiny po stromym zboczu. Potem, w miarę zbliżania się burzy, głuche dudnienie miało coraz rzadsze przerwy, wydawać się mogło, że nocujemy w pobliżu ogromnego wulkanu.

Doktor spał smacznie .mimo łoskotu, mnie jednak sen uciekł z powiek. Po jakimś czasie stwierdziłem, że burza przechodzi bokiem. Lecz i wówczas nie zasnąłem, tylko słuchałem wciąż jej basowego głosu. Zresztą może na chwilę nawet i pogrążyłem się w sen, cienki i delikatny jak pajęczyna. Wyraźnie jednak usłyszałem dwa krótkie szczeknięcia Sebastiana, który spał w namiocie Hildy i Kasi.

Nasz namiot był nie zasznurowany. Po cichutku wysunąłem się z niego i natychmiast przeniknął mnie lodowaty chłód nocy. Cofnąłem rękę do namiotu i wymacałem sweter, który naciągnąłem na siebie.

Obóz okrywała noc. Była mroczna, ale widoczny był czarny skraj otaczającego nas lasu.

Łoskot dalekiej burzy przycichł na krótko, po chwili jednak znowu ozwało się głuche dudnienie grzmotów. Pochłaniało ono wszystkie szelesty, które zazwyczaj słyszy się w letnią noc w pobliżu lasu. Sebastian nie zaszczekał więcej i dał znak życia dopiero, gdy znalazłem się w najbliższym sąsiedztwie namiotu Kasi.

Gwizdnąłem cicho i, o dziwo! - Sebastian, ten sybaryta, piecuch i wygodnicki, jak liszka wypełznął z namiotu przez pozostawioną dla niego szparkę. Jak każdy jamnik, lubił

przechodzić pod niskimi sprzętami, przeciskać się przez różnego rodzaju szpary. Merdając swym szczurzym ogonem dotknął mnie wilgotnym nosem.

Spodziewałem się, że nocny chłód natychmiast zapędzi go do ciepłego legowiska. Kasia musiała co wieczór staczać z nim walki - z taką siłą pchał się do śpiwora. Lecz tym razem pies nie wrócił do namiotu.

Przykucnął przy .moich nogach i zaczął wietrzyć, wciągając ze świstem powietrze nadpływające od strony szczytu: „Może czuje jakieś dzikie zwierzę kryjące się w lesie?” -

pomyślałem.

Sebastian wciąż wietrzył i wietrzył, jak gdyby smakując zapach nocnego powietrza.

Wreszcie zaskomlił cichutko.

Zrobiłem trzy kroki w kierunku lasu. Sebastian podniósł się i poszedł za mną. „Kie lichy?” -

pomyślałem. I zatrzymałem się. Wtedy pies również przystanął.

Z namiotu wychyliła się główka Kasi.

- Co się stało? Dlaczego pan nie, śpi? - spytała mnie szeptem.

Przykucnąłem i powiedziałem jej do ucha:

- Robię nocny obchód obozu. Zabierz Sebastiana i zamknij go w namiocie. Pęta się pod nogami i przeszkadza. Zabierz go i kładź się spać.

Schwyciłem Sebastiana i podałem go dziewczynce.

Posłusznie zasznurowała szczelnie namioty .zeby pies nie mógł się znowu wymknąć.

Byłem rad, że uwolniłem się od towarzystwa psa.

Chciałem poznać przyczynę niezwykłego zachowania się Sebastiana, ale bałem się, że on może mi to utrudnić. Zamierzałem obejść cały obóz, a pies mógł nagle podnieść harmider i wszystkich pobudzić.

Ostrożnie ominąłem namiot harcerzy. Było w nim cicho, zapewne chłopcy spali smacznie, kołysani dalekimi odgłosami burzy. Zrobiłem jeszcze kilkanaście kroków i dosięgnąłem lasu. Teraz należało wzmóc uwagę. Drogę zagradzały niewidoczne w ciemnościach gałęzie, wystarczyło otrzeć się o nie, a sprawiały szelest, którego nie głużyły nawet grzmoty.

Zanim zagłębiłem się w las, obejrzałem się za siebie, na polanę i rozstawione na niej namioty. Hen, daleko, w mrokach nocy pobłyskiwało i jak gdyby z potężnej piersi dobywał

się pomruk, znów bliższy i głośniejszy.

A więc burza powracała w tę okolicę.

Minąłem ścieżkę zbiegającą po stoku góry aż do kamieniołomu i wszedłem do lasu. Raz po raz noga moja zsuwała się do wykrotu wysłanego suchymi liśćmi, co powodowało głośny szmer. Raz po raz potykałem się o pień przewróconego drzewa, o twarz moją ocierały się nisko rosnące gałęzie. Wówczas przystawałem i nasłuchiwałem, czy wywołany przeze mnie szmer nie wypłoszy tego „coś” z ciemności i gęstwiny. Raz po raz też wydawało mi się, że przed sobą dostrzegam przyczajoną postać. Niekiedy dłuższą chwilę trwało, zanim uświadomiłem sobie, że to tylko dwa rosnące przy sobie drzewa upodobniły się do sylwetki ludzkiej, a samotny jałowiec przypomina przykucniętego niedźwiedzia.

Burza była wciąż bliżej i bliżej. Już nad moją głową czarne chmury pękały od zygzaków błyskawic, a grzmot piorunów niemal ogłuszał. Dwukrotnie zerwał się silny podmuch wiatru i rozkołysał drzewa, wypełniając bór głośnym szumem liści. Wtedy to przyspieszyłem kroku i szedłem śmieiej, wiedząc, że szelest wywołany moimi krokami zagłuszają odgłosy wiatru i burzy.

Ale po chwili znowu wiatr ucichł, tylko gromy grzechotały nad Polaną. Nagle niebieska błyskawica rozdarła niebo i zobaczyłem przed sobą niewielką polankę. Jeszcze jedna błyskawica i dojrzałem postać ludzką...

Kilkoma susami, kryjąc się za pniami drzew, dopadłem skraju polanki.

Tajemnicza osoba poprawiła na sobie płaszcz i wolno poszła ścieżką w tę stronę, gdzie leżał nasz obóz.

Ucieszyło mnie to. Jeszcze chwila i będzie musiała przejść tuż obok mnie, ukrytego za pniem grubego buka. A wtedy?...

Nie miałem pojęcia, co wtedy zrobić. Byłem przecież bezbronny, a tajemniczy „ktoś” mógł być uzbrojony choćby w laskę. Zresztą nie było żadnych podstaw, aby sądzić, że ów osobnik miał wrogie zamiary.

Mógł to być samotny turysta, który zabłąkał się na Polanę.

Tajemnicza postać zbliżała się. Jeszcze krok i minie mnie w odległości wyciągniętego ramienia. Tak bardzo pragnąłem, aby w tym momencie znowu błysnęło.

Lecz tym razem szczęście mi nie sprzyjało. Osobnik przeszedł obok, twarzy jego nie zdołałem zobaczyć.

Szedł szybko, coraz szybciej i rozpląnął się w ciemnościach.

Pobiegłem za nim stąpając na palcach. Ścieżka skręcała raptownie obok wielkiego krzaka.

Otarłem się o niego prawym ramieniem, a potem potknąłem o wystający z ziemi korzeń.

Potknięcie było tak niespodziewane, że jak długi przewróciłem się na ziemię. Chciałem zerwać się na nogi, ale coś ciężkiego spadło mi na plecy, czyjeś kolana przygniotły mi łopatki, a czyjeś ręce w silnym uścisku ujęły moje dłonie. Tajemniczy osobnik siedział mi na karku i przygważdżał do ziemi.

Ogromnym wysiłkiem wygiąłem plecy w łuk i starałem się podciągnąć pod siebie kolana.

Udało mi się to. Odbiłem się nimi od ziemi i przekoziółkowałem wraz z przeciwnikiem przyczepionym do mnie jak kleszcz.

Przydały się umiejętności nabyte przy ćwiczeniach dzudo, sztuka upadania w przód i w tył.

Ale i mój napastnik znał dzudo. Wczepił się dłońmi w moją szyję, stosując klasyczny chwyt, mający spowodować u mnie utratę tchu.

„Zgiąć się, aby zwyciężyć” - przypominałem sobie nauki Akyamy. Przekoziółkowaliśmy razem i po chwili on anowu tkwił mi na karku i dusił.

Przechyliłem tułów do przodu i zwróciłem głowę w lewo pod ramionami napastnika.

Kontynuowałem obrót i zmusiłem go do zluźnienia uścisku. Wtedy złapałem go za nadgarstki. Jeszcze silny ruch tułowiem i tym razem to ja przygniatałem go sobą. Poczulem znajomy przyjemny zapach perfum. Pachnący loczek włosów łaskotał mnie w nos.

- Zenobia - powiedziałem, puszczać jej dłonie.

Po chwili staliśmy obok siebie, dysząc ze zmęczenia.

- Bandyta! - syczała Zenobia. - Napada pan no ca w lesie na samotne i bezbronne kobiety.

- To pani na mnie napadła - tłumaczyłem się, zaskoczony spotkaniem z dziewczyną.

- Musiałam się bronić. A to anaczy atakować. Widziałam, jak przyczał się pan za drzewem.

Wywabiłam pana na ścieżkę...

- Co pani tu robi? W nocy?

Wzruszyła ramionami.

- Umawialiśmy się przecież, że przyjadę do was. I do Kasi. Ale w tych ciemnościach nie umiałam trafić do obozu.

Podrapałem się w głowę.

- Zapewne chodziła pani w sąsiedztwie obozu, bo Sebastian panią zwęszył. Nie zauważyła pani namiotów obok mauzoleum?

- Przecież nie kryłabym się w lesie podczas burzy - burknęła.

Zerwał się wicher, rozszumiał się las. Pazury błyskawic rozdzierały czarną powłokę nisko sunących chmur.

Zenobia zdawała się z niepokojem nasłuchiwać narastającego szumu wiatru.

- Gdzie jest pan Fryderyk? - zapytałem.

- Wyjechał.

- Do Jugosławii?

- Nie wiem. Nie pytałam go o to.

Szum narastał. Krople deszczu zaczęły uderzać w liście.

- Chodźmy do namiotów. Prędeż, bo zmokniemy - chwyciłem Zenobię za łokcie.

Ku mojemu zdumieniu dziewczyna ani drgnęła. Jak gdyby nic jej nie obchodziła ulewa.

- No, chodźmy. Zmokniemy - powtórzyłem.

- Cicho - burknęła. I stała dalej nieruchomo, nasłuchując.

Ulewa ogarnęła nas nagle, zalewając potokami wody.

W jednej chwili byliśmy zmoknięci. Mój sweter nasiąknął wilgocią jak gąbka, płaszcz Zenobii stał się śliski jak skóra węża. Zenobia nie miała nic na głowie. Ani chustki, ani kaptura. Jej włosy zamieniły się w ociekające wodą strąki. A ona wciąż stała w potokach deszczu i nasłuchiwała.

- Co się pani stało? - zapytałem.

Raptem poprzez szum wiatru i deszczu usłyszeliśmy krzyk. A raczej wołanie. Dochodziło od strony, gdzie stały nasze namioty.

- Tam!... Tam pobiegli!... Łap ich, trzymaj!..;

Rozpoznałem głosy swoich przyjaciół, harcerzy. W naszym obozie działo się coś niepokojącego.

Tym razem nie trzeba było Zenobii zachęcać. Pierwsza pobiegła ścieżką w stronę, skąd dolatywały wołania.

Wielkimi susami pędziłem obok niej.

Przebiegliśmy dwa zakręty ścieżki i głosy harcerzy stały się wyraźniejsze.

- Chłopaki, szukajcie w tamtych krzakach... Tam się schowali! - rozpoznałem rozkazujący głos Tella.

Ulewa urwała się, ale wzmógł się wiatr. Napierał na nas, rozkołysał korony drzew i strząsał deszcz z liści.

Łomot wiatru znowu zagłuszył wołanie chłopców. Biegając, niemal wpadliśmy na nich.

Zabłyśły trzy latarki elektryczne.

- Pan Samochodzik! I pani Zenobia? - chłopcy byli zdumieni co najmniej tak samo, jak ja, gdy w walczącym ze mną napastniku odkryłem dziewczynę.

- Co się stało? Kogo szukacie po lesie? - Zenobia zadawała pytania ostrym głosem, wymuszającym natychmiastową odpowiedź.

- Ktoś zakradł się do naszego namiotu. Ugryzłem go w rękę - powiedział z dumą Wiewiórka.

- Ugryzłeś go? - parsknąłem śmiechem. Mój śmiech obraził chłopca.

- A co miałem zrobić? Pogłaskać go po rękę?

Tell rzeczowo uzupełnił wyjaśnienie:

- Ktoś chciał zakraść się do naszego namiotu. Przeciął nożem płótno i wsadził rękę. Wtedy Wiewiórka ugryzł go. Tamten krzyknął i wyszarpnął rękę z namiotu. Wybiegliśmy i zobaczyliśmy, że dwóch ludzi ucieka do lasu. Popędziliśmy za nimi, ale była burza, ulewa i wiatr. Zdołali nam umknąć...

- Chyba nie uciekli daleko. Moglibyśmy ich poszukać - proponował Sokole Oko.

Rozejrzałem się po nocnym i mokrym od deszczu lesie, w którym szalał zimny wiatr.

Chłopcy ubrani byli w pidżamy, ja miałem na sobie przemoknięty sweter i-mokre spodnie od pidżamy. : :

- Wracamy do obozu - zdecydowałem. - W lesie na Polanie potrafi się ukryć cały pułk.

Na skraju obozu spotkaliśmy doktora, Hildę i Kasię. Wymachujący radośnie ogonem Sebastian rzucił się witać Zenobię.

Znowu nastąpiła długa chwila wyjaśnień, pytań i odpowiedzi, bo przecież nie tylko sprawa ze złodziejami, ale i niespodziewane zjawienie się Zenobii budziło zdumienie.

Wzięłem od Tella latarkę elektryczną i poszedłem do namiotu chłopców. Mówili prawdę: namiot był rozcięty w przedniej części, w pobliżu drzwi, a więc tam, gdzie zazwyczaj śpiący mają nogi, a na kawałku wolnej przestrzeni trzymają plecaki.

„A więc chcieli ukraść plecaki” - doszedłem do wniosku i wróciłem do swoich przyjaciół, którzy w dalszym ciągu komentowali nocną przygodę.

- Złodzieje sądzili, że burza będzie im bardzo pomocna - mówił Tell. - Zagłuszy ich kroki i rozcinięcie płótna. Ale właśnie burza stała się ich największym wrogiem. Obudziły nas grzmoty i pioruny. Nikt z nas nie spał. Leżeliśmy jednak cichutko, myśląc, że drugi śpi.

Nagle płótno namiotu trochę ugięło się i rozległ się chrobot rozcinanego materiału. Potem do namiotu wsunęła się czyjaś ręka. Wiewiórka, niewiele myśląc, capnął ją zębami.

Zimny wiatr coraz bardziej dawał się nam we znaki. Należało pomyśleć o ukryciu się w namiotach.

- Czy zmieszczę się u was? - Zenobia zapytała Hildę i Kasię.

- Ależ tak - ucieszyła się Kasia. - Przecież to jest namiot trzyosobowy.

Doktor zastanawiał się głośno:

- Ciekawy jestem, dlaczego złodziejaszki usiłowały zakraść się do chłopców, a nie, na przykład, do mojego namiotu?

- Bo nasz namiot stoi najbliżej lasu - odpowiedział Sokole Oko.

Wszystkich zadowolila ta odpowiedź, bardzo zresztą rozsądna. Powiedzieliśmy sobie

„dobranoc”, choć było już po północy, i zaczęliśmy rozchodzić się do namiotów.

Jeszcze na krótką chwilę znalazłem się sam na sam z Zenobią.

Powiedziałem do niej:

- Pani wiedziała, że ktoś zakrada się do naszego obozu. Tam, w lesie, nie chciała się pani ruszyć z miejsca. Nasłuchiwała pani, jak gdyby czekając na wydarzenia, które potem nastąpiły.

Parsknęła śmiechem.

- Pan zupełnie oszalał. Czyżby podejrzewał mnie pan o znowę ze złodziejami?

I odeszła do namiotu Hildy i Kasi. Byłem skonsternowany.

Rzeczywiście, jakoś trudno było wyobrazić sobie Zenobię w spółce z ludźmi okradającymi turystów.



Złodzieje ci zresztą nie mieli pojęcia, że plecaki w namiocie kryją rzeczy o tak małej wartości - koszulki i slipki, puszki z resztkami żywności, blaszane kubki i naczynia kuchenne - w przeciwnym razie nie usiłowałiby dokonać kradzieży. Powlokłem się do swego namiotu. Przebrałem się w suchą bieliznę, powiedziałem doktorowi „dobranoc”.

Udawałem, że jestem bardzo śpiący, aby w zupełnym spokoju przemyśleć wydarzenia nie tylko tej, ale i poprzedniej nocy.

Już zasypiałem, gdy nagle w mej głowie pojawiła się myśl tak absurdalna, że aż roześmiałem się cichutko. Lecz po chwili myśl ta mi uciekła, zagubiła się w mocnym pokrzepiającym śnie.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

CO OTRZYMALIŚMY ZAMIAST BANANOWEGO KOMPOTU • PODSŁUCHANA ROZMOWA •  
NAPAD • Z 24 UJAWNIA SIĘ • POCIESZAM KURYŁŁĘ « NA PUNKCIE

GRANICZNYM • GDZIE JEST PAMIĘTNIK? • ZAKOŃCZENIE PRZYGÓD

Nad ranem Polanę otoczyła gęsta mgła, a wraz z nią przenikliwy ziąb zakradł się do naszych namiotów.

Obudziliśmy się w kwaśnych humorach, nie było się czym umyć, bo wody, którą wczoraj przynieśliśmy na górę, starczyło zaledwie na kawę do śniadania.

Nie widzieliśmy dalej niż na trzy metry, nie mieliśmy się gdzie schronić przed wilgotnym oparem.

W tej białej wacie zaledwie majaczył skraj lasu i tylko rysowała się sylwetka mauzoleum.

Stok wzgórza opadał stromo w dół i zniknął w mgle, tak że wydawało się - dalej jest już przepaść bez dna.

Czegokolwiek dotknęliśmy się, wszystko było wilgotne, jak gdyby polizane mokrym ozorem.

Z niechęcią pakowaliśmy do worków wilgotne śpiwory, zwijaliśmy mokre materace i ociekające wodą płótna namiotów. Wreszcie zebraliśmy się wokół szumiącej wesoło maszyny gazowej, na której gotowała się pachnąca przyjemnie kawa. Na dużym talerzu leżały pokrojone przez Hildę kromki chleba z miodem. Po zjedzeniu śniadania zamierzaliśmy zejść do samochodów, a potem wrócić do Jasienia.

- Ciekaw jestem - odezwał się Tell - czy ci, co odbiorą Kurylle pamiętnik Haubitzów, zechcą nam wyjaśnić wszystkie tajemnicze sprawy.

- Nie było żadnych tajemniczych spraw - powiedziałem ocierając twarz z mokrego oparu mgły. - Wszystko jest dziś jasne i oczywiste. Klaus, który przyjechał do Polski wraz z panią Hildą i Weberem, znalazł pomocnika w osobie Kuryłły. Nocami obydwaj penetrowali ruiny obserwatorium i na nich to natknął się Wiewiórka, gdy poszliście do ruin. Bali się, że o nocnych gościach w obserwatorium rozpowiecie na lewo i prawo, co mogło obudzić podejrzenia w polskiej ekipie śledczej. Dlatego zdecydowali się unieszkodliwić Wiewiórkę przy pomocy pistoletu gazowego. W kilka dni później i ja przyjechałem do Jasienia. Ale wówczas pani Hilda i Weber postanowili już wracać do Niemiec, ponieważ poszukiwania okazały się bezowocne. Tego samego dnia przybył do Jasienia.

Fryderyk i oczywiście poszedł nocą do obserwatorium, aby rozejrzeć się za szachownicami.

Zacząłem go śledzić i dlatego obezwładnił mnie chloroformem.

Nie chciał zostać zidentyfikowany, ale ciekaw był, kto go śledził. A dalszy ciąg jest również prosty. Polska ekipa odjechała do Warszawy. Weber i Klaus wrócili do Niemiec, poszukiwaniami miał zająć się z polecenia Klause nasz prezesunio, Kuryłło.

Zorganizowaliśmy Związek Tajemniczej Szachownicy i rozpoczęliśmy podróż, która była na rękę Kurylle i Fryderykowi.

Później Fryderyk stwierdził, że Kuryłło odnalazł pamiętnik, i postanowił mu go odebrać na górze zamkowej. Usiłował dokonać porwania nad Jeziorem Żabim.

Kuryłło zawiadomił Klause, że ma pamiętnik, albo też już uprzednio umówił z nim termin i miejsce przyszłego spotkania. Klaus znowu jedzie do Polski. Nakryje ich nasz kontrwywiad, a wówczas pamiętnik znajdzie się w rękach pani Hildy.

- Albo się nie znajdzie - burknęła Zenobia. - Pan Tomasz wyeliminował z gry osobę Fryderyka.

Wątpię jednak, czy on sam da się tak łatwo pominąć.

- Fryderyk odjechał do Jugosławii - rzekłem.

- Tak? - Zenobia udała zdumienie. - Razem z Kuryłłą?

- Jak to: razem z Kuryłłą?

- A tak. Wczoraj wieczorem widziałam jadącego forda. Wóz prowadził Fryderyk, a obok niego siedział prezes Kuryłło.

Złapałem się za głowę.

- To znaczy, że Fryderykowi udało się dopaść Kuryłłę. No tak, Kuryłło powrócił do Jasienia po swoje rzeczy; a tam czyhał na niego Fryderyk. I zabrał go wraz z pamiętnikiem. Dokąd pojechali?

- Tego, niestety, nie wiem - mruknęła Zenobia. - Wprawdzie popędziłam za nimi motocyklem, ale wóz Fryderyka jest niezwykle szybki. Wydaje mi się, że jechali w stronę Polany.

- Tutaj? Po co? - zawołali chłopcy.

Przypomniałem sobie nasze obozowisko nad Jeziorem Żabim. Przypomniałem sobie przecięte żyłką płótno namiotu...

I już wiedziałem! Ach, co za ulga! Odetchnąłem głęboko, jak gdybym dokonał jakiejś ogromnej wspinaczki.

Roześmiałem się głośno jak wariat. W ten sposób objawiło się ustępujące we mnie napięcie nerwowe. Nie mogłem powstrzymać się i stłumić śmiechu. Chichotałem jak szaleniec, dostrzegając coraz bardziej zdumione miny chłopców, Kasi, doktora i Zenobii.

- Co się panu stało? - zaniepokoił się doktor.

Odetchnąłem jeszcze głębiej. Raz i drugi. Stłumiłem śmiech.

- Wiewiórka - zwróciłem się do chłopców - czy nie sądzisz, że pora już poczęstować nas swoją niespodzianką? Jak długo zamierzasz ją nosić w plecaku? To już koniec naszej wycieczki. Jutro pani Hilda pojedzie do Berlina, pani Zenobia i Kasia powrócą do Warszawy, a i my pośpieszymy do domu. Zabierzesz z sobą również i niespodziankę?

- Pan Tomasz ma rację. Otwieraj puszkę! Zjemy teraz to, co w niej trzymasz - rozkazał Tell.

- Jeśli się nie zepsuło - dodał Sokole Oko.

Wiewiórka chwycił swój plecak i wyciągnął z niego oklejoną plastrami puszkę.

- Przepraszam was, ale ja zupełnie zapomniałem o swojej niespodziance - tłumaczył się zawstydzony.

Szybko oderwał plastry na puszcze. I otworzył ją.

- - Boże drogi! - jęknęła Hilda.

- Och! - westchnęła Zenobia.

- Och! - powtórzyła Kasia.

- O, rany! - wrzasnął Sokole Oko.

- A to ci heca - powiedział Tell.

- Nie do wiary - wyjąkał doktor.

Tylko Wiewiórka był tak zdumiony, że nie wydał z siebie głosu. Sięgnął po puszkę i wyjął z niej skórzane okładki kryjące w sobie dwa okazałe grubości bruliony. Okładki miały wyciśnięte litery, ongiś chyba złote, a teraz wyblakłe, żółtawe. Układały się one w słowa: Konrad von Haubitz

Pierwszy zdołałem ochłonąć i zdobyłem się na wesoły ton:

- Piękną niespodziankę miałeś dla nas, Wiewiórko. Co tu ukrywać, niezwykła to niespodzianka.

Wiewiórka spojrział na mnie szeroko otwartymi oczami. Podobnie otwarte były jego usta.

- A gdzie moja czekolada? Pudełko z bananowym kompotem? Cztery paczki herbatników?

W tej puszcze miałem też gumę do żucia, torebkę z miętowymi cukierkami, pudełko z marmoladkami...

- O jej, język mi ucieka - westchnęła Kasia.

- I co się z tym stało? - zakończył Wiewiórisa.

Sokole Oko domyślnie pokiwał głową.

- Smakołyki Wiewiórki zjadł pan Kuryłło. A my mamy pamiętnik Haubitz.

Tell tłumaczył Wiewiórcze:

- Ty jeszcze nic nie rozumiesz? Pamiętasz wieczór nad Jeziorem Żabim? Zobaczyłeś u pana Kuryłły puszkę oklejoną plastrami i zrobiłeś to samo. A potem Sokole Oko zaczął

porządkować zapasy żywności i wtedy zamienił puszkę.

Hilda gorączkowo przerzucała stronice brulionu. Były one zapisane wyraźnym gotyckim pismem. Tu i ówdzie wklejono fotografię. Jeden rzut oka wystarczył, aby się upewnić, że jest to autentyczny pamiętnik Konrada von Haubitz.

- Oto i on - Hilda wskazała fotografię eleganckiego oficera.

- Mam nadzieję - odezwała się Zenobia - że ten pamiętnik wystarczy, aby Haubitz zawędrował na ławę oskarżonych.

Doktor wrzasnął, jak gdyby nagle obudził się ze snu: 108

- Rozumiem! Już wszystko rozumiem! Wczoraj wieczorem Fryderyk nareszcie dostał w swoje ręce Kuryłłę. Przerażony przesunął w ręce Fryderykowi puszkę z pamiętnikiem. I wtedy okazało się, że za - miast pamiętnika w puszcze są czekoladki i kompot bananowy...

- Może stało się to już wcześniej - powiedziałem. - Może Kuryłło natychmiast po rozstaniu się z nami zajrzał do puszkę i stwierdził, że puszkę zamieniono. W innej sytuacji zapewne mógłby do nas wrócić i po prostu powiedzieć: zamieniono puszkę, zwróćcie mi moją.

Uczynilibyśmy to nie zaglądając do wnętrza. Ale my wtedy już pojechaliśmy do leśniczówki Czarne, a potem na Polanę, do grobowca Haubitz.

Kuryłło zdawał sobie sprawę, że zauważymy otwartą skrytkę, znajdziemy kasety i domyślimy się, kto nas wykiwał. Jedyne nadzieje, jaka mu pozostała, to możliwość, że nie otworzymy puszk-niespodzianki, a on podstępnie będzie mógł ją nam odebrać. Gdy wpadł

w ręce Fryderyka, oczywiście powiedział mu, co się wydarzyło. I obydwaj tej nocy usiłowali wykraść puszkę z namiotu chłopców...

Urwałem. Wydawało mi się, że za kratą w oknie grobowca mignęła mi czyjaś twarz.

- Tam... tam... - wyjąkałem. - Ktoś tam jest i podsłuchuje...

Zenobia, doktor, chłopcy, Kasia i Hilda porwali się ze swoich miejsc i rzucili się w stronę mauzoleum. Ale ci, co się w nim kryli, uprzedzili ich. Zanim chłopcy dobiegli do grobowca, usłyszałem skrzyp drzwi i dwa cienie przepadły w mgłę.

- Trzymaj! Łap ich! - krzyczeli chłopcy.

Rozpoczęła się teraz szaleńcza gonitwa po stoku wzgórza.

Z gęstej mgły dobiegły mnie okrzyki chłopców, pisk Kasi, wołanie doktora. Słyszałem naszczekiwanie Sebastiana.

Przede mną na ziemi leżała otwarta puszk z pamiętnikiem Haubitza.

„Zachowują się bardzo nieostrożnie - pomyślałem. - Z tej puszk nie wolno spuszczać oka”.

Zamknąłem puszkę i znowu starannie okleiłem ją plastrem...

Pierwsza wróciła Hilda.

- Och, Boże, pozostawiłam pamiętnik! - zawołała.

Odetchnęła z ulgą, gdy wręczyłem jej zamkniętą puszkę. - A te dwa typy zniknęły nam w lesie. Jest taka mgła, że własnego nosa nie widać.

- Niech się pani z tą puszką nie rozstaje. Obawiam się, że czeka nas jeszcze wiele kłopotów - ostrzegłem Hildę.

Z nieudanej pogoni powróciła Zenobia, Kasia, doktor -i chłopcy. Przybiegł także i Sebastian, który tę gonitwę uważał za świetną zabawę i wesoło merdał ogonem.

- To byli Fryderyk i Kuryłło - rzekł Tell. - Nie rozpoznałem ich w mgłę, ale to mogli być tylko oni.

Przytaknąłem, a doktor powiedział:

- Zdaje się, że czeka nas niewesoły powrót do samochodu. Te łajdaki spróbują wykorzystać mgłę, żeby odebrać nam pamiętnik. Uważam, że powinniśmy natychmiast stąd wyruszyć, zanim nie ochłona

po ucieczce i nie wymyślą jakiejś pułapki.

- A może zaczekamy, aż mgła opadnie? - zaproponowała Zenobia.

- A jeśli mgła nie opadnie aż do wieczora? - odrzekł jej doktor. .

- Musimy być bardzo ostrożni. Fryderyk ma pistolet gazowy- przypomniał Sokole Oko.

Wiewiórka lekceważąco machnął ręką.

- Raz już łyknąłem tego gazu. Nie boję się. Dajcie mi puszkę, ja ją będę niósł.

- Nie. Ja ją wezmę- odezwała się Zenobia.

Chłopcy podnieśli wrzask protestacyjny:

- Nie zgadzamy się, aby puszkę niosła pani Zenobia! Każdy, tylko nie pani Zenobia!

Zenobia ujęła się pod boki

- A dlaczegoż to ja nie mam jej nieść? - spytała złowrogo.

Chłopcy zaczerwienili się. Nie mieli śmiałości powiedzieć jej, co myślą.

- Bo... bo... pani jest podejrzana - wyrzucił z siebie Sokole Oko.

- Tak - podchwycił Tell. - Przez cały czas zachowywała się pani bardzo podejrzanie.

Trzymała pani stronę Fryderyka.

Kasia o mało się nie rozbeczała.

- Jesteście wstrętni! Wstrętne chłopaki! Moja ciocia nigdy nie była podejrzana! Nigdy, nigdy, nigdy!  
- wołała.

Zenobia pogłaskała ją po głowie.

- Uspokój się, Kasiu. Nie chcą, żebym niosła? Nie, . to nie. Tylko żeby potem nie żalowali...

Hilda ucięła dyskusję:

- Ja wezmę puszkę z pamiętnikiem, a pan doktor i pan Tomasz będą moją asystą i konwojem. Wy także - uśmiechnęła się do chłopców, na co ani z po. wagą kiwnęli głowami.

- Przyjechałam do Polski po pamiętnik, a skoro znalazł się on już w moich rękach, nie mogę go nikomu oddawać. Uważam, że jeśli ktoś się powinien narażać w tej sprawie, to właśnie ja. Tym bardziej że mam z Haubitzem i prywatne porachunki.

Zakomenderowałem:

- W drogę, proszę państwa!

Podjęliśmy z ziemi nasze bagaże - namioty i śpiwory, uformowaliśmy się w kolumnę. Na przedzie szedł doktor i Kasia, potem Hilda w otoczeniu chłopców. Ja z Zenobia zamykaliśmy pochód, którego centrum stanowiła Hilda z puszką.

Nad Polaną zatrzymała się chyba ogromna chmura.

Mgła jeszcze bardziej zgęstniała, nie widziało się dalej niż na dwa kroki. Wkrótce też straciłem z oczu czoło naszego pochodu, doktora i Kasię. Jedyne co widziałem, to plecy Sokolego Oka i postać Hildy. Dwaj pozostali chłopcy zaledwie rysowali mi się we mgle.

- Czy nie za dużo pan ryzykuje? - odezwała się idąca obok mnie Zenobia.

- Sądzi pani, że jest jakieś ryzyko?

- To pan powinien był wziąć puszkę z pamiętnikiem. Co będzie, jeśli na Hildę napadną?

- Wprawdzie niesiemy ciężkie bagaże, ale w każdej chwili możemy je porzucić, aby obronić Hildę.



Zresztą, skąd ta pewność, że odważą się napaść?

- Czy pan wie, kim jest Fryderyk? Czy zdaje sobie pan sprawę, czego można się po nim spodziewać?

Uśmiechnąłem się.

- Wiem. Jest to człowiek piekielnie odważny i diablo sprytny. Odczuwam dla niego podziw, gdy pomyślę, że przez ten cały czas nie zrobił nic takiego, co mogłoby stać się dowodem przeciw niemu. Przypuszczam też, że jego paszport szwajcarski jest, niestety, autentyczny, o co postarali się jego mocodawcy. Jak mu dowieść, że „był człowiekiem-żabą i usiłował

porwać Kuryłkę? Jak mu udowodnić, że obezwładnił mnie chloroformem? Albo że na Polanie usiłował wykraść plecaki z namiotu chłopców? Albo że strzelał z pistoletu gazowego do Sebastiana? Właśnie dzisiaj mamy ostatnią szansę schwytania go na gorącym uczynku.

- Chce mi pan wmówić, że jedyny błąd, jaki popełnił, polega na tym, że nie docenił sprytu pana Samochodzika?

- Wodził mnie za nos "jak smarkacza. Wyobrażam sobie, jak szydził ze mnie, jednocześnie okazując mi przeróżne uprzejmości...

Urwałem. Pośliznąłem się na błotnistej i stromej ścieżce. Fiknąłem kozła i<sup>^</sup> zjechałem kilka metrów w dół. Zjeżdżając podciąłem nogi Sokolego Oka, który również fiknął kozła i począł

się zsuwać w dół. On podciął z kolei nogi schodzącej niżej Hildzie. Niemka krzyknęła i przewracając się wypuściła z ręki pudełko z pamiętnikiem, które zaczęło zjeżdżać po mokrej od mgły ścieżce.

Biały tuman wypełniły nawoływania i okrzyki. Słyszałem głos doktora spieszącego na pomoc Hildzie, zaszczekał Sebastian. Wrzeszczeli chłopcy, ścigający pudełko z pamiętnikiem.

Moje nogi nareszcie znalazły oparcie o leżący na zboczu kamień. Byłem obłocony i potłuczony, wokół siebie widziałem tylko mgłę.

Usiłowałem podnieść się z mokrej trawy, gdy jakaś potężna siła zwała mnie z nóg. Ktoś przewrócił mnie i zbiegł w dół.

„Fryderyk!” - przemknęło mi przez mózg okropne podejrzenie.

Zerwałem się z ziemi i znowu ktoś przewrócił mnie, -z ogromnym rozpędem spadając na mnie z góry. Przebiegł ślizgając się na trawie i błotnistej ścieżce.

Trzy wystrzały z pistoletu jak ostre uderzenie bicia przeszły mgłę.

Poderwałem się i na łeb, na szyję poleciałem w dół, w przepaść zakrytą białym tumanem.

Piętami zaryłem w ziemię tuż obok Zenobii. Dziewczyna trzymała w dłoni pistolet i strzelała z niego.

- Co pani wyrabia! - wrzasnąłem. - W tej mgle postrzeli pani któregoś z naszych!

- Strzelam na postrach - powiedziała. - I co pan teraz robi? Miał ich pan złapać na gorącym uczynku.

W mgłę zamajaczyły sylwetki chłopców i doktora.

- O, tam, tam uciekli, w dół. Z puszką - rozpacział Wiewiórka.

. Obok mnie Hilda zjeżdżała na .butach po trawie.

Biegliśmy w dół razi po raz przewracając się i koziołkując. Przecież to wszystko nie trwało dłużej niż kilka minut, napastnicy nie naogli uciec daleko. Jeśli nie na zboczu, to powinniśmy dogonić ich w kamieniołomie lub na szosie.

Zsuwałem się po trawie na złamanie karku, nieczuły na upadki i potłuczenia. Słyszałem za: sobą sapania chłopców, zachęcające okrzyki doktora, naszczekiwanie Sebastiana.

Nareszcie znalazłem się na dole, obok stojących, w kamieniołomie samochodów.

Wyskoczyłem na drogę, aby rozejrzeć się, czy gdzieś w pobliżu nie zobaczę forda, bo przecież Fryderyk chyba przyjechał tu swoim wozem. W chwilę później zobaczyłem Zenobię.

Przebiegła obok mnie i jak pantera rzuciła się w przydrożne krzaki. Zakotłowało się tam, a po minucie Zenobia wyciągnęła z krzaków pana Kuryllę. Trzymała go za kołnierz marynarki, jak myśliwy trzyma za uszy upolowanego zająca.

Wyprowadziła go na środek drogi, i potrząsając za kark, krzyczała:

- Gdzie jest Fryderyk?! Gdzie jest Fryderyk?!

O, jakże żaloszny widok przedstawiał nasz dumny prezes! Potrząsany przez Zenobię, raptem jak dziecko zaczął pięściami wycierać oczy, rozmazując brud na policzkach.

- To zbój, bandyta, gangster! Zostawił mnie i uciekł! Ja nie jestem niczemu winien. Zostawił mnie tu i uciekł z moją puszką! Pewnie uciekł samochodem do granicy niemieckiej - płaczliwie tłumaczył Zenobii.

Puściła nieszczęśnika, który zatoczył się i klapnął w wielką kałużę błota. Powiedziałem z trudem tłumiąc śmiech:

- Pani Zenobio, dogonimy Fryderyka, zanim zdoła przekroczyć granicę. Mój wehikuł nie jest gorszy, od forda. A myślę nawet, że okaże się szybszy.

Zenobia prychnęła pogardliwie.

- Może pan teraz nieść swój wehikuł na plecach. Niech pan raczy zerknąć na samochody.

Odwrociłem się i spojrzałem na nasze wozy. Aż mi się gorąco zrobiło. Wszystkie cztery koła wehikułu i Wartburga miały wypuszczone powietrze i stały jak w rozdeptanych kaloszach. Zdałem sobie sprawę, że przynajmniej godzina upłynie, zanim będą nadawały się do dalszej jazdy.

A Zenobia przeszła kilka kroków drogą i znowu weszła w krzaki, skąd wyprowadziła, swój straszliwy motocykl. Potem z jakiegoś miejsca w swym motocyklu wysunęła antenę i zaczęła manipulować gałkami radiostacji ukrytej wewnątrz przyczepy.

- Niech pan zajmie się swoim wozem - odezwała się do mnie, nie chcąc, abym słyszał treść meldunku, który zamierzała nadać.

Odchodząc do wehikułu słyszałem, jak wołała do nadajnika:

- Tu Z 24... Z 24... Z 24...

Tymczasem zeszli z góry Hilda, doktor i chłopcy objuczeni naszymi bagażami, które pozbierali na stoku Polany. Otoczyli pana Kuryłłę i pomogli mu wygramolić się z kałuży.

- I co teraz będzie? Co teraz zrobimy?- rozpaczliwie pytał Wiewiórka.

- Nie martwcie się - rzekłem. - Zanim Fryderyk dopadnie granicy i załatwi formalności celno-paszportowe, zdołamy napełnić powietrzem gumy i dogonimy go. Więc do roboty!

Wyjęliśmy pompki samochodowe. Na szczęście wentyle tkwiły w kołach. Wystarczyło więc tylko nadmuchać gumy.

Usłyszeliśmy hałas zapuszczanego silnika w motocyklu Zenobii. Podjechała do nas i przekrzykując łoskot silnika, zawołała do mnie:

- Niech pan zaopiekuje się Kuryłłą i zabierze go z sobą do granicy w Świecku! Tam zajmą się nim odpowiednie władze!

- Jestem niewinny - pisnął Kuryłło.

.- Cicho! - wrzasnęła na niego Zenobia. - A co do pamiętnika, panie Samochodzik, to na ten temat jeszcze pogadamy. Czy pan mnie już nigdy nie przestanie uważać za idiotkę?

Chciałem coś wyjaśnić, wytłumaczyć, lecz ona przesunęła rączkę gazu i ze straszliwym łoskotem odjechała po błotnistej drodze.

W niespełną godzinę później ruszyliśmy w tę samą stronę, na szosę do Świecka, gdzie znajdowało się najbardziej uczęszczane przejście graniczne do Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Drugie takie przejście było w Kołbaskowie pod Szczecinem, ale przeczucie mówiło mi, że Fryderyk wybierze raczej Świecko koło Słubic, gdyż tamtędy będzie miał najbliżej do NRF i dalej na Zachód, skąd chyba przyjechał.

Nie korzystałem z wielkich prędkości mego wehikułu, gdyż wiozłem Kasię i Hildę, a za mną pędził wartburg z chłopcami. Przez całą drogę do Świecka nasz prezes od czasu do czasu dostawał napadu

strachu, rozpaczął, błagał mnie, abym mu pozwolił uciec i skryć się przed odpowiedzialnością.

- Aresztują mnie - jęczał płacząco. - Zamkną mnie do więzienia. Ale wszystkiemu winien jest ten przeklęty Klaus. On mnie namówił do złego. Co teraz zrobić, panie Tomaszu?

- Klaus chyba znał pana wcześniej, skoro tak łatwo udało mu się zwerbować pana do tej roboty.

- Przed wojną byłem prywatnym detektywem w Łodzi. I kilkakrotnie zetknąłem się z Klausem, który również mieszkał w Łodzi. Podczas okupacji Klaus przyjął volkslistę i zaczął

pracować w niemieckiej policji kryminalnej. Pewnego razu zostałem nawet przez niego aresztowany, ponieważ szmuglowałem mięso. Wypuścił mnie ze względu na dawną znajomość. Przed dwoma laty Klaus przyjechał do Łodzi jako korespondent, spotkał tam naszego wspólnego znajomego, który podał mi mój adres we Wrocławiu.

Klaus odwiedził mnie, wypytywał o różne sprawy na naszych Ziemiach Zachodnich, bo chciał napisać jakiś artykuł. Lecz ja byłem bardzo ostrożny i on szybko zrezygnował ze znajomości ze mną. Aż tu pewnego dnia otrzymałem od niego list, abym natychmiast przybył do Jasienia, gdyż szykuje się jakiś dobry interes.

Wziąłem urlop i przyjechałem. Spotkaliśmy się w Jasieniu i wtedy wtajemniczył mnie w sprawę szachownicy. Powiedział, że historia tego pamiętnika to tylko parawan, w rzeczywistości chodzi o złoto i brylanty Haubitzów. Znał mnie jako dobrego detektywa i obiecał połowę skarbu. Dlatego przystałem na tę robotę.

Poinformował mnie, gdzie są szachownice, i z początku szukał skrytki wraz ze mną, nocami w obserwatorium. Później kazał szukać samemu, a sam miał przyjechać znowu do Polski za cztery dni. Na miejsce spotkania wyznaczaliśmy sobie ruiny młyna Topielec. Znalazłem skrytkę w grobowcu, wyjąłem kasetkę. Wyobraża sobie pan mój przestach, gdy przekonałem się, że kryła ona nie złoto i brylanty, lecz jednak pamiętnik Haubitza.

- Trzeba się było zgłosić do naszych władz, wówczas ominęłaby pana kara.

- A tak, tak. Należało tak zrobić. Ale gdy pomyślałem, że straciłem tyle czasu na poszukiwania, a władze zapewne nie dadzą mi za ten pamiętnik nawet najmniejszej nagrody, wołałem zaczekać na przyjazd Klausa. Chciałem otrzymać od niego jakieś honorarium. A potem wmieszał się ten przeklęty Fryderyk.

Jak pan myśli, czy otrzymam surową karę?

Żał mi się zrobiło nieszczęsnego. Kuryły i zamiast radować się jego klęską, zacząłem go pocieszać:

- Niech się pan nie martwi, panie Kuryłło. Może władze uwzględnią pańską dotychczasową niekaralność? Może nawet nie zostanie pan aresztowany, a odpowie pan przed sądem z wolnej stopy? Może wezmą pod uwagę fakt, że szukał pan jednak nie pamiętnika, ale złota i brylantów? Może otrzyma pan wyrok z zawieszeniem? Tylko musi pan do wszystkiego się przyznać szczerze i otwarcie. Bez krętactw, panie Kuryłło.

- Wyznam wszystko. Wszyściutko - bił się w piersi były nasz prezes.

I tak wysłuchując jego narzekań, pocieszając go - zajechałem na punkt graniczny w Świecku.

Trwał tu ożywiony ruch, raz po raz unosiło się do góry biało-czerwone ramię szlabanu granicznego, aby przepuścić nadjeżdżające przez most na Odrze samochody osobowe lub wypuścić samochody wyjeżdżające z Polski. Długa kolejka, złożona z kilkunastu wozów różnych marek o znakach polskich i zagranicznych, stała przed niewielkim domem, w którym odbywała się kontrola celna. I tam - między pierwszym i drugim szlabanem granicznym, w kolumnie wozów - dojrzeliliśmy fordą.

A więc nie omyliliśmy się. Właśnie w Świecku Fryderyk zdecydował się przekroczyć granicę polską.

Mieliśmy Fryderyka tuż przed sobą, nieledwie o wyciągnięcie ramienia. Lecz jednocześnie pozostawał on już dla nas prawie nieosiągalny, bo dzielił go pierwszy szlaban graniczny.

Dwaj uzbrojeni WOP-iści zagradzali nam drogę od strefy granicznej. Wejść tam mogli jedynie posiadacze paszportów lub wkładek paszportowych.

Stanęliśmy więc za siatką okalającą strefę graniczną i gapiliśmy się na samochód Fryderyka, bo on sam zapewne znajdował się już w komorze celnej.

- Boże mój - Kasia szarpnęła mnie za rękaw i mówiła z wypiekami na twarzy. - Niechże pan coś zrobi, panie Tomaszu. Niech pan powie WOP-istom, że Fryderyk ukradł pamiętnik.

Niech go nie przepuszczą przez granicę. Niechże pan coś robi!

Bezradnie wzruszyłem ramionami.

- Fryderyk ma dokumenty w zupełnym porządku i nikt nie ma prawa go zatrzymać. Chyba że celnicy znajdą u niego jakieś towary, których nie wolno przewozić, stwierdzą przemyt lub coś w tym rodzaju.

- A pamiętnik? Przecież on nie ma prawa wywieźć tego pamiętnika. Zdobył go rozbojem - niecierpliwiał się Tell.

- Ba - kiwnąłem głową - jeśli znajdą pamiętnik przy Fryderyku, będą mogli go zatrzymać.

Posiadanie przez niego pamiętnika to jedyny dowód, że brał czynny udział w napadzie na naszą wycieczkę. Ale czy sądzicie, że on jest na tyle głupi, aby ten pamiętnik mieć przy sobie?

- Czy celnicy wiedzą, że trzeba szukać pamiętnika? - martwił się Wiewiórka.

- Nie wiem - odpowiedziałem. - Nie przypuszczam jednak, aby Zenobia dała za wygraną.

Było dość czasu, aby uprzedzić władze graniczne. Jeśli Fryderyk ma ten pamiętnik ze sobą, to bądźcie pewni, że celnicy go znajdą. Tylko że to bardzo sprytny człowiek i wątpię, aby okazał się aż tak nieprzewidujący.

- A co on z nim zrobił? Jak pan myśli, czy on go wysłał pocztą? - pytał Sokole Oko.:

- Nie mam pojęcia. To już zresztą nie nasza sprawa, ale Zenobii. Jej głowa w tym, aby pamiętnik nie przedostał się przez granicę.

- Czy... - Tell zająknął się - czy pan jest pewien, że Zenobia pracuje w kontrwywiadzie?

- Zapytaj ją o to - uśmiechnąłem się. - Ale wątpię, czy udzieli ci odpowiedzi.

- O, Fryderyk - szepnął Tell.

Z komory celnej wyszedł Fryderyk w towarzystwie trzech celników i jeszcze kilku właścicieli samochodów opuszczających Polskę. Celnicy podeszli do pierwszego wozu w kolumnie.

Jakiś pan w tweedowej marynarce uprzejmie otworzył kufer wozu.

Ford stał trzeci w kolumnie. Fryderyk w niedbałej pozie wsparł się o bok samochodu i nonszalanckim gestem zapalił papierosa, oczekując, aż przyjdzie jego kolej.

Raptem Sebastian znalazł jakąś dziurę w siatce, nie zważając na przepisy graniczne przełazi przez nią i merdając radośnie ogonem podbiegł do Fryderyka.

Kasia gwizdnęła na swego psa, ale wówczas Fryderyk zauważył go, poznał i aż drgnął.

Rozejrzał się i zobaczył nas stojących za siatką.

Uśmiech pojawił się na jego ustach. Kiwnął dłonią ku nam, jak gdyby zegnając najserdeczniejszych przyjaciół.

- Ach, to... to... to... przewrotny szatan - -Kasia długo poszukiwała słów dla określenia postawy Fryderyka.

- Gdzie jest pani Zenobia? Dlaczego jej tu nie ma?- martwił się doktor.

- Z przykrością muszę stwierdzić - - powiedziałem - że Fryderyk mi imponuje.

Celnicy skończyli przegląd pierwszego wozu. Pan w tweedowej marynarce zasiadł za-kierownicą, zapuścił silnik. Podniosło się czerwono-białe ramię szlabanu i samochód wjechał na most graniczny.



Drugi wóz należał do polskiego małżeństwa z małym chłopczykiem. Byli to zapewne turyści udający się na wycieczkę do NRD. Celnicy dokonali bardzo powierzchownego przeglądu samochodu, zaledwie zajrzeli do bagażnika. I znowu podniosło się ramię szlabanu, • polscy turyści odjechali do Frankfurtu nad Odrą.

Teraz dwaj celnicy skierowali się do domku, który stanowił komorę celną. Tylko trzeci celnik podszedł do wozu Fryderyka, który - jak się nam wydawało - od tej chwili z dużym napięciem oczekiwał przeglądu.

Ale celnik tylko powiedział coś do Fryderyka, coś, czego nie zrozumieliśmy. A potem oddał mu deklarację celną i zasalutował, dając do zrozumienia, że przegląd forda uważa za zbyteczny.

- O rany, co za głupcy - jęknął zrozpaczony Sokole Oko.

- Panie Tomaszu, niech im pan wytłumaczy... - szczypała mnie w rękę Kasia.

Celnik podszedł do czwartego wozu, ze znakami „GB”, a więc był to samochód angielski.

Należał do młodego małżeństwa. Anglik podniósł pokrywę bagażnika, ukazując swoje walizki.

Z punktu kontroli granicznej wyszedł oficer WOP.

Wręczył Fryderykowi jego paszport, zasalutował, a potem kiwnął dłonią w kierunku żołnierza, dając mu znak, że może podnieść szlaban. A więc Fryderyk miał wolną drogę.

Jeszcze chwilę i wjedzie na most na Odrze, zniknie nam, z oczu. Na zawsze. Zwycięski, triumfujący.

- Niech pan coś zdziała, niech pan zatrzyma Fryderyka - szeptali gorączkowo chłopcy.

Lecz, o dziwo, Fryderyk nie śpieszył się z przekroczeniem granicy. Ba, wyglądało tak, jakby specjalnie opóźniał swój odjazd z Polski. Podniósł maskę swego forda i pochylił się nad silnikiem. Sprawiał wrażenie, że nagle stwierdził w swym wozie jakąś awarię.

Tymczasem celnik poprosił młodego Anglika o otworenie walizek. Raptem pochylił się i z jednej z walizek wyjął... blaszaną puszkę oklejoną plastrami. Otworzył ją i po chwili trzymał

w ręku... pamiętnik Haubitza. Tak, na pewno był to pamiętnik. Z odległości kilku kroków widzieliśmy skórzane okładki i wyblakłe litery gotyckie.

- Co to jest? - zapytał Anglika celnik.

- To jest pamiętnik jednego z moich przyjaciół - usłyszałem odpowiedź. - Rzecz bez żadnej większej wartości. Dał mi do przeczytania.

- Proszę. Zwracam go panu - celnik oddał Anglikowi pamiętnik.

Gestowi temu towarzyszył straszny jęk, który wydobył się z piersi chłopców i Kasi.

Równocześnie zatrzasnął się zamek maski forda. Fryderyk był gotowy do odjazdu i dyskretne spojrzenia rzucał w kierunku kontrolowanego samochodu.

Młody Anglik drżącymi ze zdenerwowania rękami przyjął od celnika pamiętnik. Było dla nas oczywiste, że Fryderyk poprosił go o przewiezenie przez granicę kompromitującego przedmiotu. Uprzejmy Anglik zapewne zgodził się na prośbę Fryderyka, a teraz, być może, żałował tego. I stąd jego zdenerwowanie. Z niechęcią rzucił pamiętnik do walizki. Ale zrobił

to tak niezręcznie, że skórzane okładki zawadziły o brzeg walizki i pamiętnik upadł na ziemię obok samochodu. Okładki otworzyły się i spomiędzy nich wysunął się... Przewodnik po Polsce w białoczerwonej obwolucie.

Fryderyk długim skokiem znalazł się przy samochodzie Anglika. Usłużnie podjął z ziemi pamiętnik. Jednym spojrzeniem zdołał stwierdzić, że okładkami pamiętnika kryły nie rękopis Haubitza, ale Przewodnik po Polsce.

Z wściekłością zatrzasnął okładki i spojrział na nas, stojących za siatką.

- Tak, tak - zawołałem po niemiecku do Fryderyka - to mój przewodnik! Gdyby pan był tak dobry i zwrócił mi go, byłbym bardzo wdzięczny...

Nie zdołam opisać wejrzenia, jakim obdarzył mnie Fryderyk. Było w nim tyle wściekłości, nienawiści, gniewu, że przez krótką chwilę doznałem uczucia strachu.

Chłopcy mieli rozdziawione gęby, a Kasia dostała jeszcze większych wypieków. Doktor od razu

pojął, co się stało, i zaczął się cicho śmiać. Hilda szeptała:

- Nic z tego nie rozumiem...

Fryderyk stał nieruchomo z przewodnikiem w rękę i wciąż patrzył na mnie z nienawiścią.

Nie, nie na mnie. Na kogoś, kto zbliżał się za naszymi plecami.

- Niech pan wreszcie przestanie się wygłupiać - odezwała się Zenobia. - No, niechże pan odda mi pamiętnik. Najwyższa pora zakończyć tę sprawę.

Uśmiechnąłem się bezradnie i sięgnąłem dłonią pod sweter na piersiach. Wyjąłem dwa grube bruliony, te same, które oglądaliśmy na Polanie. Ociągając się, wręczyłem je Zenobii.

- Panno Hildo - rzekła Zenobia. - Dobrze się stanie, jeśli wraz ze mną i pamiętnikiem pojedzie pani teraz do Warszawy. I ty, Kasiu, też pojedziesz. Pora już wrócić do mamy, do domu.

Dopiero teraz zauważyliśmy, że przed pierwszym szlabanem, tuż obok mojego wehikułu i Wartburga doktora, ustawiała się czarna wołga.

- Więc pan?... pan?... - chłopcy i Kasia nareszcie zrozumieli, co się stało. - Na Polanie wyjął

pan z okładek pamiętnik Haubitza. i włożył tam swój Przewodnik po Polsce?

- No tak. Zrobiłem to wtedy, gdy pobiegliście za tymi, co kryli się w grobowcu. Domyślałem się, że Fryderyk będzie usiłował Wykraść puszkę z pamiętnikiem. Nie chciałem ryzykować utraty manuskryptu.

- Więc po co ta cała heca? Po co pan ścigał Fryderyka? - zdumiewał się Wiewiórka. : 115

- Zrobiłem to, aby Fryderyk był przekonany, że wywozi pamiętnik, na którym tak bardzo nam zależy.

- A pani? Pani się domyślała, że pan Samochodzik zabrał pamiętnik? - spytał Tell Zenobię.

- Tak mało go znacie? -- roześmiała się Zenobia. - Przecież to było oczywiste, gdy pozwolił

Hildzie nieść puszkę. A poza tym pan Samochodzik ma skłonność do efektownych scen.

Czy mógłby sobie odmówić przeżycia pięknej zabawy przed komorą celną? Mogłam mu zabrać ten pamiętnik już wówczas, gdy Fryderyk uciekł z puszką, ale pomyślałam: „Niechże pan Tomasz ma też trochę frajdy. Należy mu się”.

- Dziękuję pani - skłoniłem się.

Samochód ze znakami „GB” już odjechał. Nareszcie i Fryderyk ocknął się z zamyślenia.

Jeszcze raz spojrzął na nas, potem podszedł do forda, ze złością szarpnął klamkę drzwiczek i zasiadł

za kierownicą. Widzieliśmy, jak podniosło się ramię szlabanu, ford wjechał na most. Przemknął przez niego z ogromną szybkością i po chwili zniknął nam z oczu. Na moście zapewne minął się z czarnym taunusem.

Bo po małej chwili na polski punkt kontroli granicznej przyjechał Klaus. Gdyby był rozejrzał

się, być może dostrzegłby Kuryłłę, Hildę i nas stojących za siatką strefy granicznej. Ale śpieszyło mu się bardzo. Otrzymał stempel na paszporcie, celnik machnął ręką, dając mu do zrozumienia, że kontrolę-wozu uważa za zbyteczną. Podniosło się biało-czerwone ramię szlabanu i taunus znalazł się na polskiej ziemi. A wtedy zagroziła mu dalszą drogę zielona warszawa, z której wysiadło dwóch ubranych po cywilnemu mężczyzn.

Jeden z nich podniósł do góry rękę uzbrojoną w „lizaka”, dając Klausowi rozkaz zatrzymania się.

- Czy pan Klaus? - zapytał po niemiecku.

- Tak - odpowiedział Klaus wychylając się przez okno samochodu.

I wówczas to Klaus zobaczył mój wehikuł, a także Hildę, Zenobię, chłopców i Kasię, jak również nieszczęsnego Kuryłłę. Przybladł nieco, lecz powiedział spokojnie:

- O co panom chodzi?

- O wyjaśnienie pewnej sprawy - powiedział pierwszy z- mężczyzn. A drugi kiwnął ręką na pana Kuryłłę:

- Pan będzie łaskaw tu do nas. Pana również poprosimy o kilka słów wyjaśnienia.

- Czy stało się coś złego? - zapytał Klaus.

- Nie. Na szczęście nic złego się nie stało - padła odpowiedź.

- Czy panowie chcą mnie aresztować? - zaniepokoił się Klaus.

- Nie. Po prostu chodzi o pewne wyjaśnienia. Pan będzie łaskaw pojechać za naszym samochodem. A pan pozwoli z nami - zaprosili Kuryłłę do swego wozu.

Odjechali. A w tydzień później wyczytałem z gazecie komunikat o wydaleniu z Polski niemieckiego dziennikarza nazwiskiem Heinrich Klaus.

Kuryłło bardzo przeżył sprawę pamiętnika i fakt, że był narzędziem w rękach przestępcy.

Redakcja frankfurckiej gazety wygrała proces sądowy z Konradem von Haubitz. W tej samej gazecie przeczytałem wzmiankę, że przeciwko Haubitzowi prokuratura zachodniemiecka wszczęła dochodzenie sprawy związane z jego wojenną przeszłością.

Być może sprawiedliwości stanie się zadość.

I taka jest historia Księgi strachów. Bo czy nie był prawdziwą księgą strachów pamiętnik Konrada von Haubitza, zbrodniarza wojennego?

